

USIC - DRAM

Bring the wh

No admissi

Sponsor

FRIENDS

an

JOS. SCHLITZ

Wacław Gąsiorowski



Szwoleżerowie Gwardyi



Wacław Gąsiorowski

SZWOLEŻEROWIE GWARDYI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ





DRUKIEM
DZIENNIKA ZWIĄZKOWEGO I ZGODY 1406-08 W. DIVISION STREET
CHICAGO, ILL. 1918,


BIBLIOTHECA
UNIV. JAGIELL.
CRACOVIENSIS

1.

Było południe. Dwór Gortatowicki tonął w głębokiej ciszy, przerywanej lekkim pluchotem marcowego dżdżu.

W jednej tylko kuchni, na prawem skrzydle dworu; wrzała praca gorączkowa.

Stara Małgosia, pani Jadwigi Gotartowskiej podręczna, a bez mała cała gospodyni, uwijała się z •** zakasanymi po łokcie rękami pośród dziewek, nagliła je do pośpiechu, dosmaczała sosy, solą, pieprzem a korzeniami ostatnie zadawała ciosy potrawom a, od czasu do czasu, zwierzała się ze swoich trosk i kłopotów przysadzistej, tęgiej babie, siedzącej na ławie, pod oknem. Baba słuchała obojętnie żalów a wypominków o Wielkanocy, która duchem leci, a której peklowiny w marynowaniu się nie mogą strzymać placu i coraz mniej objawiała zainteresowania się zwierzeniami Małgosi. Aż ta ostatni«' spostrzegła się, że skargi jej nie znajdują posłuchu. Stuknęła więc z impetem miską, pełną piany, na znak urazy i, chwyciwszy za kopyść, jęła pianę ubitymi żółtkami, mąką zaprawiać.

Baba poznała się z kolei na tej oczywistej altecacyi i, snąć, aby rozdźwięk załagodzić, ozwała się pojednawczo:

•—■ Aha!... Więc tedy jakże?!... Niby trzy szynki w życie ? I co ?!

Małgosia nie dała śi'ę udobruchać tak łatwo.

— Tam jejmości powiadać ! Niby ciemna jestem ! Żubrowej tyle do tego, co mnie do zeszłorocznego śniegu!

— A co tam dzisiaj będzie ? !

— Właśnie !... Zwyczajnie, jak przy święcie, jedno podanie dłużej !... Kapuśniak na świńskim ogonie...

Żubrowa mlasnęła językiem. Małgosia uśmiechnęła się nieznacznie i dodała :

— Idzie, co ! ? Pewnie lepsze od tej oślej pieczeni, prochem zaprawianej?

— Zależy... Gdyby tak kubeczek!... Bodaj się z czczości otrząsnąć ! Co ? !

— Rany boskie... toć...

—; Aby kubeczek ! —- tłumaczyła baba, mrugając znacząco. Małgosia strzepnęła rękoma, zadzwoniła kluczami, zakręciła się około spiżarni, otworzyła, nalała tęgą miarkę złocistego płynu i podała babie. Baba przypięła usta do miarki, wysączyła, odchrząknęła i splunęła z przekonaniem.

—- Ulżyło, psianoga, sacrebleu !...

— Dla Boga, toć się jeszcze nabożeństwo nie skończyło, a jejmość już wydziwia !

— Głupstwo ! Człowiek paple nie dla obrazy boskiej, jenopże-mu,chcą.c nie chcąc, język mełtnie, gdzie nie trzeba! No, a porUczmikowa kaszka ! ?

— Toć nie widzi pani Żubrowa dyć mapri awie !

Baba porwała się z ławy.

— Święty Antoni! Tak mi powiadajcie odrazu!... Marynka ■— garnuszek! Józęfka — lej prędzej !... Mleko sacrebleu... bo łby poukręcam!... Ruszaj jedna z drugą, bo, jakem Muszyńska z domu !.;. .„ Jakże lejesz .Słuchać, do stu fur beczek !

Małgosia, na ten niespodziewany wybuch, ledwie że miski z pianą nie upuściła.

Baba łypnęła groźnie białkami i, rozkazawszy ruchem ręki Marynce, aby szła za nią, zawróciła miarowym krokiem w głąb dworu. Minęła sionkę, jadalnię, alkierzyk, zaczem otworzyła drzwi, wiodące dó sypialni, i stanęła nagle-, jakby piorunem rażona. Widok, który się jej oczom przedstawił, był istotnie bardzo niezwykły.

Na środku sypialni, na szeroko rozpostartym kilimku, leżał na wznak wielki, barczysty chłop i, wygrywając na nosie marsza ■wojskowego, równocześnie wymachiwał ucieszniie nogami w powietrzu, czem do spazmatycznego śmiechu pobudzał maleńkiego, ledwie co pełzającego mu około szyi, dzieciaka.

Baba we drzwiach opanowała tymczasem pierwsze wrażenie i huknęła surowo:

—■ Macieju!. v Tożeś chyba zmysły postradał! Święty Antoni! toć nigdy statek na tego zatraconego chłopa nie przyjdzie!... Równaj się sacrebleu! Do raportu!

— Jasia, nie gadąj! — jąkał chłop skonfundowany i, zbierając sw-e cielsko, tulił równocześnie zestrachanego dzieciaka.

Baba gromiła dalej:

— Już śpiewasz swoje?/. . A gdybyś tak dziecko, czego Boże broń, potrącił! ? Ślepiebym ci wydrapała!... Piechur taki!.'.. I za pan brat z oficerzątkiem!... Głodemby je zamorzył!... Kaszka, sacrebleu, nie wiesz?

— Według rozkazu!

— Rozmowny! Trzymaj go uczciwie, bo upuścisz. . .

— Ehe, gdzieżby! — odparł chłop.

— Gdzie? — na ziemię!... Uf, krew człowieka zaleje!... Marynka, dawaj kaszkę!... Nie gap się! Na lewo zwrot —■ w tył i marsz do kuchni!... Maciej, czekaj, niech usiądę!... No, możesz trąbić na obiad!

Chłop wydął policzki i jął udawać sygnały wojskowe. Dzieciak rozpogodził nachmurzoną twarzyczkę, baba energicznie mieszała kaszkę, przysłuchując się z pewnem upodobaniem naśladowanym sygnałom, zaczem, kiedy chłop skończył, ozwała się łaskawiej :

— Patrzcie!... Że to trębaczem nie został!... Hm!... No, podaj mi dziecko!... Ostrożnie!... No tak!... Biedactwo moje!... Cichaj, Floruś!

Żubrowa naczerpała łyżeczkę. Dzieciak zaczął zajadać z apetytem. Chłop i baba wsłuchiwali się w każde mlaśnięcie i cmoknięcie jedzącego dziecka. Baba ozwała się pierwsza po chwili.

•— Na psa urok, apetytu nie' brak.

— Musi! — przytwierdził z przekonaniem chłop.

— Kto? co?

— Apetyt, żołądek — służba, sacrebleu !

Baba chciała zgromić chłopa, gdy wtem, poza oknami, od strony podjazdu, rozległ się tupot koni i plusk wypryskiwanego błota.

— Ani chybi, państwo z kościoła! Rusz-że się. Albo nie, weź Florusia! Ostrożnie.

Żubrowa jeszcze się przekomarzała z chłopem, a przestrzegała, jak ma garnuszek trzymać a łyżeczkę odwracać, kiedy oto drzwi rozwarły się na ścieżąj a od progu rozległ się mocny głos zamaszystego mężczyzny :

•—■ Cóż to, ducha żywego niema w całym dworze ! Nie lubię, psiamać...

Baba, na dźwięk tego głosu, aż zatoczyła się. Chłop wyprężył się tak gwałtownie, że mu dzieciak gdzieś pod lewą pachą uwiązł, a garnuszek z kaszką, opuszczony ku dołowi, sączyć zaczął na ziemię swą gęstą zawartość.

— Wszelki duch! Rety! A toż pan porucznik Stadnicki! Prędzej śmiercibym się spodziąła!

— Ładnie mnie witacie! — odrzekł Stadnicki, prychając a ocierając twarz z wilgoci.

— Kiedy bo, panie poruczniku, niech mnie skręci, jażelim sobie dziś pana porucznika nie wspomniała !

Głośny krzyk dziecka przerwał babie.

— Macieju! Rany Boskie! To ty Florusiem będziesz, niby karabinem, honory wojskowe oddawał!. ..

Chłop spostrzegł się, porwał dziecko na ręce i huśtać zaczął a hołubić.

— Czyjże to? — zagadnął porucznik. — Wasz?

— Nasz, według rozkazu! —■ odrzekł pośpiesznie chłop.

— Gotartowski? Daj go sam! Gęby!... Piskliwy, nie lubię.

— Robaczek —■ jenerał.

— Cielęcina, mlekiem czuć. A gdzież pani Floryanowa? Macie tir co pod ręką? Bo ziąb — woda...

— Duchem będzie! Niech, pan porucznik tędy, do jadalni. Państwa tylko patrzeć z kościoła. Stary, a oka mi nie spuszczaj z małego! Dołóż mu tam z łyżeczkę ! Proszę tedy!

Baba , ruszyła przodem, usadowiła porucznika przy stole, w jadalni, zakrzyknęła na dziewkę, odbyła gwałtowną rozprawę z Małgosią, do ekonoma wyprawiła pachołka po obrok dla koni Stadnickiego, i dopiero, kiedy już przed, porucznikiem stanęła

wazka świeżego kapuśniaku, a tęgi dzbanek grzanego piwa, odetchnęła, wsparła się łokciami na stole i dała upust, palącej ją, ochocie do gawędy.

— Patrzę i napatrzeć się nie mogę! To ci dopiero niespodzianka.

—- Pewnie, pewnie! — mruczał porucznik, wyprzątając talerz. — Żeby mi kto, trzy dni temu, powiedział, że ja tu, do waszego zapadłego kąta, w Rawskie,-kołatać się będę, miałbym go za szaleńca.:.

Żubrową to wyznanie zmieszało.

—• Jakże? bo przecież... zawsze...

— No, mus i koniec. Uważcie, Jankowski porucznik awansował i jest w Warszawie.

— Olaboga! Może nowiny są od naszych poruczników ?

— List jest. Trzy listy. Jeden do mnie, a taki długi, żem go wczoraj pół dnia czytał i nie doczytał.

— Matko Najświętsza! a toż śnił mi się dzisiaj as żołędny... a będzie temu tydzień, gdy starsza pani kabałkę układała, też się żołądź plątała... Srebro moje! Aż się boję pytać, aby tylko nic złego?...

Stadnicki pociągnął piwa i splunął.

—• Złego może i nie —■ ale zawsze. Z babami nie lubię, psia mać... i koniec!

Żubrowa ręce załamała.

— Bo to niby... pań porucznik czegoś... chyba coś musi być?...

—■ A pewnie, że jest! — wybuchnął nagle Stadnicki.

Baba przeżegnała się.

— W imię Ojca... i Syna... od wszelkich złych...

— Bab !... — huknął groźnie porucznik.

— Święty Antoni strzeż, bom kląć gotowa, kogo nie potrza!... Panie poruczniku, cóż się stało?... bc- chyba mnie niepewność zadławi!

— Kiedy jeszcze gotowiście co wygadać!?

— Ja!? Ja!? Wygadać!?—■ zaperzyła się baba. — Ja, markietanka pierwszej legji, pierwszego ba taljonu, porucznik, mianowany przez samego Pelletiera, choć mi instrumentu dotąd nie przysłali... Ja, co najserdeczniejsze tajemnice całego niemal sztabu legjońskiego naszałam!?... Ja!?

— Cóż! Chryja! — przerwał porywczo Stadnicki. —• Przyjechał Jankowski... Nowin rozmaitych bez liku! Florek Gotartowski zrównał się z swoim bratem Marcelkiem!... Bo ten ci porueznikuje już od pół roku!... Pod Wagram się dystyngował!... Bo!... Smyk, świderek zgoła sobie, półkurcze, a zawsze kawał żołnierza w nim siedział!

— Juści, wdał się w brata!

— Czy się wdał?... No, pewnie, pewnie... tylko teraz... licho wie, ezem się ta awantura skończy. .. Wlecze się za szwadronem i ani weź!...

— Kto?...

■—• Chitana!

— Chi chi-ehi-tana! — powtórzyła niepewnie Żubrowa.

— Co tu długo mówić! Gdzieś w Toledo, na biwaku, Marceli wdał się z chitaną, cyganką hiszpańską!... Florek mu tłumaczył, przekładał!.:. Szef Jerzmanowski, jak rodzonemu, perswadował, Załuski z Fredrą mało jęzorów sobie nie ugadali — aż wreszcie na rozgony wypędzili Marcelego — i co... niby ustało —• niby się urwało!... Myśleli, koniec —■ ale gdzie —•' cyganicha znów, jakby z pod ziemi się zjawiła!

— Cie ją... zatraconą!...

■— Florek piszę —■ że Marcelego opętało! Żenić się chce!

— Święty Antoni! Z cyganichą.! Rety!... ot już matka, nasza starsza pani nie strzyma... Panie poruczniku, na miły Bóg, aby czasem słowa nie rzec!...

— Właśnie! A on mi piszę: naradź się, ratuj! Co ja?! Z babami — nie lubię, psiamać!

— O, bo, panie poruczniku, toż to nie może być!...

-— świderek zawzięty był! A baba pewnie za nim w dyrdy!

-— Ba!... Aż piszczy do oficerskich obszlegów.

Stadnicki żachnął się.

— Pytlujcie językiem, a tu nie wiadomo co robić !

— Myślę nie.

—- Jakże, przecież do nas ciągną.

—■ Tu... tu... gwardya ciągnie ?

— Wojna!

— U nas!?

— Jakbyście wiedzieli! Jeszcze nic pewnego, co, z kim i kiedy... ale pułki już się dźwigają!... Legia z Hiszpanii maszeruje! W Warszawie gwałt w sztabach!... Różnie powiadają!;,. Jedni, że to na Austryaka cesarz się rozgniewał i teściowi węgierską koronę chce odebrać, resztę Gaiicyi wydrzeć i naszemu Sasowi wszystko oddać!

—• Laboga, a bodaj go!

— Drudzy, że z Peterburkiem do sporu przyszło o nas —• i że, jeno patrzeć, a do siarczystej rozprawy się zabjorą... trzeci, że Anglia winna wszystkiemu, bo się ze Szwedami zmówiła i, gdzieś pod Królewcem, ma lądować!. .. Ktoby tam prawdy doszedł! Wojna, i koniec!... Tedy idą — uważacie.

—■ Bigos!...

— A tu niewiadomo co! Florek piszę: radź!... Czego on tam nie piszę! Aż obrzydliwość taki naeiukany list czytać!

— Bo ja wiem, panie poruczniku! Hm!... Myślę, paniusi naszej, Florkowej, powiedzieć... niech wie... a co zresztą niema nikogo do rady!... Panna Urszula jeszcze się trzepoce, Fabianek trznadel, mój stary, chłop niczego, lecz z głową nie bardzo, ekonom Lewandowski tyle, że się na ochwaconych kobyłach zna... a już przed starszą panią Gotarkowską nie wymów, bo się zagryzie, biadaczka!

— Rada!... Ale tamto półkurczę Marcelka, trzeba ratować!

— To się wie!... Cha! niechbym ja się dorwała do niej, zatraconej!. . . Tfy! Jakem Muszyńska z domu, jenoby śmigała do tych swoich malag a petęrcymentów!... Pan porucznik daruje... jeszcze krzynkę, bo mi zasycha. ..

Żubrowa umilkła, odsapnęła i pociągnęła z kubka. Naraz, ręką w czoło, się uderzyła i zagadnęła szybko:

Przecież pan porucznik mówił: z dwiema babami-kłopot. ..

Stadnicki nasrożył się.

— Jakbyście wiedzieli, że z dwiema! — a po chwili, zniżając głos, dodał cicho: —■ Kapitanowa Niewodowska, co to się kochała we Florku, jest w Warszawie.

— Niewodowska? Kapitanowa?

— Właśnie, do stu piorunów! — wybuchnął porucznik.

— Święty Antoni! Bez urazy, toż chyba rzuca coś panem porucznikiem Floryanem!

— Rzuca, psia mać... i tu... widzicie gardziel. W grdyce tkwi a dławi!

— Czy aby nie guział jaki?

Stadnicki potrącił ze złością, zawadzającą mu, ławę.

— Głupstw nie pleść... Niewodowski ożenił się z seniorità Dolores...

— Co pana Floryana chciała za męża?!

— Kto? kogo? psia mać... to nie wypominajcie !

— Każdy wie swoje. Ale, kiedy kapitan Niewodowski się z nią ożenił, to niech jej będzie na zdrowie.

— Otóż, że są ze sobą nie bardzo...

— Cale się nie dziwuję — dwie takie rozmaite naeye.

— Niewodowski myślał z początku, że nawyknie do niego. Chuchał, dmuchał, hołubił, z pułku wystąpił, w Paryżu na pisarka się przynajął, jak oka żony strzegł, a serca sobie nie pozyskał.

— Patrzcie, jakie to charakterne.

Stadnicki zniżył głos.

— Niewodowski się zdesperował. Przywiózł ją do Warszawy, przy ciotce osadził, a sam na służbę wraca.

— A ja na jego miejscu wędrowałabym do Rzymu, sprawiedliwości szukać...

Stadnicki potrącił ze złością stołek pod piecem. Ba'ba zerknęła niepewnie ku porucznikowi.

— Człowiekowi się widzi, więc powiada...

— Co mu ślina na język przyniesie — podchwycił żywo Stadnicki. — Acani Rzym w głowie, a tu niewiadomo, psia mać... jak wybrnąć! Niewodowski zdesperował się i ręce opuścił. Będzie temu trzy dni złapał mnie w zajeździe i powiada: ratuj! Cóż

ja ? Na babach się nie znam i koniec. Wybrał się do mnie! Ale że prosił, aby do jego ciotki pójść i z imć Niewodowską się rozmówić, więc poszedłem...

—■ I Cóż?

Stadnicki odetchnął ciężko i zaczął stłumionym głosem:

— Zmieniła się... Tam, w Saragossie, niby dziecina — wątła, słaba, zdawało się, że jak mrugnie żwawiej, to dusza pryśnie jej z oczu, a teraz phi! Niewiasta, że ha! Mnie nie do niej, lecz co Florka tobym kawałami rwał...

— Ani weź, panie poruczniku! Kapitana Niewodowskiego żałuję, mogę i nad tą hiszpanicą się użalić, lecz zresztą nie widzę turbacyi...

— Ona chce się rozmówić z Florkiem.

— Kto? Ta... ta hiszpanica, Niewodowską?

— Musi! — uciął surowo Stadnicki.

Markietanka strzepnęła z desperacyą rękoma

— Panie poruczniku, toż niepodobna zezwolić! Pani Floryanowa żona, na śmieréby się zmartwiła! I tak tęsknica ją ssie za mężem, a cóż, gdyby jeszcze ufności nie miała mieć. Ale, co ja plotę. Rękę sobie dam uciąć, że panu Floryanowi ani w głowie !

— No, to ze mną będzie miał sprawę.

— W imię Ojca i Sjno.1. . . O nzemże będzie się z nią rozmawiał? Co jemu do jejmość pani Niewodowskiej —■ albo co ona ma do pana Floryana? Hm! Niema co mówić, co drużba to drużba!

Stadnicki mruknął ponuro.

— Dałem parol.

— Djabłu na uciechę.

— Wam się zdaje,.. Gdybyście ją byli widzieli. Zaczęła beczyć.

— Wiem, wiem! Pociągnęła dwa razy noskiem,

chlipnęła, oczyma przewróciła — i więcej nie trzeba, bodaj duszę zaprzedać!

— Tak wam się zdaje! — bronił się porucznik. — Czasem niepodobna... Stało się, i koniec!

— Może być, ale nic więcej się nie stanie, jakem Muszyńska z domu!

Stadnicki spojrzał ze zdumieniem na markietankę. Ta pociągnęła łyk piwa,- ręką usta otarła i dokończyła z flegmą:

— No tak, bo dziś jeszcze pani Floryanowej Gotartowskiej rzecz wykładam: niechże wie, czego się spodziewać.

— Ani pary z ust!

— Pary nie będzie, bo już jej nawet na dworze nie widać. A co do pani Floryanowej, dowie się o wszystkiem. Niech-no pan porucznik patrzy w okno, juści wracają z kościoła.

— Żubrowa, do pioruna! bo ze mną niema żartów!

Baba podniosła się ociężale i, ścierając stół fartuchem i uprzątając talerze i kubki, odparła sucho:

— Ze mną także niema.

— Niech mnie kaci porwą!... Żubrowa, nie róbcie mi konfuzyi! Nie się jeszcze nie stało. Florek za górami. Myślałem, że z wami można szczerze...

----- m Papla nie, byłam, lecz co tnt.a.i aż człowieka dławi.

Stadnicki, posłyszawszy w tejże chwili gwar zbliżających się głosów, rzucił się ku markietance i schwycił ją za ramię.

— Zaklinam was, ani słowa o Niewodowskiej!

— Pod jednym warunkiem.

— Co za warunek — idą!

— Że pan porucznik da parol oficerski, iż nie wyjedzie stąd dotąd, dopóki nie wyjawi mi całej

prawdy, gdzie i jak pan Floryan ma się rozmawiać z tą hiszpanicą!

— Przecież ja sam nie wiem.

— To nic, Parol?

— No więc parol, parol, psiamać.

Stadnicki ledwie zdążył odpowiedzieć, gdy we drzwiach stanęła pani Jadwiga Gotartoirska z synową i córką, panną Urszulą.

— Ot, gość niespodziewany,.. Witam waćpana! Jakież losy przypomniały waszmości o naszym zaścianku«.

— Sługa powolny imć pani dobrodziejki — bąknął porucznik, kłaniając się niezgrabnie i poglądając chmurnie ku Żubrowej. — Miałem sprawę do piotrkowskiego departamentu, więc poważyłem się zboczyć, aby powinny szacunek złożyć.

—• Bardzom rada waszmości. Dnia niema, żebyśmy cię nie wspominały, a co już u Florkowej, to masz takie zachowanie, jak u rodzonej,

Stadnicki zmieszał się, rzucił okiem, kędy stała pani Zofia Gontartowska i, podszedłszy z impetycznym ukłonem, ucałował zamaszyście ręce pani Floryanowej.

— Na honor, sługa, psiamać... i tego!

Pani Jadwiga uśmiechnęła się na widok tej pi - rywczej grzeczności. Pani Floryanowa. odpowiedziała przyjaznym komplementem. Jedna tylko panna Urszula stała skonfundowana a zapłoniona, daremnie czekając na powitanie Stadnickiego. Porucznik był tak roztargniony, tak wzburzony rozmową z markietanką, że nie widział ani strzelających ku niemu niebieskich ocząt, ani rumieńca, palącego twarzyczkę panny Urszuli.

— Rozgość-że się waćpan, a mnie pozwól tymczasem do gospodarstwa. Zosia mnie zastąpi.

Pani Jadwiga skinęła na markietankę i wyszła. Pani Zofia wskazała Stadnickiemu ławę, okrytą kilimkiem.

•—• Siadaj, proszę, waćpan.

— Dziękuję, wolę stać -— mruknął porucznik.

Pani Zofia spojrzała uważnie na szeroką, wyrazistą twarz Stadnickiego i rzekła niepewnie:

— Czy nie nowinom zawdzięczamy przyjazd waćpana do Gotartowic?

— Nowinom? Niema, psiamać, powin i basta!

Pani Floryanowa nie wiedziała, co odpowiedzieć na to gwałtowne zaprzeczenie. Stadnicki szarpnął bokobrody i jął mierzyć wielkimi krokami izbę.

— Gdzie tu szukać nowin? Co było to i jest. Była wojna, jest wojna i będzie wojna. Zresztą, bierz kaci, dosyć mam tego wszystkiego! Zbieram manatki, jadę na wieś i niech sobie łby urywają!'

— Co w Warszawie słychać? — przerwała pani Zofia. '

— W Warszawie? Nic! Radzą, sejmikują i werbują. Przysłali nam nowego rezydenta francuskiego. Musztrują się od świtu do nocy, jeno patrzeć, jak do Hiszpanii, albo dalej jeszcze, ruszą. Ale co ja, ani myślę!

Stadnicki odsapnął, a spotkawszy się niespodziewanie ze wzrokiem, ■ stojącej przy szafie gdańskiej, panny Urszuli, brwi ściągnął i dodał sucho:

-—■ A co z babami, to nie lubię, psiamać!

Panna Urszula pobladła, łzy stanęły jej w oczach — ostatnie słowa Stadnickiego wydały się jej zwróconemi wprost do niej... Lecz, po tern chwilowem osłupieniu, po rozżaleniu za tę niegrzeczność, twarzyczka ■ panny Urszuli spąsowiała, skry z oczu osuszyły łezki, usta wydęły się dumnie.

—■ 'Witam waszmości, bardzo miło! — ozwała się niespodziewanie i, zanim Stadnicki zdobył się na odpowiedź, znikła za drzwiami.

Porucznik spojrzał pytająco na panią Floryanową.

—• Dogadałem się racyi! Uraziłem, ani myśląc.

— Boś nadto zapalczywy... cheesz.nas wszystkich'ryczałtem potępić... •

— Uchowaj Boże, tylko ja z babami nie potrafię.

— Toś się waszmość niefortunnie do nas wybrał, bo co tu, jeno same baby zostały!

Stadnicki opamiętał się i jął się sumitować.

— Parol! Słowo ofieierskie, pani porucznikowo dobrodziejko!...

— Ależ ja się nie gniewam! Urszulę tylko przeproś za brak uwagi, boś się z nią wcale nie przywitał, a co ja, to cię rozgrzeszam odrazu...

Stadnicki rozpogodził czoło. _

— Jużei racya! Boć zgroza byłaby, gdyby pani porucznikowa na Stadnickiego się boczyła. Cha, do pioruna! przecież coś więcej mu się należy nad powszednią przyjaźń!

— Panie Józefie! Już'to przeczucie mi powiada, że waszmość nie bez kozery do nas!

Stadnicki oczy spuścił i milczał.

Pani Zofia pochwyciła porucznika za rękę.

-—- Wasęjnośó coś wiesz, waszmość coś ukrywasz !

, — Ja — ukrywam?... Uchowaj... ten! Niema co ukrywać... Pułk nadciąga!

— Pułk szwoleżerów?

—■ Tak, cały pułk.

— WTięc i Florek wraca?

-— Wraca także, zdrów, cały! Na prawej szlu-

fie bulion porucznika pierwszej klasy mu się bimba, do legii znów podany.

Pani Zofia z okrzykiem radości zerwała się z ławy.

— Wraca! Wraca nareszcie! A waszmość ledwie powiadasz! Boże, co za radość... lecz może, panie Józefie, zaklinam waszmośei -— zdrów?

— Parol oficerski.

Pani Zofia wybuchnęła jednocześnie i śmiechem i płaczem.

Na scenę tę nadeszła pani Jadwiga, zapraszając do obiadu. Nastąpiły wyjaśnienia, a pytania jęły coraz gwałtowniej sypać się na porucznika.

Stadnicki plątał się, lecz wymijał szczęśliwie nasuwające mu się wciąż myśli o “bigosie”, który niewątpliwie spadnie i nań i na całą rodzinę Gotartowskicli, razem ze szwoleżerami.

Pani Jadwiga zresztą i pani Zofia, w radosnem uniesieniu, nie zauważyły nawTet zafrasowania porucznika.

Za stołem dopiero pierwszy wybuch radości przeszedł w spokojne ukontentowanie, w pełną otuchy gawędę, w dociekanie szczegółów, towarzyszących powzięciu przez StadnickiegOi tych pomyślnych wieści, w uwagi ku ostatnim nowinom politycznym a rachubom.

Stadnicki dosyć niejasnych udzielał odpowiedzi, a co chwila, rwał rozmowę i zmieniał jej przedmiot na błahe plotki warszawskie o sporach między księciem Józefem a Zajączkiem, o melancholii imć pana Jakóba Sokołowskiego, o uroczystościach krakowskich, z powodu zorganizowania gwardyi narodowej, i o wielu innych podobnych sprawach.

A że porucznik owe zwroty ku plotkom czynił niezręcznie, a nawet obcesowo zbywał, zadawane

mu, pytania, więc, mimowoli, obudził niepokój w pani Jadwidze.

. — Waćpan zdajesz się małą wagę przypisywać ruchowi wojsk napoleońskich ku nam?

— Zapewne... bo cóż, ruch, a zresztą niewiadomo. .. Wojna — oczywiście wojna!

-— Ciężko żyć w takich czasach, jak nasze. Proboszcz powiadał, że lada dzień trzeba się spodziewać werbunku. Piętnaście dymów, a niewiadomo, czy bodaj jeden zdatny parobczak się znajdzie.

•—■ Cóż, odmówić, psia mać.. . i koniec!

— Masz radę! — bąknęła Żubrowa na szarym końcu stołu.

—■ Łatwe wyjście z kłopotu! — zauważyła pani Jadwiga. — Jeno, gdyby tak wszyscy czynili, nie wiem, coby z tego wynikło. No, a przytem, przecież i tu, w zaścianku, bije serce dla służb publicznych... Patrz waćpan, niedawno sześciu ich było, obacz, że zostało jeno to chłopię...

Pani Jadwiga spojrzała na jasną twarz najmłodszego syna, wpatrującego się ze skupieniem w porucznika i zamyśliła się smutnie.

— Piąty rok wojny!

— Piąty rok, powiadasz waćpan. Powiedz raczej : dwudziesty!

-— Pani matko! — ozwała się z perwazją pani Zofja do świekry. — ToWtrzeba-mieć..ufność...

—■ Wracają do dom., zdrowi...

— .A. Staszek?! ■—■ zagadnęła nagle pani Jad--wiga.

Cisza zaległa izbę. Nawet panna Urszula, rzucająca od czasu do czasu groźne spojrzenia na porucznika, pochyliła główkę.

Stadnicki jął targać bokobrody.

— Przecież niepodobna, żeby przepadł... znajdzie się. Teraz z prusakami zgoda, możnaby wszcząć znów poszukiwania.

— Oczywiście, oczywiście !—potwierdziła skwapliwie pani Zofja. — Jak Florek wróci, to natychmiast zacznie poszukiwania.

— Daj Boże! Niczego nadto nie pragnę, byle ta dręcząca niepewność odeszła.

— Powiedzże waćpan, więc cały pułk szwoleżerów gwardji wraca? — zagadnęła pani Jadwiga, chcąc przerwać bolesne wspomnienie o Staszku.

—■ Tak powiedział Jankowski.

— A cesarz?

-- W Paryżu.

— To niemoże być! — wmięszała się energicznie Żubrowa.

Stadnicki poczerwieniał.

— Jakto nie może być?! Powiedziałem, psia mać, że jest w Paryżu, to musi być!

— Pozwólcie, Żubrowa, pan porucznik wie lepiej • •.

— Każdy.wie swoje! Gwardje tam chodzą, -..gdzie chodzi cesarz ■—• a nie supponuję, aby pułkowi szwolćżćrówL-dali odprawę.

—Dali czy nie dali, -a pułk ciągnie do nas ! I to sobie zakonotujcie, że, do stu piorunów, czas wielki, aby gwardja nasza własnego pilnowała obejścia, a nie mości francuskiej !

—■ Taka dobra mość francuska, jak i nasza!

— Tedy wyprowadzajcie się do Francji!

— Wyprowadzać się nie będę, bom tu urodzona, i że tu dycham, to juści nie kto inny uczynił, je/no on, nasz cesarz, — Napolljon... “carramba, sacrebleu ! ’ ’.

, Stadnicki rzucił się na, stołku całym ciężarem swego potężnego ciała.

/ — Co wy mi z Napoljonem! Dosyć mam waszego Nąpoljona! Uczynił, co dobrego dla nas, to z lichwą wziął krwi żywej. Niczego darmo nie dał. Po świecie nas porozwlekał.

Porucznik posiniał. Uderzył pięścią w stół i umilkł, — sapiąc gwałtownie.

Pani Jadwiga, na ten wybuch Stadnickiego, eheiała odpowiedzieć perorą, skierowaną do Żubrowej, a wymierzoną politycznie do porucznika, lecz markietanka nie dała jej przyjść do słowa.

— Mości panie poruczniku — zaczęła ze drżeniem w głosie — baba jestem ordynarna i głupia, a w dodatku tyle od innych głupsza, że stara — lecz na owo bluźnierstwo o cesarzu niech panu porucznikowi odpowie bodaj jedna mogiła polska. Ci, co legli, myśleli inaczej, wiedzieli, gdzie racya. Jeno ci, których kule ominęły, zezują do wczasów i kąta!

Baba odetchnęła ciężko. Porucznik bębnił niecierpliwie palcami po stole. Pani Jadwiga uznała za właściwe przerwać spór, a skarcić zbytnią żywość markietanki.

—■ Moja Żubrowa,, imacie się sądzenia o sprawie, o której trudno wam mieć dobre pojęcie. Cesarzowi porucznik niczego nie ujmuje, jeno, nie bez kozery, mniema, że ten nie o nas się turbuje!

— Nie może być!

—• Więc zostawajcie przy swojem.

— Zostanę, jakem Muszyńska z domu.

—■ Cmentarze chcielibyście mieć na ziemi rodzonej, a nie grody, nie miasta, nie sioła! — zakrzyknął groźnie porucznik.

— Cmentarze? A cóż złego cmentarz?!. ?. Zważ,

mości poruczniku, jako na dawnych kurhanach zboże się pięknie zieleni!

— Dosyć tych wywodów, moja Żubrowo! Z poczciwości one u was się rodzą, ale i z zapalczywości.

Markietanka chćiała się bronić, lecz pani Jadwiga powtórzyła stanowczo:

—■ Dosyć!

Baba podniosła się z za stołu.

— Oho, kiedy dosyć, to dosyć!... Rusz się, Macieju, bo nam, starym, lepiej odejść, niż słuchać nowomodnych racy i!...

Żubr powstał w milczeniu, baba mruknęła coś pod nosem i wyszła, pociągając za sobą męża.

— Dobrzy ludzie — zauważyła pani Jadwiga, po odejściu Żubrów — jeno nie do rozpraw o cesarzu. W ogieńby za niego szli. Aż nieraz z tego przykrość, bo, niech słowo Radnie, już ich wyprowadza z równowagi.

—, Zatruło ich! — bąknął Stadnicki. — Nie oni jedni...

Gdy wstano o^ stołu, i wymieniano wzajemne podziękowania, porucznik znalazł się niespodziewanie wobec panny Urszuli, a wspomniawszy na swoje niedawne zapomnienie przy przywitaniu, skłonił się jej z przesadzoną powagą i ozwał uroczyście:

—■ Mościa panno, mocno obligowany!

Panna. Ur/zula poczerwieniała, rozwarła nerwowo chrapki iódrzekła bez namysłu:

— I ja ńocno obligowana za taką fatygę.

Porucznik cheiał coś rzec, lecz panna Urszula wykęeiła się i wybiegła z komnaty.

Pani Jadwidze zrobiło się nieprzyjemnie za tę nową kohfuzyę, która, po przemówieniu się z markietanką. spotykała jej gościa, więc, zleciwszy sy-

nowej zajęcie się porucznikiem, poszła szukać córki.

Pani Zofia odgadła inteńcyę świekry.

•—• Nie bierz-że waszmość za złe tej kózce...

Stadnicki machnął ręką.

— Nie mam szczęścia. No, nie potrafię z babami... i koniec! —- odrzekł porucznik i, obejrzawszy się dokoła, dodał ciszej: — mam pisanie dla pani.

— Pisanie dla mnie?... i nic mi nie powiadasz?

— P.o właśnie mam zlecenie, aby je w tajemnicy doręczyć. Proszę! Niechże go tylko nikt nie dostrzeże... Od Florka!

Pani Zofia rozerwała gorączkowo pieczęć i jęła szybko przebiegać list, mieniąc się kolorami i nie mogąc powstrzymać się od odruchowych wykrzykników. Gdy skończyła, twarzyczka jej spoważniała nagle.

—■ Waszmości więc już jest wiadomo?

Stadnicki skinął twierdząco.

— Przeczucie mnie nie zawiodło. Nowina, którąś mi przywiózł, obok radości, kryła i smutek. Biedna pani matka!... Marceli zastanowienie postradał ! Żenić się z kim ? — z włóczęgą cygańską! Zapomnieć o powinnem zachowaniu dla matki, dla rodziny, dla imienia! Florek mi piszę, żeby przygotować matkę. Czy podobna? Znam świekrę, wiadomość o śmierci syna mniejby ją wstrząsnęła. Raczej na Marcelego trzeba wpłynąć, zakląć go, przełożyć mu...

— Nie. Nie poradzi! Opętało go i teraz się już zeń nie wyrwie. .

—- Lecz od czegóż wola, siła, męzkość! ?

Porucznik wyciągnął swe wielkie kiście rąk i spojrzał na nie pogardliwie.

—■ Siła! Duża z niej pociecha! Jednem wes-

tchnieniem obali cię,- złamie, weźmie z ciebie, co ze-cb.ee...

Słowa te wyrzekł porucznik z taką, desperacyą, że pani Zofia nie mogła powstrzymać się od uwagi:

— Możnaby przypuścić, poruczniku, że waćpan sam masz nielada sprawę sercową.

— Ja, sercową? Nigdy!... Nie potrafię z babami... Mnie nic po.'tern...

— Przyjdzie i na waćpana.

—■ Nigdy, mościa pani, przenigdy! Do sentymentów nie pasuję, akkomodować nie umiem, no i... nie lubię !... Lecz co o tern!... Najważniejsze, że-z Marcelim coś trzeba...

— Florek, nie bez kozery, ma do waćpana zaufanie.

—■ I dlatego na mnie zwala takie misje! Epistołę d.o mnie wysztukował, niczem uniwersał. Dwa dni czytałem. Liter naciukał całe lasy«... ślepiaj, a nie odróżnisz, gdzie brzuszek, gdzie ogonek, a która kropka której literze się należy.

—■ Pozwól mi, waszmość, tego listu — dopomogę.

Stadnicki zawahał się, lecz po chwili, sięgnął w zanadrze i wyciągnął zwitek papierów, owinięty w fular.

—• Tajemnicy niema. Proszę! Niech się waszmość pani przekona, czy nie mam racji.

Pani Zofja w milczeniu rozwinęła papiery i jęła chciwie czytać! Stadnicki mierzył wciąż izbę wielkimi krokami, spoglądając, od czasu do czasu, ku pani Florjanowej, a niekiedy chrząkając, jakby na znak, że ma coś do powiedzenia. Aż Stadnickiego zniecierpliwiło to długie czytanie. Szurgnął mocniej, znów odchrząknął, a wreszcie, dźwignąwszy

pogardliwie ramionami, wyszedł z komnaty do sieni, a stąd na podwórzec flowarczny.

II.

Porucznik z uczuciem ulgi odetchnął wilgotnym wiewem marcowego wiatru, rozejrzał się po zabudowaniach folwarcznych, zaczynających spowijać się mrokami, zajrzał do stajen, huknął na swego pachołka, aby mu bryczkę, ze świeżego błota oczyścił, a potem, czując potrzebę ruchu, zwrócił za dwór, do ogrodu, i tam jął kołować po ścieżkach a kluczyć bez celu.

Stadnicki był zły. Zły na siebie, na Florjąńa, na Marcelego, na swój przyjazd do Gortatowic, na mąrkietankę, co mu się hardo stawiła, na panią Zofję, że przyjaźń mu wypominała, na chłopca, co bryczki nie obmył, na wodę, chłepczącą mu pod nogami, na idący ode wsi monotonny pisk skrzypiec i wtór ociężali basetli.

Porucznik cheiał zastanowić się, rozważyć położenie, 'znaleźć punkt wyjścia z tego koilska, w które wpadł mimowoli, lecz ani rusz, nie mógł sobie dać rady z myślami. Plątały mu się osoby, wypadki przedmioty tak nielitościwie, że Stadnickiego pasja ogarnęła. Kopnął z irytacji, wystający nad ścieżką, krzak głogu. Krzak chlusnął nań kroplami nieobsiąkniętego dżdżu.

Głusza, ciemń i martwota, bijące z każdego zakamarka ogrodu, zaczęły powoli uspokajać Stadnickiego,

Porucznik machnął raz jeszcze energicznie ręką, a potem zapadł jakby w toż samo odrętwienie a zobojętnienie, w^r którem zadawała się trwać natura.

Ponad strzechą stodoły ukazały się różowe smugi dawno zapadłego za chmurami słońca.

— Znów plucha! — mruknął, do samego siebie porucznik. — Niech sobie plucha!... Ten ci ciągnie smykiem, jakby drzewo piłował. Świętarek! Ten był do każdego instrumentu! Leży sobie w wąwozie somosierskiem. Chociaż i Duszek umiał... Bodaj go z tym smykiem!... Uszargam się, jak nieboskie stworzenie... Choćby nawet —■ zawszeć tu snadniej, niż w tym. babieńcu. Język sobie można upytlować!... Gdzie też teraz się podziewa grosmajor Michałowski?... Pewno już ma awans — takiby nie miał!... Cóż — na wsi dobrze cicho, spokojnie?... Pójdź tu, piesku, pójdź!... Szczerzysz zęby?... Umykaj, bo nie lubię, psia mać...

Porucznik w tern miejscu urwał nagle, bo tuż przed nim, niby z pod ziemi, wyrosła smukła, wiotka sylwetka. Stadnicki cheiał zagadnąć nadchodzącą, lecz sylwetka, idąca nierównie szybciej'od porucznika, całym swym ciężarem wpadła na Stadnickiego.

Porucznik stropił się. Sylwetka odskoczyła w tył, wydając okrzyk przerażenia.

— Przecieżem nie żadne licho! —■ oburknął się porucznik.

— To waćpan... waćpan... zawsze waćpan!... — ozwał się znajomy Stadnickiemu głosik.

— A, imć panna Urszula!... Przepraszam! Nie widzałem !...

— Nie wątpię nawet • o tern, żeś waćpan • nie mógł mnie dojrzeć...

— Pewnie, bo ciemno. Waćpanna zresztą samaś na mnie wpadła...

— Gdybym supponowała, że waćpan tu... tobym z pewnością nie weszła mu w drogę. Bo... właśnie tu się skryłam, aby waćpanu nie zawadzać.

— Mnie zawadzać? .Cóż znowu! Mnie nikt nigdy nie zawadza,; bo jak tego, to ze mną sprawa!

— Ja też nie wchodzę i... i... przepraszam...

— Za pozwoleniem... to ja powinienem przeprosić !

'•—• Przeprosin nie przyjmuję, lóo mi się od waćpana nie należą. Dworskość waćpana dla białogłów jest mi znaną.

— Przymówka? Niech sobie będzie... Z babami nie lubię... i koniec!

— Z babami? Daruj waszmość, lecz nie zasłużyłam sobie na miano baby!

— U mnie wszystkie są babami. Młoda, leciwa. . . każda baba i już.

— Waćpan jesteś impertynent!

— Wcale, się nie obrażam.

— Bo mnie waćpan masz za nic!

— Może... jeszcze... za coś gorszego!! — wybuchnęła panna Urszula.

—- Może! — warknął opryskliwie porucznik.

Panna Urszula nic nie odpowiedziała. Ustąpiła kilka kroków w bok, ku jabłoni, wsparła się na mokrym pniu i stała tak nieruchoma, przytulona do drzewa.

Stadnicki odsapnął i spojrzał ku stronie, gdzie widniał cień panny Urszuli. Cień zdawał się być skamieniałym, zrosłym razem z pniem, ku któremu się chylił.

Porucznik nie wiedział, co ze sobą począć. Pozostawić pannę Urszulę samą i wracać do dworu, nie zdało mu się przystojnem. Po chwili wahania, postąpił kilka kroków naprzód i zagaił pojednawczo :*

— Mościa panno... mży! Dalipan mży! Tu przecież niepodobna...

Cień milczał. Stadnicki natarł energiczniej.

—■ Proszę darować, jeżeliin zawinił. Taki jestem z natury, a nie ze złej woli... Gdzie tu, na wilgoci takiej, stać!

I tym razem nie było odpowiedzi. Stadnicki przeczekał znów i podszedł do pnia, tak, że mimo ciemni, odróżnił drobne rączki panny Urszuli, okrywające szczelnie twarzyczkę.

—■ Mościa panno! —, zaczął raz jeszcze porucznik, starając się swemu basowi nadać możliwie ła- ■ godne brzmienie. — Mościa panno, sumituję się! Niech mnie pioruny, że się sumituję! Zawiniłem srodze, sam nie wiem czem, ale zawiniłem, psia mać... i koniec. Tak długo urazy żywić się nie godzi... Co tam, proszę odjąć łapiny i zgoda!

Przy tych ostatnich słowach, Stadnicki pochylił sicy ku pannie Urszuli i dotknął jej rąk. Panna. Urszula targnęła się całem ciałem.

— Hm! Za twoje myto... Kiedy tak, nie śmiem nalegać, żeby mnie nie spotkał nowy despekt. Wola waćpanny, na tern pustkowiu, kataru szukać — nie mam prawa odwodzić. Sługa najniższy!

Porucznik skłonił się uroczyście cieniowi panny Urszuli i. zawrócił ku dworowi. Zaledwie atoli uszedł kilka kroków, gdy doszło go przeciągłe, spazmątyczne łkanie.

Stadnickiego mrowie przeszło. Zatrzymał, się, sam. nie wiedząc, co począć. Łkani etymczasem rozlegało się coraz silniej, coraz żałośniej.

Porucznika coś za serce ścisnęło. Zaklął siarczyście i skoczył do drzewa, pod którem zostawił był pannę Urszulę.

— Mościa panno!

Odezwanie się porucznika zwiększyło potok łez.

Stadnicki stracił ostatek cierpliwości. Ujął pannę Urszulę za ręce, odciągnął od pnia i próbował uspokoić.

—■ Mościa panno, przecieru nie rozbójnik żaden! Tyle łez wylewać! Przyjechał, jutro ruszy na cztery wiatry i ani dymu, popiołu po nim!... Bij waćpanna, kiedy wola, siecz, rąb mnie, ale. / ale mi nie szlochaj!

— Ma-a-a-ło... waćpan mi nadóku-ku-czał! — wyjęczała panna Urszula.

— Ja, ja!... Nadokuczałem?

— A... kto? Ja wiem, że masz mnie waćpan za nic —• ale... ale tak dokuczać okrutnie!... O, ja nieszczęśliwa!

Stadnicki aż się ugiął pod ciężarem tego oskarżenia. Ogrom winy popełnionej wydał się porucznikowi tak Oczywistym, tak niezmierzonym, że, w poczuciu skruchy, sam nie wiedząc co czyni, objął pannę Urszulę, podniósł zlekka i, kołysząc na swem potężnem ramieniu, koił.

— Już mi waćpanna zapomnij... Obwieś jestem, . nikczemnik zgoła, prostak!

— O... i... taki despekt, — kończyła panna Urszula, szukając dla swej główki oparcia na piersiach Stadnickiego.

Porucznik tymczasem, trzymając w objęciu drżącą łkaniem, drobniutką postać panny Urszuli, ze skruchy wpadł w chęć zmazania winy za wszelką cenę.

— ¿ato waćpannie wynagrodzę. Gburem byłem, lecz ja to naprawię. Muszę, do stu par dyabłów, naprawić! •

Panna Urszula trzęsła z powątpiewaniem główką.

-- Nie, nie, stało się... Taki despekt.

— Muszę! — mruczał zawzięcie Stadnicki.

— Ja wybiegłam do waćpana, bo waćpan nie zdawał mi si ęobcym! Florek powiadał mi zawsze, że... że lepiej niż rodzonyś... a... waćpan aniś się ze mną nie przywitał, jakbyś mnie nie widział — a potem jeszcze pani matka na mnie....

— Kupię waćpannie pudełko tureckich bakalji i przez umyślnego z Warszawy przyślę.

— Nie, nie chcę bakalji!...

.. —• Błękitnego atłasu na kontusik!

— Nie trzeba — mam trzy...

— Sepecik z różanego drzewa, mam go po chrzestnej ...

— To go waćpan chowaj!

— Coś przecież waćpanna pozwól...

— Nie chcę nic! Kontuzję waćpan mi wyrządziłeś, srogą kontuzję — despekt taki, że... że sama nie wiem! Na puszczę bym uciekła, do boru bym się schroniła, żeby... żeby ludziom w oczy nie patrzeć...

— Już mi się waćpanna nie skarż, bo mi trzewia wyprujesz... Moja wina, ale zawźaj, żem gotów na wszystko, byłeś darowała, byłeś nie miała żalu, bo nie mogę, bo nie lubię, i ten... Każesz, a bodaj się obwieszę!

— Waćpan tylko tak sobie mówi... a żebyś słyszał, co pani matka'do mnie... Waćpannie w alkierzyku siedzieć, a nie kawalerom się pokazywać. Do wąćpanny z taką grzecznością nawet ciura nie zajedzie... Tak mówiła, pani matka — nawet... ciura mnie nie zeehce przez waćpana!...

—■ Jakto, ciura?

— Tak, nawet ciura ze mną się nie ożeni!. . .

Stadnickiego desperacja ogarnęła.

— To nie prawda! Ja z waćpanną się ożenię i koniec.

Po tern gwałtownem oświadczeniu, nastało głuche milczenie.

Naraz panna-Urszula, jednym zwinnym ruchem, wyślizgnęła się z ramion porucznika i stanęła przed nim.

Stadnicki westchnął i ręce wyciągnął, jakby c-hciał ten wymykający mu się ciężar uchwycić, lecz się opamiętał. W tejże samej chwili, około ust, uczuł dotknięcie małej, delikatnej rączki.

—■ Pocałuj, waćpan! — rozkazał poważnie dobitny głosik panny Urszuli.

Porucznik, bez namysłu, cmoknął z hałasem po rączce i nawet chciał rozkaz ponownie spełnić, lecz rączka usunęła się szybko. Stadnicki odchrząknął-.^

—■ Widzi waćpanna..; waćpanna doprawdy uraziła się niesłusznie, boć wszystko, lecz nigdy w świecie...

— Kiedy się żenisz, to skończone! — przerwała krótko panna Urszula.

—■ Hm, pewnie, że skończone, nawet grzechem byłoby, gdybyś waćpanna mnie pomawiała...

■- - W raca j 11: y!

— Góż wracajmyj~kiedy—c-ola-.-—

. Panna. Urszula zawróciła ku domowi. Porucznik ledwie mógł za nią nadążyć. Pode dworem panna Urszula przystanęła nagle.

— Waćpanowa komnatka tędy — drugie drzwi! Pocałuj waćpan — kłaniam.

Rączka panny Urszuli po raz wtóry musnęła szezecinowatyeh wąsów porucznika i znikła razem ze swoją panią w oświetlonej sieni.

Stadnicki stał przez chwilę zapatrzony w sień. Wreszcie dźwignął się ociężale i poszedł do wyzna-

czonej mu izdebki. Tu dopiero myśli zebrał i jął rozważać. Porucznika jakiś bunt wewnętrzny szarpnął, jakaś pasja zdjęła.

— Skończone! — mruczał do siebie półgłosem. Co ma być skończone? Nic nie jest skończone! — Trznadel taki! W jedno ramię niema eo zabrać. Jak się sadzi! Tfy! A żałości tyle, że clioć utop się we łzach. Nie lubię, psiamać! Truśia! E... faramuszki. Miałbym ezem sobie głowę suszyć!... Obrzask jeszcze czuję od tej kurzej łapki. Nie lubię psiamać!... -

Stadnicki pogładził bokobrodów, objaśnił topiącą się świecę i podsunął do maleńkiego zwierciadełka, stojącego na-kominku. W zwierciadełku odbiły się ciężkie rysy twarzy porucznika.

Stadnicki splunął.

—■ Pewno, że chyba tylko takie pisklę może sobie wtakiej prezencji coś imaginować. Niech sobie; żart tynfa wart.

Te. rozpamiętywania przerwał porucznikowi pachołek, wzywający na wieczerzę.

Za stołem, Stadnicki usiłował rozerwać zamyślenie pani Jadwigi a roztargnienie pani Florjanowcj. Rozpowiadał więc dość żywo, choć nieszczerze, bo mimowoli powtarzał jedne i też same nowiny. Słuchacze byli atoli tak nieuważni, iż nawet nie postrzegli ani tego powtarzania, ani tego dziwnego pomieszania, z jakiem porucznik odwracał się od natarczywego wzroku panny Urszuli.

• Koniec wieczerzy powitali wszyscy z odcieniem zadowolenia. Każdemu snąć pilno było do samotności.

— Waćpana nie zapraszam — rzekła pani Jadwiga na dobranoc proucznikowi— bo wiem, iż nie

wyrządzisz nam tej przykrości i zostaniesz... bodaj do powrotu.

— Radbym, pani dobrodziejko, radbym. Ale właśnie, psiamać... to jest niepodobna. Pilne sprawy — papiery muszą do piotrkowskiego departamentu.

—• Jeszcze nie biorę tego za odmowę; tuszę, że noc namysł waćpanu przyniesie — a, w każdym razie, proszę go o chwilę rozmowy.

Stadnicki skłonił się.

— I ja od siebie przekładam intencyę — wmieszała się pani Zofia, a gdy porucznik do ręki jej się chylił, dodała ciszej: — Muszę z waćpanem pomówić.

Stadnicki raz jeszcze zapewnił,, iż obowiązki niewolą go do szybkiego powrotu i wyszedł do sieni, a-* by udać się do swej komnatki. Lecz, gdy miał ująć za zaworę drzwi, prowadzących z sieni do małego przejścia, stanęła przed nim panna Urszula. Porucznik.zmieszał się.

—■ Bardzo miło, chciałem właśnie życzyć dobrej nocy.

Panna Urszula odgarnęła promień jasnych włosów.

— Waépan jutro myślisz odjeżdżać?

-— Jutro?... jutro, to jest... bo ten, skądże!...

— Słyszałam —■ odrzekła z powagą panna Urszula, wskazując na dziurkę od klucza!

—■ Aha, więc ciekawość...

—■ Waćpan jutro? — przerwała ostro.

— Jutro.

—■ Więc musimy się jutro rozmówić!

—- Rozmówić się ? Niby. .. my!

•— Tak! — szepnęła panna Urszula, wskazując kolejno paluszkiem na siebie i porucznika.

— No, to się rozmówimy ! — zakonkludował hardo Stadnicki.

— Jutro, przed obiadem, w tem samem miejscu.

— W tem samem.

—■ Pocałuj, waćpan!

Stadnicki sponsOwiał i nachmurzył się, lekceważenie było nazbyt widocznem, lecz, nagle, wzrok jego zatrzymał się na wyciągniętej a podniesionej tuż prawie około jego ust rączce — i usta jego mimowoli złożyły się do pocałunku. Ale, zanim ten przebrzmią! a Stadnicki się spostrzegł, panna Urszula mignęła we drzwiach przeciwległych swym granatowym kontusikiem i znikła.

(

III- '

Stadnicki miał sen niespokojny. Mary i widziadła po kilkakroć go budziły. Porucznik wstawał, gasił trawiące go pragnienie wodą ze dzbana, poprawiał posłanie i znów snu szukał.

Nad ranem dopiero, naszło nań uspokojenie, sen twardy, a wraz z nim już zgoła przyjemne rojenia. Oto widziało się porucznikowi, że siedzi przy ognisku obozowym, między szwoleżerami, i, racząc się przedniem winem hiszpańskiem, tnie gawędę. Jużci przedmiotem żartów jest wachmistrz Babecki, któremu osobliwie Marceli Gotartowski dopiekać potrafi, ku wielkiej uciesze starego Wasilewskiego.

I Stadnicki nieomal że słyszał mocno piskliwy głos Litwina Babeckiego, odpowiadającego na wszystkie apostrofy ulubionem: “a tam, kochanieńki, popatrzysz” — czuł parskanie Marcelego, chwytał raźny chrzęst a gwar obozu, a nawet rozróżniał, idące z dali, dźwięki trąbki.

Widziadło to było tak uchwytne, tak blizkie. tak rzeczywiste, że porucznik aż targnął się całem ciałem, niby dla przekonania się, iż to nie jawa, lecz sen. Skutek nastąpił- niespodziewany. Twarze Mar-, celego i Babeckiegó uwypukliły się — a znajome dobrze Stadnickiemu głosy dawnych towarzyszy huknęły wyraźnie:

— Wstawaj, śpiochu. Apel, do krocset! Formuj się! Zbieraj' kości!

— Porucznik .dźwignął się, oszołomiony, zdumiony, lecz, w tejże chwili, znalazł się w objęciu dwojga ramion.

— Co to? Kto? Nie lubię, psiamać! —- mruczał porucznik zaspanym głosem.

— *A.* cóż u miliona, panie Józefie! Gęby!

■—• Gęby, gęby, kochanieńki! Ot się utuczył!

‘— Świderek! Baba z Wyłkowyszek! — ryknął Stadnicki pełną piersią i, całą odzyskawszy przytomność, jął ściskać kolegów. *

Rozmowa szła bezładna,-gorączkowa.

Na opowiadanie w dodatku i czasu nie było, ile że do drzwi izdebki Stadnickiego pukano raz po raz, na znak, że i pozostali mieszkańcy dworku słuchać chcą relacyi, a widokiem drogich gości się cieszyć.

Przerwano więc gawędę i ruszono do jadalni. Tam, po usadowieniu się, rozmowa potoczyła się żwawo.

Pani Jadwiga z rozradowaniem spoglądała na syna, na jego rysy młodzieńcze, a już na marsy wykute, na krwawą wstęgę legii, znaczącą pierś, na srebrną szlufę, zdobiącą ramię Marcelego. Fabianek przyrósł prawie do braterskiego pałasza, panna Urszula tuliła się do wzorzystego szala hiszpańskiego, a badawczym mierzyła wzrokiem pana Józefa; pani Floryanowa raz poraź wtrącała pytania o męża, a

Żubr z Żubrową, niby basy w orkiestrze, wtórzyli, od czasu do czasu, dosadnemi półsłówkami.

Po pierwszym zamęcie, po pierwszem wyrzuceniu z siebie najgwałtowniej cisnących się myśli, rozmowa zaczęła się w. ład stroić i porządek, a z nią razem gruntować pierwsze postrzeżenia zmian.

Marcelemu postać matki wydała się mocno pochyloną ku ziemi, Urszula niepodobną zgoła do tej dawnej, swywolnej dzieweczki, i kilimki na ławach spłowiałemi, i zegar chroboczący przeraźliwiej, niż dawniej, i całe obejście dworku smutniejszem, nie tak jak nie gdy, jasnem.

Lecz jeżeli Marcelego uderzyły te zmiany, to bodaj daleko silniejsze wrażenie zmiany on sam wywarł na obecnych.

Bo też pamiętano go tu ledwie wyrostkiem, chłopięciem prawie, i takim go ujrzeć się spodziewano. Tymczasem pięć lat życia obozowego, pięć lat krwawej służby wyryły na Marcelim niezatarte ślady, spędziły z jego oblicza dawny uśmiech, pogodę, światło.

Marceli miał zaledwie dwudziesty drugi rok, był wątły, szczupły, a przy buńczucznych, śmiałych swych ruchach zdawał się jakby przemocą wtłoczonym w wielki mundur szwoleżera gwardyi. Ręka Marcelego drobna, mała, wsparta na głowni pałasza, wyglądała na niezdolną do objęcia rękojeści, a cóż dopiero do dźwignięcia ii zadania ciosu. Mundur na piersiach młodego porucznika zapadał się, włamywał razem ze wstęgą legii, a choć' Marceli stroszył jedwabiste wąsiki, choć czupryna w kogucie układała mu się grzebienie, choć ciemno-popielate oczy paliły źrenicami, choć gardłowy głos wpadał w zawadyacki impet, a -sypane gęsto zaklęcia każde odezwanie się jego tężyzną przejmowały a

fantazyą, — jednak, w twarzy ¡Marcelego w ruchach niespokojnych, w spojrzeniu było coś, co panią Jadwigę trwożyło, co zastanawiało panią Zofię, co niemile tknęło Stadnickiego, a Żubrowej zerwało z ust cichą uwagę. Nawet wachmistrz Babecki, jakby odgadł był wrażenie, bo nagle głowę zwiesił i zamyślił się.

Marceli tymczasem, nie dostrzegłszy ogólnego gwarzenia, rozpowiadał dalej dzieje hiszpańskiej kampanii.

Naraz, przeciągły, duszący kaszel chwycił go za piersi, zakotłował całym ich ośrodkiem, ponurem echem odezwał się w .gardle i wybuchnął flegmą. Marceli wyciągnął czerwony fular, Splunął weń, zaklął po żołniersku, a spojrzawszy ku Stadnickiemu, zarumienił się.

Pani Jadwiga poruszyła się niespokojnie.

— Jesteś acan przeziębiony?

— No i właśnie. Mieliśmy, będzie temu dwa dni, zawieruchę, pod Poznaniem, ze śnieżycą. Zamoczyło nas. . . Ale, Babecki, toć mamy ze sobą hiszpańskie pukawski? Żubrowa, toć musicie znać castanuellos! ?

— Co nie mam znać. Miałam tego dobrego pełne uszy. Toć lada hiszpaniątko wystukuje temi drewienkami, a kręci się przytem a podryguje, aż do opętania..

— Oto są te drewienka, jak je nazywa Żubrowa. Z oliwnego drzewa, najprzedniejsze. Sznurki na palce się zakłada i teraz, dopiero!. ..

Marceli żasupłał na palcach kastaniety i jął wybijać takty bolera, przyśpiewując po hiszpańsku, a wywołując. wśród zebranych nowe ożywienie i rozgwar.

Jedna pani Jadwiga nie brała udziału w zabawie a- dopiero gdy Marceli opuścił zmęczone ręce, zagadnęła go niespodzianie o szczegóły ostatniej kampanii hiszpańskiej. Zapytany atoli dość zręcznie uciął kilka ogólnikowych zdań i zkolei jął pokazywać toledańskie sztylety, walecyąńskie wachlarze, korclobańskie trepki, raz po raz wysyłając Babeckiego do mantelzaków. Marceli prżytem tak umiejętnie stopniował pokazywanie zamorskich osobliwaści, tak rozpraszał uwagę zebranych, że ci ani spostrzegli się j%k zeszedł obiad, podwieczorek, a zmierzch zapadający o wieczerzy przypomniał.

Tu dopiero ozwało się i znużenie. Pani Jadwiga wyszła do gospodarstwa, za nią wymknęła się pani Zofia, wysunęli się cichaczem Żubrowie, zawieruszył się ¿Babecki i Stadnicki, nawet Fabianek w jakimś kącie znalazł bezpieczniejsze miejsce do zawarcia bliższej znajomości z pałaszem brata.

Marceli pozostał sam w izbie stołowej. Przez chwilę siedział nieruchomy, — aż znów atak kaszlu nim wstrząsnął. Marceli zgarbił się, szarpnął, załamanym na piersiach, mundurem i powlókł się c-ciężale do izdebki, zajmowanej przez Stadnickiego. Tu zastał był pana Józefa, zajętego pąkowaniem podróżnego tłumoczka.

Stadnicki, na widok Marcelego, podniósł głowę, spojrzał badawczo na dawnego towarzysza broni, mruknął coś pod nosem i z większą jeszcze pasyą, niż przedtem, manatki swoje zbierał.

Marceli stanął w oknie i czoło do szyby przycisnął.

— A cóż wy, panie Józefie, wybieracie się w drogę? — zagadnął niępewnie Marceli.

Stadnicki śmignął trzymanym butem.

— Ja-dę! Dziś jadę! Jakbyś wiedział!

— Tak wam dokuczyła gościna?

— Nic mi nie dokuczyło. Jadę i basta!

— Wola wasza. Jeno nie rozumiem tej irytacyi. Chyba wam tu serca nie poskąpiono..

— Co ty mi o sercu! Nie chcę żadnego serca! Ja sobie, a wy sobie. Ani ja dla was, ani wy dla mnie. Rozumiesz!? .Wali się cała chałupa, niech się. wali! Stadnickim się urodziłem i Stadnickim zdechnę. Gdzie but?!

—• Ugryzło was coś! Zaczekajcież do jutra, ruszymy razem.

Stadnicki drgnął, jakby chciał coś rzec, lecz, inną tknięty myślą, zaklął i bąknął z pasyą:

— Rób, co ci się podoba.

Pan Józef zaciągnął rzemień na tłumoczku i wybiegł wzburzony na podwórze ku stajniom, aby swemu .pachołkowi nakazać wygotowanie wózka cio drogi na noc.

Zaledwie atoli Stadnicki przestąpił próg sieni, gdy, z poza słupka ganku podjazdowego, wysunęła się*ku niemu drobna postać panny Urszuli.

Porucznik szurgnął nogami zamaszyście, chcąc niespodziewaną przeszkodę wyminąć, lecz panna Urszula równie szybko w tę samą zwróciła się stronę.

Panna Urszula wyrzuciła jednym tchem;

—■ Godzinę całą stałam w ogrodzie. . . przed obiadem...

— Waćpanna była w ogrodzie?

— Całą godzinę. •

— Hm, to bardzo zdrowo.

— .Miałeś waćpan przybyć.

' — Ja, ja? Miałem?

—• Zapomniałeś waćpan, że mieliśmy się rozmówić. ..

Stadnicki spojrzał w utkwione w siebie oczy panny Urszuli, pochwycił energiczny ruch jej rączki, którym odgarnęła promień włosów, zsuwających się na czoło, i zmieszał się.

— Musimy się rozmówić! — powtórzyła stanowczo panna Urszula. .

— No więc rozmawiajmy.

—. Rozmawiajmy się! Słucham! Co mi masz waćpan do powiedzenia?

Stadnicki oblał się szkarłatem.

— Ja? Ja nie mam nic do powiedzenia.

— Jakto?

— No, nie mam, psia mać. . . i me. lubię! Nic napraszałem się do tego rozmawiania!

— A. .. a kto dał parol? — ozwała się zadyszanym głosem panna Urszula.

— Parol? Szkuta się rozbiła z parolami! No więc cóż! Jest parol!. . . —zakończył łagodniej Stadnicki, spostrzegłszy, że powieki panny Urszuli zaczynają drgać febrycznie.

— Więc przecież muszę wiedzieć kiedy.

— Co kiedy?

-y- No... parol! — szepnęła cicho panna Urszula, strzępiąc pazurkami -róg fartuszka.

—• Będzie!.

— Wiem, ale kiedy?

— Teraz gotuje się na wojnę, tedy waćpanna pojmujesz, że nijako byłoby mi... za piecem siedzieć ! — oświadczył uroczyście porucznik, rad, że na tak zgrabny wpaćłł argumenty

— Ja myślę! — potwierdziła z powagą panna Urszula/

— Co waćpanna myślisz?

— Że waćpan pójdziesz na wojnę!

— Że .pójdę? ! Proszę, .grzecznie mniemanie wcale spartańskie. Pójdę na wojnę! Jušci! Ot^oż masz waćpanna odpowiedź. Najpierw wojna, a potem trzeba z niej cało wrócić, bo jak ze mnie wróci połowa albo ćwierć, to niewielka pociecha!

— Nie szkodzi, byłeś... byłeś.waćpan o parolu nie zapomniał.

— Mocno obligowany. Cale pięknie wyprawiasz mnie, waćpanna, na kule !

Panna Urszula spojrzała swemi wielkiemi oczyma na porucznika i westchnęła.

— Jeszcze słowo!

Porucznik łypnął białkami.

— Byle krótkie, bo na tej wilgoci jeno się waćpanna kataru nabawisz.

Panna Urszula zdawała się nie rozumieć irytacyi, dźwięczącej w głosie porucznika i, zaniechawszy nagle strzępienia fartuszka, sięgnęła za gorsećik, wyjęła mileńkie zawiniątko i, miętosząc je w ręku, zaczęła nieśmiało:

— Tedy, kiedy waćpan idziesz na wojnę, to. .. ja właśnie. . . Bo powiadają, że. . . że. . . taki talizman szczęście przynosi... więc go weź.'., i trzeba, iżbyś go zawsze nosił. . . weź!

Panna Urszula wcisnęła zawiniątko w rękę Stadnickiemu i dodała:

— Parol, że będziesz go nosił?

Porucznik zatrząsł się.

— Nie, mościa panno, mimo całej atencyi wszystko, prócz parola. Dosyć mam parolów na głowie!

— Nie nalegam, byłeś nosił.

— Niby tę dutkę z gałganków?

■ — Trzeba!

— Hm! kiedy rozkaz, niema o czem mówić! Zaszyję sobie w podszewkę mundur a, w honor owem

miejscu. A teraz powinne służby, bo. do stajni muszę.

— Nie śmiem waćpana zatrzymywać — rzekła potulnie panna Urszula i, spuściwszy oczy i ująwszy za końce fartuszka, dygnęła porucznikowi-. ■Stadnicki odpowiedział przesadnie głębokim ukłonem.

Panna Urszula odwróciła się ku dworkowi, postąpiła kilka kroków, aż, jakby coś sobie przypomniawszy, zerknęła ku Stadnickiemu, zaczem przypadła doń szybko i, wspiąwszy. się na palcach, wygięła swą maleńką rączkę.

— Pocałuj waćpan !

Panna Urszula wyciągnęła najmniejszy paluszek lewej ręki i, pukając nim o prawą, objaśniła:

— Tu!

— Tu! —--wybuchnął z determinacyą .Stadnicki i mlasnął tak zajadle po ręku panny Urszuli, że az w podwórzu folwarcznem echo się rozległo.

Panna Urszula schowała rączki za siebie i wyjąkała :

— Tak, dobrze! — Przyczem oczy panny Urszuli spojrzały na porucznika tak wyraziście, tak długo, a tak smutnie, że Stadnicki aż głowę odwrócił. Gdy- zaś, po chwili, nowej pewności siebie nabrał i rubasznym żartem chciał owo całe „rozmawianie się" zakończyć, spostrzegł już tylko ruch zamykających się pośpiesznie drzwi dworku.

Porucznik odchrząknął, spojrzał na swą rozwartą wielką garść prawej ręki, na której leżał zwitek panny Urszuli i rozśmiał się sam do siebie:

— A niby trusia, a już ma swoje babskie fortele! Talizman! Pęczek konopi, czy licho wie!

Stadnicki jął rozsuplywać nić na zwitku a targać zawiązaniem, lecz nić pod palcami porucznika

pękła. Z gałganka wypad! maleńki ciężarek i teraz dopiero rozpoznał zawartość zwitka.

Składał on się nadewszystko z różowej wstążeczki, z promienia jasnych, równych włosów i z medalika z Matką Boską.

Porucznik dźwignął ramionami i, w pierwszej chwili, chciał rzucić gdzie za płot dar panny Urszuli, lecz, spostrzegłszy medalik, mruknął z napomnieniem :

— Częstochowska! — i zaczął oddzielać medalik od wstążeczki i włosów. Lecz zarówno włosy, jak i wstążeczka, były tak zawile uwiązane do uszka medalika, że lada niezgrabnem majstrowaniem usunąć się nie dały.

Stadnicki, zniecierpliwiony, wtłoczył dar panny .Urszuli w zwierzchni gałganek i włożył obojętnie do kieszeni.

— Niech sobie! Głupstwo, poćwirek! — zakonkludował i poszedł do stajni.

Tam sfukał parobka za nieoczyszczenie bryki, zajrzał do koni szwoleżerskich Marcelego i Babeckiego, opatrzył z zajęciem wojskowe kulbaki, wspomniał na dawną swoją i powlókł się ku dworkowi.

W drodze atoli napadło go myślenie i to tak raptowne, że Stadnicki, który rozpamiętywalí nie lubił, a strzegł się zawsze refleksyi wewnętrznych, bo nawet rady sobie z niemi da'ć nie umiał — aż przystanął.

—• Czy djabli! Co ona? Nie lubię! Paramuszki sobie stroi — trznadel taki, niedojadek! Na wojnę śle! Musisz, powiada. Rzymiańka za pęczek rzodkwi ! Znaleźli sobie Stadnickiego do wszelkiej wysługi !

Stadnicki urwał nagle, zaciągnął chustkę na

szyi i poszedł do swojej izdebki, w której pozostawił Marcelego.

Marceli leżał bez ruchu. Porucznika złość szarpnęła, wspomniał na konie do odjazdu, nacisnął kaszkiet i, trzasnąwszy drzwiami, wybiegł znów do stajen.

Gdy, po żywej utarczce z pachołkiem, Stadnicki wrócił znów do izdebki, Marceli leżał wciąż jeszcze na tapczanie.-

Stadnicki przeszedł się kilka razy wzdłuż i wszerz, aż, zwróciwszy uwagę na rozwieszony na oparciu krzesła, mundur szwoleżerski, zaczął go z upodobaniem rozpatrywać.

Stadnicki znał ten mundur. Taką samą miał, kurtkę granatową z amarantowymi wyłogami i z takiem samem srebrem brzeźeniem. Choć może niezupełnie, bo mundur Marcelego miał krój wyszukany, a i każdy szczegół wypieszczony tak, że nawet, choćby piękny byłby zeń uniform, choć różny kolorami.

Porucznik uśmiechnął się pobłażliwie, rozpostarł mundur i bąknął.:

—• Lala!

Poczem znów oglądał mundur, dotykał guzików, wodził delikatnie palcami po srebrnych sychach, aż, z kwaśną miną, jął go składać, aby na oparciu krzesła rozwiesić. Naraz uderzyło go zawiłe pikowanie na przedzie mundura. Stadnicki spojrzał i zdumiał się. Przód munduru był podszyty mięsistą poduszką. Porucznik chciał bliżej przypatrzeć się tej osobliwej poduszce, lecz mundur raptownie wysunął mu się z rąk.

— Za pozwoleniem! ■— bąknął poryskliwie Marceli, wdziewając pośpiesznie mundur. —■ Muszę zobaczyć, co Babecki robi.

Stadnicki brwi ściągnął.

— A cóż, czy ci bronię?

— Tak, ale dlatego mundur...

— Co mi do waszego munduru 1 Myślisz, że mnie obchodzi, że będę znów szczygła cesarskiego udawał, albo taką, opiętą, wywatowaną lalę?! Tak, tak, teraz sobie gębę w mące umaczaj, wąsy zlep woskiem, w .ucho załóż kolczyk, oczy podczerń i dopiero ci będzie z ciebie oficer!

Stadnickiego kolnęło coś, zrobiło mu się żal “świderka”, lecz równocześnie jakaś przekora podniecała go, do nowych ciągnęła napaści.

— Cóż się tak stroisz?

— Pani matka chciała zobaczyć wielki mundur.

— Ba, ale ty krygujesz się, jakbyś w konkury się wybierał... no, a właściwie jesteś już po konkurach.

Marceli rzucił się na Stadnickiego, wpił mu palce w ramię i rzekł drżącym głosem:

— Słuchaj, mam cię za uczciwego! Nie daj mi' zapomnieć, że jesteś pod dachem mojej matki!

—■ Odczep się, acan! Nie lubię! Matka waścina lepiej ci też same racye wyłoży i za splendor, jakim ród swój chcesz ozdobić, podziękuje!

Stadnicki skrzyżował ręce na piersiach i z wyzywającą miną podsunął się do Marcelego, lecz ten pobladł silniej, głowę przechylił i wyjąkał z trudem:

Jeżeliś to uczynił, Józefie, toś jej okrutną wyrządził krzywdę.

Stadnicki stropił się tą odpowiedzią i cheiał nowym potokiem przymówek zasypać Marcelego, lecz ten nacisnął czapkę i wybiegł z izdebki.

Porucznik zaklął, rozumiejąc, że za mało był jeszcze powiedział, że powinien był Marcelemu do żywego dopiec, boć zasługiwał. Stadnicki sam nie umiał sobie wytłómaczyć, w ezem tkwiła przyczyna

tego nagłego rankoru do “świderka”, lecz niemniej był święcie przekonanym o słuszności swego postąpienia.

Wieczerza zaczęła się chmurnie i ociężale. Zagadywała pani Zofia, niby opowiadał Marceli jakoweś przygody hiszpańskie a opisywał ostatnie bitwy, niby dopomagał mu Babecki, wtrącała pytania Żubrowa, pani Jadwiga siliła się w gorętszą strunę uderzyć, lecz napróżno. Milczenie co chwila zalegało stół, a już milczenie to najsolenniej zachowywali Stadnicki i panna Urszula.

Pierwszy, dla pozorowania swej niemownośei, jadł, zawzięcie, sprzątał wszystko, co mu podsuwano, a gdy pytanie wprost doń zwracano, odpowiadał ruchem głowy lub przytłumionem mruknięciem. Panna Urszula dotrzymała placu Stadnickiemu i, w ślad za nim, sięgała tak często do półmisków, że pani Jadwiga napomniała ją nieznacznie:

— Miarkuj się, waćpanna!

Panna Urszula cofnęła wyciągniętą łyżkę, zarumieniła się i spojrzała smutnie na kopiasto wypełniony talerz pana Józefa.

Po wieczerzy Stadnicki zaczął się żegnać, pozostając nieczułym na zaproszenia pani Jadwigi.

Tu atoli czekał na porucznika najprzykrzejszy moment — na ganku stał Babecki z Marcelim.

Stadnicki nie stracił na razie pewności siebie.

— Bywaj mi, babo z Wyłkowyszek! Dawaj gęby! Zobaczymy się pewno w Warszawie.

— A tam, kochanieńki, popatrzysz... choć będzie mi Spieszno do rodzicielów.

— A pamiętaj, nie wieź swoim ojcom takiej kaducznie głupiej miny, z jakąś tu przyjechał.

— Ilu, kochanieńki.

Stadnicki odwrócił się z kol,ei do Marcelego, który na stał na uboczu. Panu Józefowi zrobiło się nagle nieswojo.

— Świderek ! — wybełkotał niewyraźnie, biorąc Marcelego za guzik od mundura. — Byliśmy razem pod tym... pod tego... pod Tudelą, no i nie lubię.

— Bywaj'.

— Bywajl

— I, co tam... dawaj gęby, bo nie lubię!...

Pan Józef roztworzył ramiona, uniósł w nich prawie Marcelego i, nie czekając na jego odwzajemnienie się, wskoczył do stojącego przed gankiem wózka.

Stadnicki otulił się płaszczem, pacholik zaciął konie, wózek dźwignął się, zachlipotał w rozcieczy i zasunął się w ponurą płachtę dżdżystej nocy.

IV.

Stadnicki ledwie dnia następnego, około północy, dowlókł się do rogatek, warszawskich.

Pan Józef aż odetchnął. Świat, bez mała, przewędrował, a .takiego złośliwego marca nie spotkał. Toć dobę całą w odrętwieniu przebył — kosteczki całej mu nie zostawiło. Ale nie, jeszcze chwila i będzie w swoich komnatach, i dopiero wywczasu zażyje.

Wózek przesunął się szybko przez Elektoralną, Senatorską i zmierzał już ku Marjensztadowi, kędy była na skraju kamieniczka,, w której porucznik dostanie mieszkanko od wdowy po kapitanie siódmego regimentu, imć panu Dobrskim, zajmował.

Stadnickiemu^ przyszło na myśl, że nielada kło-

pot czeka go jeszcze, bo tam pokojowiec jego, Wańka, chrapie pewno, ani spodziewając się o tej porze powrotu swego pana. A może Wańki w domu niema, bo, nicpotem, umie się zawieruszyć.

Porucznika już niecierpliwość ogarniała, droga dłużyła mu się. Dla pośpiechu, już na Senatorskiej jął zdzierać dery, tak, że gdy nareszcie wózek przystanął przed sienią kamieniczki, pan Józef jednym susem był na ziemi. Tu otrząsnął się i spojrzał mimowoli ku pierwszemu piętru, gdzie były okna jego mieszkanka. Zdumiał się. Spojrzał po raz wtóry, przetarł oczy i jeszcze wątpił, czy go wzrok nie myli. Wszystkie pięć okien jego izdebek były łunami światła na ulicę.

Porucznik nie zastanawiał się dłużej, rozkazał pachołkowi tobołek za sobą wnieść i do stajen, na Bednarską, jechać, sam zaś wpadł do sieni, a stąd na piętro, do drzwi.

Za pierwszą kołatką drzwi otworzyły się na ścieżaj. Porucznik stanął oko w oko ze swym służącym.

— Cóż tó ? Co ?! — huknął z miejsca Stadnicki, nie odpowiadając na powitanie Wańki.

— Wszystko w porządku, melduję pokornie.

— Dlaczego nie śpisz? Co te światła?

— Lubią widno, proszę waszej wielmożności.

—• Zalałeś pałkę! Niema mnie, więc baraszkujesz! Pozapalałeś, światła, trutniu, szabas sobie odprawujesz!

— Pokornie melduję, że właśnie pani lubi!

—• Gdzie ? co za pani ?!

Wańka, przerażony’ groźnym głosem porucznika, wyprostował się, oczy przymrużył i wyrzucił jednym tchem:

—■ Musi żona waszej wielmożności!

Porucznik opuścił swą potężną, rękę na ramię służącego i szarpnął nim.

— Będziesz ty mi po ludzku odpowiadał ?!

Wańka aż się nagiął do ziemi.

— Wasza wielmożność darują... Raczyli przybyć. Mówię: wasza wielmożność raczyli wyjechać. Powiadają: nic nie szkodzi, tymczasem pomóż mi rzeczy rozłożyć; tu, powiadają, poczekam. Nie wiadomo, kiedy wasza wielmożność raczy wrócić! Nie, ja wiem, rusz się, carramba!... Więc, jak pani do mnie carramba, to... ja myślał, że musi nikt inny, tylko żona waszej wielmożności!...

Wańka jąkał się, mienił kolorami, łypał oczyma i pokornie spoglądał na swego pana! Stadnicki zęby zacisnął i zawrócił gwałtownie ku drzwiom, wiodącym do komnatek, aby coprędzej zobaczyć osobliwego gościa, acz w tejże chwili, drzwi- się -otwarły i na progu stanęła wysmukła postać kobiety.

Stadnicki o mało nie krzyknął ze zdumienia — kobietą tą była pani kapitanowa Niewodowska.

Porucznik skłonił się niezgrabnie, kapitanowa uśmiechnęła się.

— Widzę, że mi pan nie bardzo rad — ozwała się kapitanowa swym miękkim, cudzoziemskim akcentem.

— Cóż znowu, pani kapitanowo dobrodziejko.

— Musiałam! Nie miałam tu nikogo. Własnej szlachetności przypisz mój najazd. Stało się. Ale pozwól, panie poruczniku, dalej. Nie daj się prosić w swem własnem mieszkaniu...

— Bardzo miło, mocno obligowany! — mruczał basem porucznik, idąc, za kapitanowa.

Niewodowska wprowadziła pana Józefa do środka komnatki gościnnej, wskazała mu miejsce na stołku przed kominkiem, buchającym żywym o-

gniem, zakrzątnęła się w sąsiedniej kuchence, odbyła naradę z Wańką i dopiero, gdy na stole zjawił się dzbanek grzanej polewki winnej, chleb i ser, wówczas dopiero zwróciła się do Stadnickiego i zaprosiła do jadła.

Stadnicki przysiadł się do stołu, podniósł kubek z polewką do ust i zapatrzył się w kapitanową.

Niewodowska westchnęła, zastanowiła się i wybuchnęła nagle:

— Do klasztoru cheieli mnie oddać! Rozumiesz pan, do klasztoru! Uciekłam!

— Uciekła pani.

Kapitanowa ściągnęła łuki wielkich, jedwabistych brwi, na głębie oczu zapuściła ciemne zasłony rzęs.

— Nikogo nie łudziłam, nie wyprowadzałam w pole. Poszłam za Niewodowskiego, żeby nauczyć się waszego języka, poznać wasz kraj, żeby Floryana odnaleźć... I nie kryłam tych zamiarów! Był dla mnie najlepszym, najdroższym mi bratem i opiekunem. Szanuję go, powiem, kocham nawet, lecz, mimo woli, równocześnie nienawidzę. Dwa dni temu oświadczył, że wyjeżdża z Warszawy, że dostał awans na kwatermistrza i że musi jechać natychmiast ku granicy. Wiadomość przyjęłam bez wzruszenia. W ostatku zapowiedział mi, że mogę mieszkać dalej u jego ciotki, że polecił wypłacać część żołdu na mnie, wreszcie obdarzył mnie fundiisikiem na wypadek, gdybym do Hiszpanii chciała wracać, i odjechał. Żal mi go było serdecznie.

— Odjechał na zawsze?

— Tak, mówił, że na zawsze! — szepnęła kapitanowa. — Stokroć biedny! Więc odjechał. Zostałam z jego ciotką. Nazajutrz, ciotka do mnie z przemową, żebym z jej pomocy skorzystała i do klaszto-

ru Bazyljahek wstąpiła, gdzie bezwątpienia najdzie mnie uspokojenie. Oparłam się tej myśli stanowczo. Ciotka moją odpowiedź przyjęła uroczystem oświadczeniem, że, w nieobecności męża, muszę poddać się życzeniom jego rodziny. Zagroziła mi poprostu.

— A jejmość pani?! — huknął porucznik, którego już z pasyi na tę przemoc oczywistą, aż sapka napadła.

— Ja nie, milczałam na razie. Lecz: postanowiłam, za wszelką cenę, uwolnić się z tej opieki. Nad wieczorem zebrałam co najpotrzebniejsze drobiazgi, opłaciłam się służebnej i uciekłam tu, do pana. I teraz drżę, aby na mój ślad nie trafili...

— To i co z tego! Niech spróbują! Ze mną sprawa! Waszmość pani drwij sobie z pogróżek! W Polsce niema musu! Potrzeba będzie, to się sprawiedliwość znajdzie, a jak nie, to się i bez sprawiedliwości obejdziemy.

Kapitanowa wyciągnęła swą małą, wypieszczoną rączkę do porucznika.

—• Więc, panie poruczniku... ja z całem.-zaufaniem do pana... do niego muszę... do Floryana. Jeszcze raz chcę widzieć, jeszcze raz usłyszeć wyrok. Pan jesteś przyjacielem Floryana.

— Nigdy!

Kapitanowa zmieszała się.

— Więc pan nie jesteś jego przyjacielem?

Głos kapitanowej zadźwięczał przytem tak silną nutą rozczarowania, że Stadnickiego, jakby'nożem dźgnęło.

—• Flóryan tyle mi o panu mówił...

Porucznik machnął ręką, jakby myśli, cisnące mu się, ódegnać chciał i, miast odpowiedzi, wybiegł do izdebki, kędy Wańka przy ogarku drzemał na skrzyni.

— Wiadro wody! Rusz się, do krocset! Lej na łeb! Jeszcze!

Wańka spełnił, bez namysłu, rozkaz: Porucznik . stęknął, wyprychał się, wytarł, włosy przeczesał i powrócił do komnatki, w której zostawił był kapitanową.

— Co panu? — zagadnęła nieśmiało Niewodów - ska.

— Nic mi nie jest.

■— Może czem uraziłam?

— Pani dobrodziejka mnie ?! Cóż za suppozycya! Zamroczyło mnie z drogi. Głupstwo palnąłem. Pani o Florku, a ja o Michałku. Jestem, oczywiście, przyjacielem Floryana, no i nie lubię... psia mać! Niechże pani kapitanowa dobrodziejka rozkazuje. Jest Stadnicki do usług i niech go piorun spali!

Nie.wodowską onieśmielił nieco ten nagły zwrot, a bardziej jeszcze oschły ton głosu porucznika. Lecz, zniewolona wyczekującą postawą Stadnickiego, jęła snuć obraz swego krytycznego położenia i zakończyła wywodem, że'musi widzieć się z Floryanem Gotartowskim.

Porucznik wysłuchał kapitanowej z uwagą, poczem rzekł cierpko:

— Zobaczyć się z Florkiem będzie trudno.

— Cały pułk ściąga do Warszawy.

— Niewiadomo. A gdyby nawet, to pułk pułkiem, a jego może nie być akurat.

— Co pan mówisz?;

—• Nic... w pułku rozmaicie bywa. Wyślą na ordynans o sto mil, mogą odkmenderować na służbę przy głównej kwaterze, mogą zostawić po drodze z magazynem czy lazaretem! Nic pewnego, nic pewnego!

— Rozumiem... byłeś pan u nich, pozyskali cię dla siebie, namówili!

—- Mnie ? kto ?!

— Byłeś pan u matki Floryana! Wiem! Dziś mi twój służący powiedział wszystko! Wiem nawet, że gdyby nie ty, to Floryan wcale by się był nie ożenił !

— Ja... ja?! — bronił się nieszczerze Stadnicki.

Oczy kapitanowej rozgorzały.

— Tak, pan, nikt inny! Może zaprzeczysz? może będziesz miał czoło powiedzieć, że to nieprawda?! Cha, o to u was nie trudno! Jesteście fałszywi!

— I... i to ten nicpoń Wańka tak napaplał?!

— Powiedział prawdę. Byłeś tam, pojechałeś umyślnie, żeby ratować Floryana,' żeby wynaleźć na mnie sposób! Możeś to ty nawet ciotkę przeciw mnie podmówił!... Ale zawiedliście się rachubach. Nie jestem waszą bezkrwistą, niezaradną Polką. Córce Boggiera starczy siły i woli, by zerwać wasze sieci. Tak, dziś dopiero oczy mi się otwarły.

Niewodowska padła na krzesło. Usteczka jej, po wyrzuceniu ostatnich słów, drżały niedomówionymi wyrazami. Na rzęsach łzy ogniem się perliły. Rączki zaciskały się, łamały, darły koronkową narzutkę.

Stadnicki stał jak wryty, nie mogąc znaleźć odpowiedzi. Ogrom zbrodni, zarzuconych mu przez kapitanową, był dlań tak jasnym, tak oczywistym,, że porucznikowi w głowie się mieszało. Bo któż, jak nie on, dopomagał do wyprawienia Floryana do kraju, kto doprowadził małżeństwo z Zośką do ślubnego kobierca, kto wczoraj jeszcze zmawiał się przeciwko * tej,... tej biednej, opuszczonej, wydziedziczonej ?' Nikt inny, tylko on, on sam!

Kapitanowa odetchnęła gwałtownie i,, nowyin wybuchem gniewu szarpnięta, porwała się z miejsca i zakonkludowała krótko:

— Żegnani, odchodzę stąd natychmiast!

Stadnicki schwycił się za głowę.

— Na Boga, pani kapitanowo, bo mi rozsadzi!... Nie pozwolę, nie dam !

— Zezwolenia nie będę czekała!

— Noc, miasta pani nie znasz! Ani myśli! Przemocą zatrzymam.

Niewodowska roześmiała się nerwowo i sięgnęła w' zanadrze.

— ‘Tła, ha! Spróbuj mnie tknąć... Widzisz ten sztylet?!

Porucznik skoczył ku drzwiom i zaparł je swojem ciałem.

—■ Waszmość panią tknąć? Ja?! Bodajby mi łapa przedtem uschła! Nigdy! Chcesż uchodzić na zgubę, na to, żeby cię pachołkowie uprzątnęli, żeby cię pierwszy maruder na drodze ograbił, — więc idź! Lecz mnie najpierw usiecz.

Kapitanowa ochłonęła nieco.

—■ Więc może nie jeździłeś do nich, do tamtej, do...

— Jeździłem.

— Dlaczegoś to uczynił?

— No, bo musiałem, bo wygadałem się! Zdławiło mnie, przyparło! Powiedziałam, psia... mać i nie zapieram się ! Florek listy na moje ręce przysłał, więc musiałam je odwieźć...

— Listy od Floryana! Gdzież są?!

—■ Tam, do kogo były pisane.

— I cóż piszę? Mów pan! czemu nie mówisz?!

—-Na co — i tak, co jęzorem ruszę, to trzy razy zełżę!

Kapitanowa jęła nalegaj. Stadnicki bronił się niby, aż z całego pobytu w Gortatowicach najdokładniejszą. zdał sprawę.

— Widzisz, poruczniku — ozwała się łagodniej kapitanowa — jakże cię mam sądzić?...

Porucznikowi serce stopniało. Podsunął się do kapitanowej i za rękę ją chwycił.

— Parol, miłościwa pani! Niech mnie najgorsze spotka, jeżeli nie pragnę. Głupia głowa i ten! Już mi nie przymawiaj 1 Z pięściami pójdę, dokąd cheesz, jeno nie bądź mi krzywą!

Kapitanowa uśmiechnęła się przez łzy. Oczy jej nabrały znów wyrazu spokojnej, melancholijnej toni. "~\

— I pomożesz mi odnaleźć Floryana?

. Stadnicki zaperzył się — krwawa pręga wystąpiła mu na lewą skroń.

— Tego... tego Gotartow'czyka ? Z pod ziemi go dobędę.

- Kapitanowa poweselała. Twarzyczka jej rozpromieniała, chmurki znikły z czoła jasnego.

Ostatnie ślady burzy zczezły przy układaniu planu wyprawy. A gdy nakoniec Stadnicki przyrzekł nieodwołalnie ruszyć z Niewodowską w drogę, zaraz po zasiągnięciu wiadomości u kapitana Załuskiego, gdzie i kiedy możnaby szwoleżerom zabiedz. drogę — zgoda zupełna zapanowała.

Porucznik ciągnął wino, częstował kapitanową, słuchał jej wynurzeń i potakiwał skwapliwie. Zwolna atoli piękne oczy pani Niewodowskiej zaczęły się mrużyć coraz częściej i dłużej, głos jej cichł, a mruczenie porucznika stawało się coraz monotonniejszem.

— Nudzę pana, panie kawalerze, nie pomnąc,.

że, po takiej drodze drodze, pilno panu na spoczynek.

— Pewnie.

—■ Tylko jak? Zajęłam pańską stancyjkę!

— Damy sobie rady! Jest kilimek, jest kobierezyk. Będzie spanie przednie... Wańka! Sam tu!

— Będzie to panu porucznikowi... niewygodnie ! A wszystko przezemnie! Taki kłopot! Chyba dam panu jeszcze chustkę.. .

—■ Ale, ale!

— Bo za nisko pod głowę !

— Nisko! 'Wańka, masz tu kozik, rozetnij sznury na tobołku i wyciągnij mi derę.

Porucznik przy tych słowach sięgnął do kieszeni po kozik.

— Czekaj! Jest kozik! Bierz!

—• Panu coś wypadło z kieszeni! .

Stadnicki spojrzał nagle ku podłodze i poczerwieniał.

— Mnie? Nic zgoła ¡'Zdawało się pani kąpitanowej.

—■ A przecież to! — napomniała Niewodowska, podnosząc z ziemi pstry zwitek.

-- To? Nie... nie wiem! — bronił się porucznik, sam nie rozumiejąc, dlaczego w tym zwitku nie chciał poznać daru panny Urszuli.

— Więc to tak! Nigdy nie wspomniałeś!

—• O czem?...

— Wsząkęi nie bez racyi... o. promień włosów, wstążeczka różowa, medalik... Winszuję!

Porucznika aż poderwało.

—• E... boi... Jakieś banialuki. ..

— Znam się na tern! Serdeczniebym się ucieszyła!

Stadnicki pobladł z irytacyi.

— Kłaniam za życzenia ! Mam pięć klepek w głowie i do czubków się nie wybieram ! Trznadel, poćwik, szczygieł... no, bo nie lubię, psia... mać.

— Ależ, panie kawalerze, nie chcę badać od kogo'...

— No i od kogo?! Wielka rzecz!... Ciotka mi dała. Okrutnie stara ciotka... Babskie urojenia!... Ciotka, mówię, sacrebleu, i ten... choć mnie ani w głowie.. . Zaplątał się rupieć w kieszeni, a waszmość pani zaraz.. .' nie lubię !

Kapitanowa, widząc alteracyę porucznika, już się słowem nie odezwała, i po cichu wymknęła się do zajmowanej przez siebie stancyjki.

Nazajutrz, gdy się rozwidniło — porucznik odział się pośpiesznie, zakrzątnął się razem z Wańką, aby ład jaki taki a przystojność w komnatach zaprowadzić i, zaleciwszy mu, aby miał w pogotowiu dla pani kapitanowej piwo grzane, sam wysunął się na miasto.

Stadnickiego paliła myśl, aby czemprędzej zatrzeć wczorajsze zarzuty, którymi obsypała go Niewodowska, ku czemu zdało mu się najlepszem tak zręcznie się zawinąć, aby, zanim kapitanowa wstanie, mieć wszystkie wiadomości i wskazówki, gdzie i kędy szwoleżerów możnaby się spodziewać. Dlatego też porucznik, bez długich namysłów, poszedł wprost na kwaterę, do Jankowskiego, który, widując się z szefem Roztworowskim, dowódcą komendy wolontarzy szwoleżerskich, mógł mieć dokładne przez niego relacye, co się z pułkiem dzieje.

Lecz u Jankowskiego spotkał pana Józefa zawód, bo Jankowski był w tak grobowym humorze, iż ledwie rozumiał Stadnickiego. A przytem porucznikowi zdało się stosownem nie zwierzać się towarzy-

szowi broni, czem tak pytania swoje zagmatwał, że Jankowski obruszył się.

— Nie róbże, clo czarta, awantur! Więc o cóż idzie? O pułk? Mówiłeś o pułku... Tyle wiem, co i ty, bom Załuskiego od dwóch dni nie widział!... Zresztą, co gadać, melduj się do niego wprost.... wszak go znasz. On ci powie lepiej, niż Roztworowski, bo marszrutę ma! Przecież konie będzie dosyłał 1... Tylko się śpiesz, bo wychodzi wczas z domu do manężów... No, masz radę! Widzisz! Twoja łatwiejsza ! A ze mną źle zupełnie!... Gdyby nie król westfalski, tobym jeszcze wybrnął, lecz mi nowy mundur wielki spadł na kark.' .. tfy! Nie znasz jakiego dusigrosza? Nie... Idź do Załuskiego... nie marudź, bo i jemu pewno króla westfalskiego dodali dla rozmaitości.

— Króla westfalskiego?! Załuskiemu?!

— Ba, ba.. . Paradę taką szykują mu, żeście tu nie widzieli!

— Nie ciekawy jestem, miałem ich dosyć!

— Tak cię przerobili w Warszawie! Hm... prędko!

— Pewnie... bo nimem z Hiszpanii wiosczyny mojej dopadł, już mi całe szwoleżerstwo wywietrzało.

— Bajesz sobie na czczo! Sam nie wiesz, czego chcesz.

— Proszę... Czego ehcę? W domu siedzieć, na swoich własnych śmieciach, śmieci tych pilnować, za te śmiecie ginąć, a nie. tam napoleonowego stracha po świecie 'udawać!

Stadnicki zaklął siarczyście i wyszedł, pozostawiając zdumionego tym wybuchem towarzysza broni.

Na ulicy porucznik ochłonął nieco. Lecz, gcly stanął, po małej chwili^ w antykamerze pańskiej kwatery, zajmowanej przez Załuskiego, i gdy, na samym, wstępie, powitał go zamaszysty wąsal w wyświeconym uniformie szwoleżerskim — Stadnickiego znów jakaś przekora kolnęła, a poprzednio wyłuszczone Jankowskiemu racye, już zgoła wydały się słusznemu

Nadomiar wąsal zmierzył butnie porucznika i zagadnął sucho, nie kwapiąc się do zdjęcia płaszcza z ramion Stadnickiego.

— Co waszmość ?!

— Kapitan Załuski tutaj ?

— Tutaj... ale imć pan kapitan zbiera się i nie ma czasu.

— To się pokaże. Melduj!

Stadnicki zrzucił płaszcz, bokobrody szarpnął i mruknął groźnie:

— Niech ci drugi raz nie powtórzę.

Wąsal zmieszał się.

— Jak mam'powiedzieć?

— Że czekam, psia... mać! Precz stąd!

Wąsal cofnął się pośpiesznie w głąb kwatery, do reszty przekonany pewnością Stadnickiego, zaczem wrócił znów i wprowadził porucznika do pięknie urządzonego saloniku, zapewniając, że niebawem kapitan skończy się ubierać.

Porucznik rozsiadł się na filigranowem krzesełku i zaczął rozglądać się po saloniku a kręcić ironicznie głową. Nie podobało mu się u Załuskiego. Wystrojony cackami i drobiazgami salonik nie pasował Stadnickiemu ani do kapitańskiej szarży, ani do owego wysokiego wyobrażenia, jakie miano dla wojskowych talentów Załuskiego. Każdy przedmiot, w tej wypieszczonej komnatce, każdy mebelek nosił

niezatarte ślady wyrafinowanej troskliwości gospodarza, a był niekiedy tak misternym, tak delikatnie wyrobionym, że porucznik bał się ruszyć z miejsca, aby ten cały stos cacek od jednego stąpnięcia nie rozpadł się w kawałki.

, Porucznik bębnił palcami po stoliku, poglądał ku drzwiom i coraz niepochlebniejszego nabierał przekonania o kapitanie.

Naraz, drzwi się z trzaskiem otwarły i przed Stadnickim stanął Załuski w pysznym galowym mundurze, łunami karmazyna bijącym a skrzącym się od srebrnych haftów, obszlegów i epoletów.

Stadnicki podniósł się ociężale i, dopiero wyprostowawszy się, postrzegł, że mu Załuski nawet do ramienia nie dostaje. Ta oczywista przewaga wygięła usta porucznika do uśmiechu, a równocześnie w poważne ściągnięcie brwi ustroiła jasną twarz kapitana.

— Z kim mam honor?

— Stadnicki.

— Może syn imć pana starosty radzyńskiego z Ciężkowic ?

—■ Nie. Stadnicki tylko.

—■ Czem waszeci mogę służyć?

.—■ Jestem porucznikiem...

— A... a... bardzo miło —■ rzeki łaskawiej Załuski. — Bardzo miło, mości Stadecki...

—- Stadnicki!

—■ Aha, Stadnicki!... Zgaduję, z ozem przychodzisz ! Otóż nie mogę nic. Ci, co od utworzenia pułku służą, miesiącami czekać muszą na awans. Co waszeci koniecznie do gwardyi?

— Ja też się do niej nie myślę napraszać! Użyłem jej do woli... i tego munduru i tych zaszczytów !

— Waćpan byłeś w naszym pułku?...

—: Pod Dziewanowskim.-

— Czekaj waszmość... Toć prawda, powiadano mi o jednym Stadnickim, co był w trzecim szwadronie ... Nie znałem go, bo służyłem pod Radzimińskim, a trzeci był wówczas Stokowskiego... Więc to waszmość! Siadajże, proszę! Tedy chcesz wracać do pułku! Hm, hm! A grosmajor cię znał? Musisz waćpan do niego się adresować, do Dautancourta!... Albo może tu, do pani jenerałowej Krasińskiej znajomość znaleźć!

Stadnicki szarpnął bokobrody.

— Kłaniam uniżenie panu kapitanowi. Ani mi w głowie o honor taki się ubiegać. Najadłem go się do Woli.

Załuski musnął swTe maleńkie podkręcone mocno wąsiki.

— Aha! Hm! Myślałem!... Więc czemu mam przypisać?.. .

Porucznik głosem urywanym zaczął wykładać kapitanowi sprawę, z którą przybywał. Załuski słuchał z roztargnieniem, wdziewał rękawice i nastawiał się służącemu do czyszczenia munduru.

Stadnicki, na widok oczywistego lekceważenia, zmarszczył się i coraz krótszymi sadził zdaniami — wreszcie urwał nagle.

—• Aha! Hm! Rozumiem teraz. — Obciągnij mi ładownicę! — Daruje waszmość^ lecz mi pilno... mam remont, koni, a na jedenastą muszę być u księcia ministra wojny. Króla westfalskiego spodziewamy się lada dzień, lada chwila.. . ITm! Waszmości- idzie o Florjana Gótarkowskiego. Owszem, dzielny oficer... Kozietulskiego faworyt! Żałuję bardzo, że mi czas nie pozwala... Bardzo żałuję, mości Stadkowski!

— Stadnicki!

— Aha, Stadnieeki! Rad będę mu dopomódz. Porucznik poczerwieniał.

— Mości kapitanie, Stadnicki jestem, “sacre-bleu! I przychodzę nie dla własnego widzimisię, jeno w serdecznej sprawie oficera pułku, .w którym wąszmośe służysz, a więc nie obcej mu!

Załuski, na tę wyzywającą zapowiedź, wyprostował się, zmierzył groźnem spojrzeniem Stadnickiego i rzekł po namyśle:

— "Więc proszę! Mów wąszmośé jeszcze raz od początku!... Nie uważałem!

Porucznik ostatkiem sił pohamował wzburzenie i powtórzył rzecz. Gdy skończył, Załuski ozwał się zimn o:

—■ Snąć wąszmośe nie zdążyłeś poznać służby wojskowej, jeżeli żądasz, abym ci na dzień powiedział, gdzie się znajduje pułk, z którego przed kilku miesiącami odjechałem.

— Wszak czyniąc remont koni. . .

— Tyle wiem, co i waćpan! Remont kończę i czekam na rozkazy, które powołać mnie mogą tak dobrze do Francyi, jak i do Niemiec! Pułk ruszył już z pewnością, a zatem i Gotarkowski z nim razem. .. Nic nadto waćpanu nie umiem powiedzieć.

— Niefortunnie się wybrałem... Pewnie, że waszmość nie możesz wiedzieć, co sztab postanowi!

Załuski zagryzł do krwi usta.

— Waszmość jesteś może krewnym Gotartowr-skich?

— No... krewnym, psia i ten!

— A!... Bo jest jeszcze drugi Gotartowski w pułku, Marceli. Zdałaby mu się perswazja l

—■ Może od waszmości ?!

— Tak, odemnie!

— Niechże imć pan kapitan tak się o jego skórę nie turbuje! Nie zginie, psia... choć mu pani jenerałowa promocji wyrabiać nie będzie!

Załuski pobladł — rękę na głowni pałasza zacisnął i wycedził przez zęby:

— Mityguj się acan, nie szukaj okazyi!

— Szukam właśnie, do stu piorunów! Rozumiesz, mości kapitanie!... Wara tobie do "świderka!" Co ja mam z nim, tobie zasię... nie lubię, psiamać!...

Kapitan parsknął.

— Będę acana miał za kpa, jeżeli dziś jeszcze, o czwartej po południu, nie staniesz tu, u mnie, z dwoma świadkami!'

—Myśjisz acan! Ho-ho !... Podawaj się na urlop, bo ci czasu nie starczy na lizanie się! Na takich bijałem!

Załuski wyprostował się z godnością.

— Dowiedziesz tego za kilka godzin... A teraz chyba nie będziesz awantury szukał!

'Na to spokojne oświadczenie, Stadnicki zmieszał się. Kapitan zaś skłonił się z przesadzoną uprzejmością porucznikowi, nacisnął kaszkiet i wyszedł ż komnaty.

Stadnicki splunął z obrzydzeniem, spojr/ał groźnie na wąsala, narzucił płaszcz i wyszedł na ulicę.

Nadewszystko wydało mu się koniecznem do mieszkania wpaść, Wańce nakazać, aby Niewodów - skiej obiad, z garkuchni przyniósł, a wreszcie samą kapitamową uspokoić.

Porucznik bez wahania poszedł za tą myślą. Jako tako zełgał przed Niewodowską, ręcząc jej, że dopiero nazajutrz będzie mógł posiąść wiadomości o pułku, ku czemu dziś niemało ludzi rozmaitych obli-

gować musi, rozprawił się z Wańką, zaczem ruszył ziiów do miasta za świadkami.

Porucznik mało kogo znał w Warszawie, bo choć od roku bez mała w stolicy Księstwa siedział, ledwo z kim przestawał. Do kompanii choć był skory, lecz na Jada grymas fub słowo łaskotliwy i do siekaniny zapalczywy.

Gdy więc coś w tydzień, po zamieszkaniu na Mariensztacie, trzech z rzędu znajomków naznaczył, wnet reputacyę taką sobie w winiarniach a gospodach zyskał, że aż go sam prezydent imć pan Węgrzecki do siebie, na ratusz, zaprosił i zgoła wynosić się radził, grożąc skargą do prefekta departamentu. Wykręcił się wówczas pan Józef z tej imprezy dość szczęśliwie. Tyle nawet dokazał, iż książę minister wojny sam się za nim ujął.

Ale, raz zrobiona reputacya, stwierdzona w dodatku awanturą i pobiciem jakiegoś Niemca, została.

Pan Józef ani się domyślał, jaki postrach sieje wokół. A tymczasem, chwaląc w duchu ludku warszawskiego przystojność, dziwił się jego sobkostwu i dzikości. Szukał nieraz kompanii, z największym trudem ją zdobywał, fundę całą sprawiał — kompan pił, zaprzysięgał zażyłość i nikł mu bezpowrotnie.

Porucznikowi cło głowy nie przychodziło doszukiwać się przyczyn onego stronienia. Poczytywał je już za taką całego miasta właściwość —i sam nudził się, trawił czas na włóczeniu się z kąta w kąt —■ a, w braku towarzysza, Wańkę sadzał naprzeciw siebie i musztrował go a bawił się konfuzyą sługi.

Teraz jednak Wańka starczyć nie mógł. Stadnicki zafrasował się, i, w pierwszym impecie, poszedł

do Jankowskiego. Lecz ten, na wieść o Załuskim, aż się przeżegnał.

—■ Ja mam sekundować przeciwko memu kapitanowi ? Przeciwko Załuskiemu ?! Ja ?! A gdybyś mi był rodzonym, tobym ci jeno rzekł: Idź się summitować!

— Wyzwał mnie, więc strzymać muszę!

— Ej tam, banialuki! Zdaj się na mnie! Pójdę, wyłożę całą, sprawę, mrukniesz słowo i Załuski poda ci rękę! Nie taki on znów!. .. Słuchaj mnie. Jeszcze może do relaeyi z nim przyjdziesz! A dalipan warto. Na królewskich pokojach, u księcia ministra wojny, u Fiszera, u Dąbrowskiego, u Kniaziewicza — wszędzie w zachowaniu go mają. Żyje co z najprzedniejszymi ! Co ci powiem — w Paryżu, do Tuillierów dwa razy go proszono! A już o rozmaitych zebraniach u marszałków, jenerałów, dueów nie wspominam. .. Ba. — a żebyś wiedział, jak się umie trzymać, jak potrafi sypnąć i złotem, i miną, i fantazyą!

—• Nie ciekawym!

—■ Józek!.. Ja też, aby wystawić ci chc.ę, z kim zadzierasz! I tak dziwno mi, że Załuski cię nie potraktował.

— Czem ?! — huknął Stadnicki.

— Nie wiem, ale u takich panów nie trudno o koncept.

— Niechby spróbował, psiamać!...

Jankowski, zrażony uporem Stadnickiego, nie nalegał dalej i nie próbował go odwodzić od zamiaru. Porucznik rzucił jeszcze kilka przekleństw, dopiekł Jankowskiemu i, lada jak się pożegnawszy, znów się znalazł na ulicy.

Stadnickiemu zrobiło się markotno. Ani nie miał do kogo iść, ani wiedział, gdzie, się udać. A bez

świadków do Załuskiego się wybrać, znaczyło tyle, co na konfuzyę i dyshonor się wystawić.

Zadumał się porucznik, szukając w myśli jakiegoś akuratnego znajomka. Wreszcie splunął z pasyą i ruszył na Daniłłowiezowską, kędy winiarnię trzymała, słynna z piękności, Marcysia.

Porucznikowi było czczo po nieprzespanej nocy, ziąb go nadto po kościach oblatywał — winiarnia więc mu obiecywała posiłek, przy którym zdawało się Stanickiemu nierównie łatwiejszą rzeczą znaleźć radę — ba, a może i upragnionych świadków!

Tą ożywiony myślą,, Stadnicki przebiegł szybko ulicę Napoleona, skręcił w Senatorską i zmierzał na Daniiłłowiczowską. Już widział zdaleka blaszanego szlachcica, siedzącego okrakiem na beczce, stanowiącego znak winiarni —- gdy, ktoś go uderzył z tyłu po ramieniu.

Stada»cki obejrzał się i stanął, jak wryty ze zdumienia. Był to Babecki.

Wachmistz szwoleżerów roześmiał się jowialnie.

■ — Skąd? kiedy? jak?!... Przecież zostaliście w Gortatowicach!

Babecki machnął ręką.

— Ot ci gadać! Tam, kochanieńki, popatrzysz! Marceli z panią matką miał przyjść do rozprawy... tedy nie chwyciło mu serca... wołał dalej! Aż niemiło! Ledwie dojechaliśmy. Febra go całą drogę trzęsła. Żal na niego patrzeć. Leży w gospodzie, na Zapiecku... No, bywajcie!

— A ty dokąd?

— Radzimińskiemu idę meldować się. Porucznikiem niech się zajmie, bo mnie do rodziców pilno. Może puści! Zajdź do gospody kochaneńki, a tam popatrzysz.

, Stadnicki ujął Babeckiego za ramię.

— Musisz pójść ze'mną!

— Ta gdzie, kochaneńki?!

— Musisz ! wstąpimy do winiarni!

—■ Nie, kochaneńki, taki nie mogę! Do rodzicielów pilno! A tu i o zezwolenie trzeba prosić i o paszporty się starać!

— Głupstwo... idziesz!

Babecki spojrzał ze zdziwieniem na groźnie namarszczoną twarz porucznika.

— Na chwileczkę chyba! De, Józiu, rodziciele czekają, a i samemu “żutko” na sercu!

— I ja, psiamać, “żółtko“ mam na wątrobie, a nic nie gadam — mruknął Stadnicki i pociągnął Babeckiego na Daniłłowiczowską.

Winiarnia była pusta. Na powitanie porucznika i Babeckiego wychyliła się potrgana głowa dziewki, wyszczerzyła biełe zęby i znikła.

Stadnicki zrzucił płaszcz i zasiadł ociężale za stołem. Babecki poszedł za przykładem porucznika.

— Jest tam kto, do stu par! Nie lubię!

Do izby wbiegła żwawo Marcyśia, dygnęła z przymileniem Stadnickiemu, zaczem spojrzała na Babeckiego i zmieszała się.

— Jezu — toć chyba szwoleżerski mundur.

Stadnicki oczy postawił na szynkareczkę.

— Wielka obrada! No, i co z tego i... Jajecznicy, psiamać, piwa grzanego, bułek mątowych ;... Prędzej, bo nie lubię!

Marcyśia fyrknęła noskiem, musnęła fartuszkiem stół i wydęła buzię.

— Głucha nie jestem! Waszmość chyba lewą nogą z posłania!

— No, no... nie marudzić! Są pory na różne humory. Ckli mnie, kruczy, burczy.

Szynkareczka pokiwała domyślnie głową i wybiegła z izby.

Po małej chwili, na stole zjawiły się kubki, łyżki, a za nimi dzbanek piwa grzanego i miska jajecznicy ,

Stadnicki mlasnął językiem i za łyżkę ujął -- Babecki ociągał się. Porucznik go ofuknął. Wachmistrz nie dał sobie napomnienia powtórzyć.

Przez pewien czas- słychać było tylko, stukotanie miarowe łyżek. Wreszcie Stadnicki raz i drugi z kubka pociągnął, jeszcze kilka skwarek wyłowił, źaczem wąsy obtarł i huknął z impetem:

— Sk^d się djabli przynieśli?

— De 'pozwól, kochaneńki.. .

— Gadaj krótko, bo nie lubię!

— De cóż! — tłumaczył się cicho Babecki, wyprzątając miskę. —. Mnie i tak paliło do ro-dzicielów, bo czasu niema zadość, a tu szmat drogi jeszcze i paszporty... ale porucznik przyniewolił. ..

— Świderek!

—- Niech sobie „świderek“, a w mojej kompanii porucznik!. .. A tam, kochanieńki, po twoim odjeździe, szur-szur w całym dworze. Pani matka niby Marcelego na rozprawy jęła zapraszać... De cóż! rodzicielom należy się choć có nie bądź wiedzieć. . . Porucznik do mnie. Ratuj, mówi, bo Stadnicki napaplał!

— Ja napaplałem? Co ty-!

— Tak mówił, a tam, kochanieńki, popatrzysz!... Marcelemu było nijako, łgać nie chciał, a rodzicielki żałował. . . Co robić! Ja do Rawy, gdzie kompania piechurów stoi, no i do kapitana. Gniazdowski — dusza człowie! Kiwnął się jeno, niby roz-

kaz wysztukował i sztafetę do Gotartowic pchnął. Nim się rozcłapałem, Marceli był na koniu. Żegnania nawet wiele nie było, bo to wszystko jakby na trzy dni. Żutko!... Nieboraczek porucznik, de jemu i w piersiach coś niezdrowo.'

— Dobrze mu tak! — mruknął Stadnicki.

— A tak i żutko!

— Niech sobie.ma dwa żółtka!...

Stadnicki stuknął kubkiem.

— Piwa jeszcze — żywo!. . . A ty, słuchaj,'stary ! Służyłeś, psianogo, w jednym szwadronie ze mną?!

— De przeciż!

— Byłeś w jednej kampanii?!

— Pewnie!

— Darłeś mi się nad uchem w. somosierskim wąwozie ?

— Józinku, de kochanieńki! — wybełkotał Babecki, którego to stopniowanie zapytań już pod sercem ściskać zaczynało.

— Pamiętasz, jak konał Dziewanowski? .

Babecki kiwnął się już tylko.

— J-esteś mi towarzyszem, czy nie?

Wachmistrz wyciągnął ręce przeż stół i ucapił źa szyję Stadnickiego.

— Rybeńko. .. de ja dla ciebie. .. no, ta bierz. ciągnij żywot ze mnie !. . .

— Mam rąbaninę! Potrzebuję świadka!

— Już. . . a tam, kochanieńki, byle zaraz!

— Będziesz sekundował?

— De jestem, kochanieńki, jestem.

Stadnicki uścisnął zamaszyście dłoń wachmistrza i zawołał raźno:

— Hej, Marcysiu! Czegoś -poczciwszego po

szklance ! Kończ piwo ! Dobryś chłop ! Klina miałem ! Naznaczyć kawalera muszę! Po naszemu, sacrebleu !...

— Jak wart, niema czego żałować. A z kimże to?

Stadnicki spojrzał na amarantowe wyłogi munduru wachmistrza i zafrasował się.

— Z kim? Hm. . . Z jednym Załuskim!

— Z Załuskim? Patrzaj, kochanieńki!

— Właśnie ! I trzeba, uważasz, żebyś do rozprawy zrzucił tę skorupę. Mam w kufrze żupan cale dobry!

— Żu-żupan?... Skorupa?!

— Przebierzes się i basta !

— Józiu, Józinku... at, na co? Marszałkowskich jakich się boisz, czy. . .

— Nikogo się nie boję! Nie o mnie idzie, tylko o ciebie! Co tu w bawełnę obwijać! Ten Załuski, psia mać... no, to jest Załuski!

Babecki mrugnął swemi małemi, oczkami na znak, że pracuje nad rozwiązaniem zagadki.

—• Wielka osoba!... No, to ten wasz. .. kapitan, czy jak tani.

— Piątej kompanii. . . na. .. naszego?

— Może się wykręcasz?

— Józinku ! Broń mnie Boże ! Lecz j tak powiedz ! Nu-nu, kapitan! A tam oskarżą... de, jeszcze zdegradują, a jeszcze i z pułku wypędzą!

— Wstąpisz do innego. Pij !

iBabecki spojrzał z żalem na swój mundur.

— De, rodz-icielom byłoby...

— Żółtko! — wybuchnął Stadnicki. — Pij mówię! Nic! Ja odpowiadam, rozumiesz!?...

Stadnicki nabrał fantazyi.

—- Drwij sobie z tego kłopotu 1 Stadnicki cię wplątał, Stadnicki wydobędzie ! Będziesz chciał, to do księcia ministra wojny pójdę, a bodaj do samego Napoleona... gdzie chcesz psiamać!

— Józinku! — upomniał wystraszony tą śmiałością wachmistrz.

— Pójdę, powiedziałem. Aby mu się przypomnieć, muszę! Może nie gadałem z nim? 'Całą pra-' wdą mu do oczu skocz, sacrebleu. . . niech wie! Pij, powiadam.!

— Piję, kochanieńki tylko. . . tak i słuchać niezgrabnie. . . cesarz !

— A ja jestem Stadnicki; Do Saragóssy służyłem, ile sił... a potem obrzydliwość mnie zdjęła! Każdemu to powtarzam ! W twoje ręce ! Żołnierskie rzemiosło sobie obmierziłem. Szwoleżerskich posług miałem dosyć, a tutejszego sługowania napatrzyłem się nadto. Nowe zwyczaje, nowe wymysły, nowe miotły! Generałików ci ..sobie naskrobali, że choć okulary nadziewaj, a wąsa szukaj.

— I do rodzicielów szmat drogi! — bąknął wachmistrz.

— PIę?.. . Pij ! Albo i z cesarzem; Inaczej cale sobie układałem. Zdało się, machnie tam sobie po czuprynie jakiego anglika, niemca, czy sobie niechby Hiszpana potarmosi i powie nam : no, chłopcy, Bóg wam zapłać, wracajcie do domu, jest Rzeczpospolita! Gdzie? Ocyganił nas i to, cośmy austryakom wzięli, takoż odebrał. A Lwów, a Brześć, a Wilno?!

— A Wyłkowyszki ? !

— 'Co. . . cp..pleciesz? !

—■ Nic, kochanieńki ! Rodzicielom obiecowałem, że Napoljon hen może do Sejn prżyjdzie, albo i lepiej, że im go sam pokażę. De, już sobie bzdurzyli,

jak się przymówić, a jak mu inicyał na topolach zawiesić. . . I ot, ani słychu! Choćby wojna, choćby do Warszawy przyjechał, tak i niezgrabnie do Wyłkowyszek. A rodzicielom chciało się! Pani matka raz, jeszcze za frydlandzkich czasów, przez żydków z Pilwiszek, do Tylży faskę' bigosu najprzedniejszego zamyśliła cesarzowi! Tak, z prostego serca — i ledwie podsędek wytłumaczył. Żebym mógł! Rodzicielów na wózek bym wsadził, niechby popatrzyli ! A choć i z Filipinką!

Stadnicki machnął lekceważąca ręką. Wachmistrz przekonywał tern żwawiej.

—■ Kochanieńki, bo nie znasz! A tam Filipinka — panna! Niby siosterka. Ona do wszystkiego —- na bajdurce brząkać, po francusku się rozmówić, mięso zapeklować, warzyć, smarzyć szyć, a choć i romans czytać, choć có niebądź a grzecznie napisać, a choć i zaśpiewać! Filipinka przecień! Tylko niewierna — strach, jaka niewierna! Ot i ja sobie myślę nieraz, ile się to nazbierało rodzicielom naopowiadać. A czy powierzą? Ba! Kiedy tobołki zbierałem do Warszawy, na służbę, to dalibóg, sam ksiądz proboszcz mówi do mnie: braciaszku, głuptaszku, Napoljona wymyśliłeś... w zaścianku siedź, za baj duszkami nie goń. . . czego sam nie cupniesz, tego ci francuz nie przysporzy!... Tak kazał proboszcz i, gdyby nie asesor Mysztowt — de, i rodziciele nie puściliby!

Porucznik uderzył się pięścią w czoło.

—• Bodajżeś spuchł ! Toć świadka drugiego niema! Nie! Weźmiemy Wańkę. Niech nicpoń szlachcica udaje! A. mnie co?! Dla Załuskiego i tak parady dosyć! Uszy poobcinam, rozumiesz! ? niech wie, napoleoński szczygieł! Bonapart!

—• On się też waścinych służb nie naprasza! — rozległ się tuż za plecami Stadnickiego drwiący głos.

Porucznik obejrzał się. O kilka kroków, przy drugim stole, siedziało dwóch oficerów w wyświeżonych ułańskich mundurach.

Stadnicki zbladł z lekka, zmierzył oficerów pogardliwem spojrzeniem i mruknął hardo:

—■ Hę?! Co waść sepleni?

—■ Że waść powinieneś mitygować swoje inwidyje, bo na księżyc nie pluniesz, a sam przeciwnego argumentu się dopytasz —• odparł spokojnie młodszy z oficerów, gładząc z fantazyą małe, jasne wąsiki.

Pan Józef, na to wyjaśnienie, stęknął z za stoła się porwał i do oficerów przyskoczył.

— Kto, psia?! Acan, mnie?!...

—■ Spokojniej, kawalerze! — upominał starszy z oficerów —• bo twójkamrat doczeka się odwachu, a waść. ..

— Czego?! —■ zagadnął ze ściekłym spokojem porucznik.

—• Dryjakwi!

—■ Proszę, takiś cyrulik! A ten medalik, co ci się tak grzecznie majta, masz za jęzor!

Oficerowie za pałasze chwycili.

—■ Ani słowa trutniu, bo żywym nie wyjdziesz.

— Józinku! — jąkał Babeeki, oszołomiony niespodziewaną awanturą.

— Trutniu! Zaraz, aby stół odłożę! ■—■ bąknął porucznik i, ująwszy za wielki, dębowy stół, który go od oficerów odgradzał, uniósł w powietrzu i rzucił w kąt izby. Stół rozpadł się na części.

Oficerowie zdumieli się tej sile. Lecz Stadnicki nie dał im się upamiętać. Porwał za ławę, zakrę-

cił nią młynka, rzucił pod nogi oficerom i z nóg ich zwalił.

— Kłaniajcie się, waszmościowie! Dawać drugą ławę!

Porucznik miał drugi cios zadać przeciwnikom i na ziemi ich do reszty skotłować, gdy, na łomot, wpadła do izby Marcysia rozbrajać, a.godzić poważnionych.

— Na rany Boskie, waszmościowie! A toż co?!

— Z drogi! Nie lubię! — upierał się Stadnicki.

— Do ciemni zbója! Kołami umiesz dowodzić racyi — wołali oficerowie, którzy zdoławszy podnieść się z miejsca, na ostre szli z dobytymi pałaszami.

Marcysia ręce rozkrzyżowała i błagała płaczliwie :

— .Nie dam, nie pozwolę! Na ulicę, kiedy wola, a nie u mnie!... Mości Stadnicki! Cóżem waszmości zawiniła ?!

Porucznik na to wezwanie, ostygł nagle'i, trzymaną. w rękach ławę upuścił. Lecz z tej samej chwili umiał skorzystać młodszy z oficerów i z poza pleców szynkarki zamierzył się do cięcia Stadnickiego po głowie, Atoli zaledwie ostrze pałasza zawisło w powietrzu, gdy z rogu izby wypadł dzban, rozprysnął się o czoło napastnika i na ziemi, razem z pałaszem go rozciągnął.

— A tam popatrzysz! — zawtórował uderzeniu dzbana Babecki.

— Rozbój! Napaść! Pomocy! —■ jęczał powalony.

—• Wachmistrz adjutanta sztabu dywizyi? ■— pienił się starszy z oficerów, cofając się ku szynkwasowi. — Aresztuję was!

—Choclź bliżej!... bo nie lubię!

—■ Waszmościowie! Toć Boga w sercu...

—■ Dawaj pałasz!

—■ Nu, de, weź!... J\Tie sięgniesz, kochaneńki!

Starszy oficei’ miał już dopaść drzwi za szynkwasem, a okaleczonego kolegę zostawić na placu — gdy, spostrzegłszy za sobą gromadę - gawiedzi, która zwabiona hałasem, zbiegła się do winiarni z sąsiednich mieszkań — nabrał pewności siebie.

-— Coś aćan za jeden? '■— zagadnął ostro najbliżej stojącego.

—■ Kopytko, do usług/ Szewc proszę...

— Biegnij na odwach do Bernardynów! Napad! Powiesz, że adjutant sztabu, Gecewicz, raniony.

—• Kiedy bo...

— Marsz natychmiast! Inaczej będziesz odpowiadał ! Posyła cię Szyperski!

Szewc zgiął się pokornie i znikł w gromadce. Szyperski podniósł hardo głowę..

— Was tu zebranych biorę na świadków! Napadnięto na nas znienacka, po pijanemu... No, a trudno jakimś dezerterem...

—• Milczeć tam!

—■ Pozwól Józinku, de jest drugi dzbanuszek!

— Panie poruczniku, zaklinam waszmości ... toż mnie gotowi ciągnąć!

•—• Zobaczymy, zobaczymy! — odgrażał się Szyperski, pomagając podnieść się Gecewiezowi. — Na odwachu się rozprawimy.

—• Milczeć, powiadam... nie lubię! — huknął Stadnicki.

Szyperski zgrzytnął zębami. Izbę zaległa cisza, .przerywana sapaniem Stadnickiego, stękaniem Gecewicza, cichymi szeptami gawiedzi, która już i wej-

ście od ulicy zalegała i skargami i wyrzekaniami Marcysi.

Naraz, w głębi gawiedzi, rozległo się wołanie:

— Warta! Warta nadciąga!

Na ten okrzyk, Szyperski wysunął się ku przodowi. Gecewicz oprzytomniał.

—■ Dawać ją tu! — rozkazywał Szyperski. — Dalej! Rozstąpić się! Na odwacli ptaszków!

Stadnicki wyciągnął pięście. Lecz, spojrzawszy ku siedzącemu na stole Babeckiemu, który piwo znów najspokojniej cmoktał, zmieszał się.

Porucznikowi stanął w oczach cały ogrom odpowiedzialności, czekającej Babeckiego za znieważenie oficera.

— Babo, wstawaj! Żywo za mną!-

Babecki spełnił rozkaz. Stadnicki tymczasem nieznacznie ku drzwiom się przysunął. Lecz równocześnie prawie, we drzwiach błysnęły cztery bagnety, a na środku izby stanął młodziutki podporucznik i ukłonem powitał oficerów.

Szyperski z Gecewiczem opadli podporucznika i jęli zajście opisywać. Na głowę Stadnickiego i Babeckiego spadły najcięższe zarzuty, począwszy od obrazy majestatu aesarskiego, aż do rozboju.

Pan Józef słuchał z początku cierpliwie oskarżenia, lecz wreszcie stracił znów panowanie.

— Powiedz acan poprostu! Tchórze jesteście, za piecenf siedzieć, pierze drzeć, a nie ludzi ułańskimi mundurami straszyć!

— Tu napadł nas! — kończył Szyperski.

—• A tędyś zmykał, psia...

— Dosyć! — przerwał surowo podporucznik. — Aresztuję waszmościów. Na odwachu zdacie sprawę !

— Za pozwoleniem, psia... No, a ci iehmościowie?!

— Zadeklarowali swoje nazwiska — to wystarcza.

— Hm-hm! Więc to tak! — mruknął Stadnicki, trącając nieznacznie Babeckiego. — Im starezy nazwisko, a naszych nawet waszmość nie ciekawy! A ja myślę, psia. .. że pójdą!

— Podporuczniku! — wmieszał się Szyperski ze złością. —• Toć widzisz, nawet z ciebie sobie dworuje !

Podporucznik poczerwieniał.

— Ani słowa więcej! Związać każę! Marsz naprzód ! •

Stadnicki obejrzał się kuBabeckiemu, zaczem dźwignął się ociężale ku bagnetom.

— Na odwach, na odwach! — potakiwał z tryumfem Szyperski. — A tam się zobaczymy prędzej, niżbyś chciał !

— Nie, psia! — huknął basem Stadnicki. — Ty mi drogę utorujesz! — i jednym susem dopadł Szyperskiego, porwał go wpół, uniósł i rzucił nim- w stojących w drzwiach żołnierzy, wybijając w ten sposób szeroki przestwór.

Zanim podporucznik i warta zdołali opamiętać się, pan Józef schwycił z kolei Gacewicza i tym zawinął dokoła. Roztrącił nim, niby maczugą, skotłowanych żołnierzy i odrzuciwszy go aż na środek winiarni, ku podporucznikowi, wydostał się na ulicę. Babeeki, bacznie pilnujący się boku Stadnickiego, pośpieszył za nim.

—- W nogi, psia! — zakomenderował porucznik i skręcił w bok Daniłłowiczowskiej ulicy.

Warta z’oficerami rzuciła się za uciekającymi, lecz ci zdołali wpaść pod Marywil i zmieszać się z

tłumem, oblegającym sklepy i kramy, a potem wymknąć się niespostrzeżenie ku ulicy Królewskiej i dalej, Krakowskiem na Marjensztad.

VI.

Gdy nareszcie Stadnicki z Babeckim dosięgli schodów kamieniczki, w której porucznik zamieszkiwał, pan Józef przystanął i odsapał nieco.

— De, Józińku, biegłeś nie wiedzieć czego! — zauważył Babecki, poprawiając czapę, która mu się nanos zsunęła.

Stadnicki się zaperzył.

— Bodajeś skisł! Co myślisz, że za obrazę oficera długobyś w tym mundurze chodził.

— W tym mundurze?... Józinku, toć gwardya cesarska! Do śmierci chyba!

Stadnicki chciał wpaść z góry na wachmistrza, lecz, spojrzawszy na jego uśmiechniętą jowialnie twarz, dźwignął ramionami i powlókł się na górę.

Zaraz w pierwszej komnatce porucznik .uznał za właściwe dać nauczkę Babeckiemu, aby się jak najprzystojniej zachował wobec damy, którą zobaczy, a nadewszystko, żeby ani słowem nie wspomniał o żadnym Gotartowskim. Zaczem nakazawszy Wańce skrzynię z ubraniami roztworzyć i co lepszą odzież na bok odłożyć, sam ruszył posuwiście do kapitanowej.

Niewodowska powitała Stadnickiego okrzykiem ukontentowania.

— Jesteś pan nareszcie! Cóż... jakże... ruszamy? !

— Właśnie! Przychodzę waszmość panią uspokoić i ten... Zabieram Wańkę! Mam rozprawę!

—■ Z kim... o co?

— Juści o Floryana! Waszmość pani tymczasem zostanie sama, więc ten...

—• Byle nie długo.

— Aby jeszcze dziś! A co po tern, nogą od imć pani nie ruszę... bo mnie samego.. i nie lubię, psiamać! A teraz trzeba!

Porucznik jeszcze kilku zaklęciami uspokoił kapitanową i wrócił do izdebki, w której był pozostawił Babeckiego.

Stadnicki zakrzyknął na Wańkę i jął pośnieśznie ubranie przerzucać. Wybór był trudny, bo w kufrze i mole spustoszenie uczyniły i czas. Nadto pan Józef, po wystąpieniu z wojska, z francuska się nosił, a raz wdziawszy stalowy, podcinany frak, takąż kamizelkę i tabaczkowe spodeńki, zapuszczane w buty z żółtemi sztylpami, sumiennie go dodzierał, ani myśląc o innej, czy lepszej, odzieży.

Po długim namyśle, porucznik odłożył zieloną bekieszę z. ezarnemi potrzebami, granatowe hajdawery i nieco podszarzałą batorówkę i skinął na Babeckiego.

— Dalej, przebieraj się, a żywo!

Wachmistrz, ze szczerem zmartwieniem na szerokiej, szaro-żółtej twarzy, zabrał się do zamiany munduru na biekieszę, a rajtuzów na hajdawery. Porucznik gwałtował. Opatrywał towarzysza broni i tłumaczył mu, że, choć bekiesza jest za przestronna, a hajdawery za szerokie, jednak, przy pomocy pasa, wszystko do pory swej dojdzie.

— Głupiś!... Na personata może nie wyglądasz, ale nic sobie. Szlachcic, psia noga, i basta! Przymierz czapkę! Akurat!

— No, a gdzie ci miała wleźć!

— Kochanieńki, przecież wisi!

— Trochę zadość, ni! Lepiej przestronno., niż za kuso !... Wańka! Rozdziewaj się!

Wańka, bez namysłu, jął zrzucać odzież. Stadnicki znów zabrał się do wertowania odzienia.

Teraz wybór był trudniejszym. Bekieszy drugiej nie było. Jeden żupan morelowy i kontusz perłowy w kwiateczki, spuścizna po dziadzie, mimo setki lat, mimo żółtych plam i postrzępionych szwów, trzymał się krzepko.

— Dalej, Bierz to ! —■ bąknął z rezygnacyą pan Jęzef, podnosząc głowę ku Wańce, i osłupiał. Wańka, nawykły do bezwzględnego spełniania rozkazów, już i bielizny zdążył się pozbyć.

— Wańka, “sacrebleu”, do miljo.n djabłów!

Wańka jeszcze z większym, niż poprzednio, pośpiechem jął się odziewać. Babecki, mimo swego własnego skonfundowania, pokładał się ze śmiechu. Porucznik sam zabrał się do ubierania swego służącego.

— Stój, drągalu! Gdzie łapę pchasz! Toć nie siermięga! Wciągnij dech, bo nie dopniesz... jeszcze.

— Pokornie melduję...

— Milcz, psia! Obróć się! Ani wiesz, co na grzbiet kładziesz ! Imć pan podczaszy na największe fety go żałował ! Kontusz ! Adamaszek, chamie ! Czekaj, pas jeszcze. No, tak, ciasny! Nic!... Jak trzymasz łapy! Gdzie wylot ci opadł! Równo! Rzuć w tył! Co — na szyję?! Słuchaj!... Obróć się ! Jeszcze ;

Stadnicki odszedł nieco od Wańki i jął go lustrować.

— Zapomnisz zgoła, żeś sługa, i będziesz pana symulował. Na mnie i na imć Babeckiego się zapatruj. Jesteś szlachcicem... żmujdzkim!

Wańka pokraśniał, czemu towarzyszył jakiś suchy trzask.

— Słuchaj, kiedy do ciebie mówię!

— Melduję pokornie, *że* pęka! Pod pachą.!

Stadnicki spojrzał ku wskazanemu miejscu i zakończył surowo:

—- Powiedziałem, abyś nie sapał, bo nie w miechu jesteś, jeno w kontuszu imci pana podczaszego! Tedy pamiętaj, żeś szlachcic źmujdzkl — nazywasz się... Jan, niech... Bełtowicz i ten... herbu Starykoń. Zębów mi nie szczerz! Starykoń! Albo najlepiej nic — .głuchy jesteś i basta!

Porucznik po kilkakroć razy powtórzył Wańce tę instrukcyę, uczęstował Babeckiego lampeczką wina na lepszy humor i otuchę i zmówił się, że go za Motwiłła, posesora sejneńskiego i patrona trybunału sprezentuje. Wachmistrz swarzył się, przekomarzał ze Stadnickim, lecz, po trzeciej lampeczce, znów rezonu nabrał i pogodniej na tę osobliwą wyprawę patrzył. A. .

Po krótkiej naradzie nad wyborem broni, której porucznik miał cale spory zapasik, zdecydowano wziąć .parę kawaleryjskich pałaszy, ile źe i Stadnickiemu zdały się lepsze do uchwytu od karabel i Załuski pewnie chętniej na pałasze będzie się godził.

Zaczem, porucznik raz jeszcze do kapitanowej poszedł, zaręczył rychły powrót i ruszył ze świadkami do Załuskiego.

W drodze Stadnicki musztrował Wańkę, który ani rusz nie mógł się oswoić ze swoim indygenatem szlacheckim — a z Babeckim ostatnie odprawiał narady, co i jak począć. Wachmistrz w lot każdą myśl chwytał. Dopiero, gdy porucznik wskazał

mu pański zajazd, wiodący do siedziby kapitana Załuskiego,. Baibećki czegoś posmutniał.

Mimo całej pewności sieibie, jaką porucznik okazywał Bąbeckiemu, i jego samego coś obleciało. Zwłaszcza, gdy postrzegł przed pałacem sznur rozmaitych pojazdów i mrowie sług' w barwach magnackich. Osobliwie zaś, kiedy, na tern żywem, strój nem tle, zaryso wała się, w pełni światła, zielona bekiesza Bubeckiego i żółto-perłowy kontusz Wańki.

'Coś się wydało Stadnickiemu, że jego świadkowie nadto po łapserdacku się prezentują i że istotnie przystojniej byłoby zaniechać tej maszkarady zapustnej. Nawet już się porucznik skłaniał do odwrotu, lecz nagle wachmistrz przystanął i znów namawiać do rejterady zaczął, czem wręcz przeciwny wywołał skutek. Stadnicki zaciął się i już wprost do pałacu, zawrócił.

W antykamerze był ten sam wąsal, co- i z rana. Stadnicki rzucił mu płaszcz i rozkazał ostro:

— Melduj nas swemu panu!

Wąsal, który mocno zezował na Babeokiego i Wańkę, doprowadzony do porządku groźną postawą porucznika, objaśnił śpiesznie:

— Mam rozkaz wprowadzić waszmościów panów na białą salę.

— Więc prowadzi

Wąsal ruszył przodem, w głąb antykamery, i bocznem przejściem wiódł ku napoły opuszczonym komnatom. Wańka postępował tuż za wąsalem, za Wańką szedł Stadnicki z Babeckim.

Wachmistrz ledwie opanować mógł alteracyę, która go zdjęła, w chwili znalezienia się pod dachem Załuskiego.

— Nie róbże takiej żałosnej miny ! — mruknął porucznik.

— Józinku, bo nie wiesz — toć Iwońezanin.

— Kto taki?

— Ten masztalerz kapitana, ordynans... Pozna!

— Milcz “sacrebleu!”

Wąsal tymczasem wprowadził gości do wielkiej i zupełnie próżnej sali.

—■ Waszmość panowie. raczą się zatrzymać tutaj. A jak mam zameldować?

— Stadnicki ze świadkami.

Wąsal skłonił się z przesadzoną uniżonością i wyszedł. - '

Zaledwie atoli drzwi się za nim zamknęły, gdy echo sali powtórzyło jakiś przeciągły zgrzyt. Stadnicki podszedł do drzwi, nacisnął klamkę — drzwi były zamknięte na klucz...

Porucznik zaklął siarczyście, Babecki ręce załamał.

— W pułapkę nas chwycili. Do klatki zamknęli ! A mówiłem — z Załuskim lepiej zaniechać.

— Niech spróbuje, nauczę, dalipan.

— Kochaneńki, bo nie wiesz, Twończanin !

—■ Niech go dyabli porwą. Trzymaj się i znaku po sobie nie dawaj !

— Proszę waszej wielmożnośei...

— Masz mi mówić: Józiu! Ileż razy ci powtarzać !...

— Kiedy melduję .-rr^e pęka !

—■ A ze mnie wprost leci ! — zawtórował Babecki.

Stadnicki chciał Znów zgromić i sługę i wachmistrza, gdy, naraz, drzwi środkowe rozwarły się na ścieżaj. Do sali weszła z brzękiem i hałasem gro-

mada oficerów i zatrzymała się na środku, szepcząc między sobą po francusku i śmiejąc się.

Porucznik, na widok oficerów, bąknął soś pod nosem i cofnął się nieznacznie ku swoim sekundantom.

— Generał, Józińku! — mruknął wachmistrz do ucha Stadnickiemu.

Stadnicki potrącił'kułakiem towarzysza i zwrócił” się ku Wańce, który zoczywszy, aż tyle naraz i bogatych mundurów, oczy w nie wlepił z pełnem służbistości osłupieniem i prężył się, nie zważając na trzask, nienawykłego do takiego uszanowania adamaszku.

— Łapy za pas — nie pucz się!

Tymczasem sala od strony oficerów wypełniała się powoli. Mundurów ’rozmaitej broni i rangi przybywało. Od karmazynowo - błękitnych uniformów adjutanckich, srebrem bogato szamerowanych, aż do kwatermistrzowskich granatowych fraków, skośnie ścinanych —, od potrójnych, zębowanych obszlegów na kołnierzach i bombiastych epoletów, aż do jednego brzeżenia srebrnego i jednej szlufy porucznika —• od akselbantów i cyfr napoleońskich, aż do skromnego munduru — od czapy niedźwiedziej, zawieszonej na głowni pałasza i kłaniającej się wystrzelistą kitą, aż do saskiego, konewkowej formy kaszkietu, aż do dragońskiego, francuskiego kasku z czarnym ogonem, aż do stosowanych kapeluszy, bądź z jedną pętlicą, bądź z pękiem dwu lub jednobarwnych piór — wszystkie stopnie w tej gromadzie miały, zda się, swoich przedstawieieB.’’

Babecki struchlał, Wańkaprężji się nielitościwie, Stadnicki nawe-t-inniej wyzywająco patrzył.

— Niech żyje! — rozległy się naraz -sar^ołania przy drzwiach.

Tłum wojskowych zakołysał się równocześnie i rozsunął, robiąc miejsce dla gospodarza domu.

— Darować proszę, że pozwoliłem na siebie czekać, lecz mnie trzymali! — tłumaczył się Załuski.

— A tu chłodno! Może wina? Hej, sam! Nalewać żywo! Waszmość panowie raczą!

— Wiwat! Zdrowie solenizanta! Niech żyje kapitan ! Wiwat gwardya! Pióropusza! Buławy! Niech was uścisnę! — wołano dookoła Załuskiego.

Gospodarz dziękował, kłaniał się, a zagadywał ochoczo. Gwar i zgiełk wzmógł się, wesołemi zawołaniami huczał, kielichami dzwonił, a ostrogami i pałaszami brząkał.

A Stadnicki ze swoimi świadkami stał bezradny, zły, czująe w powietrzu jakiś koncept, a nie widząc ratunku. Jużci porucznik ani myślał przejmować się obecnością aż tylu wojskowych personatów, lecz było mu czegoś nijako. Fantazya i pewność siebie go odbiegły, a przygnębienie czyniło głuchym nawet na coraz żałośniejsze skargi Babeckiego i Wańki, którzy do coraz większej dochodzili alteracyi, dzięki trzaskaniu kontusza i przestronności bekieszy i hajdawerów.

Załuski tymczasem, doczekawszy się chwilowego uciszenia gości, odchrząknął i zagaił po francusku:

— Kawaler, tam stojący, a podobno niegdyś szwoltżer zniewolił mnie do zaproszenia go na naukę przystojności. Nie trudziłbym panów taką bagatelą, gdyby nie sposobność pokazania wam nowej szkoły francuskiej, która rąbaninę usuwa zupełnie z szermierstwa, a cięcia zastępuje dżganiem, a nadto sprezentowania klingi angielskiej, którą przypadkiem nabyłem od markietana.

— Prosimy,, prosimy!

—- Kawaler zaś, o ile mniemam — kończył Załuski — powinienby stawać dobrze, bo ma w sobie impet sejmikowego burdy, no i szwoleżerską instrukcj ę.

—■ Wybornie, wybornie!

— A może od niej zacząć? — ozwał się z boku pułkownik.

— Hm, nie chciałbym panów pozbawić widoku metody... Chociaż, kto wie, może nic innego nie pozostanie do zrobienia, bo kawaler rzednie w oczach.

Po tern oświadczeniu, Załuski skinął na młodego podporucznika, zamienił z nim po cichu kilka słów, wydał jeszcze jakiś rozkaz pachołkowi, zaczerń, gdy goście utworzyli szerokie półkolisko, wysunął się ku Stadnickiemu.

Tu dopiero i kapitana szwoleżerów jakaś detonacya naszła, bo choć sobie nie imaginował żadnych personatów zobaczyć w osobach sekundantów jakiegoś dymisyonowanego szwoleżera, atoli ani mu w głowie było spotkać się z takiemi zakazanemi figurami.

Załuski skrzywił się gniewnie, pokręcił wąsa i zawołał surowo na Stadnickiego :

— Cóż to za ichmośeiów przyprowadziłeś waćpan ?!

—■ Pokaż waćpan swoich, to się dowiesz!

•— W moim domu muszę wiedzieć; z kim mam honor.

— No, jeżeli honor... Tedy pozwól, panie Piętrzę .'..

— Jędrzej, Józińku! — poprawił półgłosem wachmistrz.

— Milcz, psia! Właśnie, panie. Piętrzę, imć ad-

wersarz Załuski!... Imć pan Motwiłł, posesor sejneński, patron trybunału.

Babeeki potrącony przez porucznika, skłonił się uniżenie. Załuski skinął niedbale głową.

— Motwiłł... lun, Motwiłł i patron trybunału! — powtarzał kapitan, nieco uspokojony. — No, a wasze? jakże acan?

Wańka, do którego pytanie zostało zwrócone, poczerwieniał i zanim Stadnicki zdążył odpowiedzieć, ozwał się ze służbistością:

—■ Pokornie melduję, że... pęka!

Stadnicki zachwiał się z pasyi. Załuski nie zrozumiał pomieszania i powtórzył niecierpliwie:

— Ja acana pytam q nazwisko.

—■ Starykoń, Bełtowiez... głuchy! — poprawił się Wańka ze spazmatyczną szybkością.

—- Co? co?

— Dobrze mówi! Bełtowiez jest, psia... i ten! Waszmość Załuski, a on ten!... Starykoń! I nie lubię! Nie na rodowody przyszedłem! Stawaj acan, kiedyś wyzywał, bo nie lubię, i ten!

— Nie spiesz się kawalerze, bo nie wiesz do czego.

—• Kapitanie! — rzekł pułkownik po francusku. —■ Szkoda pańskiej ręki!... Hołota!... Przypatrzże się tym sankiulotom! Do prezenty stanie ci Prebendowski!

-— Nie wykaże się! Na ostrze trzeba!

—• Lecz taki ci nie strzyma placu!

—■ Zobaczymy... służył! Iwończanin, broń!

Z ciżby wysunął się sługa kapitana z pękiem pałaszy i rozłożył je na stojącym p‘od ścianą, stole. Załuski skinął ku Stadnickiemu.

— Wybierz sobie waćpan! Który ci do ręki

przypada? Ja ten sobie upatrzyłem, lecz, jeżelibyś mniemał, że mi dać może przewagę, bierz go sam!

— Nie trzeba, psia —■ mam swój! — odrzekł hardo porucznik, ochłonąwszy nieco z konfuzyi.

— Jak się waśei podoba!

Załuski odwrócił się do gości. Stadnicki szturchnął znów Babeckiego.

—■ Pałasze dawaj! — a gdy wachmistrz jął. niezgrabnie przyniesioną broń z płachty odmotywać, dodał półgłosem: —■ Ruszaj się do krocset! wstydu mi nie rób!

—De leci, kochaneńki!

— Pasa zaciśnij ! Draba mi pilnuj, bo psia, chryja z tego będzie.

Babecki posłusznie do Wańki się przysunął. Załuski tymczasem pokazywał gościom wybrany przez siebie pałasz.

— Klinga angielska, prosta prawie, u końca ma ostre ścięcie — do nowej szkoły francuskiej jedyna. Szkole tej żadna rąbanina nasza nie sprosta. Godzinami można odparowywać cięcia bez zmęczenia, dziurawiąc na rzeszoto przeciwnika; jeden nieznaczny ruch, wobec długości klingi, ogarnia całe koło.

— Prawda, prawda! — przyznano skwapliwie.

—■ Szeroka garda chroni dłoń; rzemień obejmuje kiść, czyniąc wytrącenie niemożliwem.

Załuski, dla poparcia słów, wywinął młynka pałaszem raz i drugi.

— Stawaj — mości szwoleżerze! Obaczymy, co umiesz! Może ci za ślisko ? Iwończanin, piasku mi rzuć trochę na podłogę!

, Stadnicki' dobył pałasza z pochwy, spojrzał po ostrzu, odgiął nieco rękawa, zaczem, wsparłszy się na pałaszu, zagadnął:

— Należy mi się prezentaeya waszmościnych świadków.

Załuski roześmiał się serdecznie.

— Dalipan, podobasz mi się acan. Hm, tedy prezentaeya. Więc imć Dezydery Czupajłło, rejentowicz żmujdzki i imć pan Benedykt Putynofonowicz, posesor zapiecki, herbu Młodykoń.

Dwaj najbliżej stojący oficerowie skłonili się Stadnickiemu z komiczną powagą. Goście wybuchem śmiechu powitali prezentacyę.

— Tedy ten jegomość w pułkowniekim mundurze zwie się Putyfonowiczem ? Cale stosownie.

— Dosyć głupstw! — rozkazał Załuski. — Broń się!

— Gdzie meta?

— Moja tu, gdzie stoję —• odrzekł wyzywająco kapitan szwoleżerów — a waścina, kędy wola... myślę, że pod ścianą. Broń się!

Załuski wyciągnął pałasz i natarł na Stadnickiego. Imć pan Józef dość niepewnie odbijał, skradające się ku niemu, ostrze broni przeciwnika. Kapitan szwoleżerów tymczasem z ustami złożonemi do uśmiechu, z nogą niedbale wyciągniętą ku przodowi, parł z całą świadomością swej przewagi.

— Boisz się acan żądła! Hm... nie obawiaj się, mocno cię nie skaleczę. Proszę waszmościów uważać — jedno drgnięcie i niema cięcia! Teraz okazuję obronę.

— Świetnie! Znakomicie! Wiwat Załuski!

— Wina! — wołał rozochocony gospodarz. — Darujcie, że wam nie służę. Bądźcież mi radzi. Dobrze, dobrze, mości Stadnicki! Uważaj, bo ci się pałasz skręca w ręku. Nic, długo cię mordować nie będę. Cyrulika! Iwończanin, skocz po cyrulika!— Widzisz acan, że tu nikt twej krzywdy nie chce. —

Widzisz, już cię mogłem po bojczyku pogłaskać •—• ale nie, wolę ci bokobrodę uciąć, abyś franta mi nie udawał. Żal ci bokobrody! Zgolisz drugą, albo jedną będziesz sobie hodował. Uważaj, bo świadkowi swemu na nogę nadepniesz!

Stadnicki, na te przymówienia, nic nie odpowiadał i ledwo, że wytrzymywał natarcia Załuskie.-go. Porucznikowi czegoś czczo było i nieswojo. Przymówienia atoli Załuskiego działały na porucznika podniecająco, burzyły w nim krew — wracać mu zaczęły fantazyę.

— Meta gdzie ? Mety, ‘[1] sacrebleu ’ ’ nie widzę !— wrzasnął raptownie Stadnicki.

Załuski odrzekł zimno:

— Powiedziałem acanowi — moja meta tam, gdzie stałem, a twoja... pod ścianą! Broń się! Czujesz metę plecami! Na środek, prosimy!

— Wiwat Załuski!

Stadnickiemu żyły an czole nabrzmiały. Pałasz opuścił i. oparł się o ścianę, do której go zapędził kapitan szwoleżerów.

— Niema co z nim robić! Skończ, kapitanie! Ledwie tchnie! — ozwały się głosy. ■— Gdzie jemu do waszmości!

— Zgoda! Zaraz będzie koniec —- podchwycił Załuski. — Stawaj acan,'zaczynamy!

— Wina! — huknął nagle Stadnicki.

Zebrani powitali to życzenie porucznika wesołymi okrzykami.

—■ Wybornie! Dać mu wina! Dać im wszystkim !

Stadnicki jednym tchem wychylił kielich wina, paychnął, otarł wąsy i nie uważając na jakieś przedłożenia, które mu ch.ciał czynie Babecki, stuknął pałaszem i zawołał do Załuskiego:

— Stawaj, mości szwoleżreski kapitanie!

Goście zarechotali. Kapitan się skrzywił i, wskazując poza siebie, odrzekł:

— Widzisz aean cyrulika? Tyle z ciebie weźmie krwi, ileś wypił wina.

—■ Broń się!

— Którą bokobrodę ci zostawić? Może tą z lewej ?~

— Baczność, carramba,, bo nie lubię !* — ryknął porucznik i z taką furyą zawinął pałaszem, że kapitana wtłoczył między oficerów.

Ten niespodziewany wynik drugiego starcia zmieszał nieco gości, zaalterował Załuskiego.

— Widzicie, waszmościowie — objaśnił kapitan —■ mój adwersarz ma rozmach! Umyślnie chciałem wam pokazać — a teraz zobaczycie, co znaczy szkoła.

— Zaczynamy!

—■ Zaczynamy!

Stadnicki natarł pierwszy — lecz kapitan, nauczony teraz, skupił się w sobie i rozwinął całą swoją sztukę szermierską. Pałasz w ręku Załuskiego warczał, nikł w powietrzu, to znów rozkładał się wachlarzowato — a co chwila godził w przeciwnika. Porucznik zaś, w przeciwieństwie do błyskawicznych ruchów kapitaną, odpowiadał zajadłym, nieubłaganym łomotem, ani na oka mgnienie nie chybiając wybijania na klindze angielskiej ponurego taktu.

Załuski pobladł. Dzielny opór, na który natrafił, konfundował go wobec gości. Chęć zaprezentowania swej sztuki,' popisania się nią, wyprowadziła go z poprzedniego spokoju.

—■ Uważajcie waszmościowie — zaczął urywa-

nyni głosem kapitan, szukając, wytłómaczenia dla przedłużającej się walki — wszystko to razem jest kawaleryjska rąbanina. Patrzcie, jak musi machać —■ wiatrak istny !

—■ Pilnuj własnej śmigi, bo rąbnę !

— Hola bratku! Trzymasz się niczego, ale patrz uszów. Męczy acana? Widzisz —■ angielska klinga.

—■ Tedy cóż, psia?

— Zgolę ci bokofrrodę, a może oszelmuję, kiedyś taki zajadły.

— Mnie, “sacrebleu!” Mnie? — wrzasnął z wściekłością Stadnicki i w tej chwili, odbiwszy cięcie, rąbnął pałaszem po klindze Załuskiego z taką siłą,, że ta prysła w połowie; —■ Naści kikut z angliczki.

Żąłuski syknął.

— Takiś acan. Do pioruna, bez szramy stąd nie wyjdziesz ! Iwończanin, pałasza !   .

Przeciwnicy starli się na nowo. Stalowe ostrza dzwoniły ponuro a warczały. Śród gości zapanowała głęboka cisza.

Załuski całą swą sztukę szermierską rozwinął. Skupiał się w sobie, to się w tył rzucał, to Znów parł zajadle na Stadnickiego. Stadnicki stał murent i w . dodatku, na przekór wymyślnym ruchom kapitana, wbrew całej jego szkole, rąbaniną nie tylko. udaremniał ataki, lecz groził sam.

— Trzymasz się acan tęgo, niema co ! — bełkotał z pasyą kapitan. —■ Byłeś w trzecim szwadronie pod Stokowskim. W czyjej kompanii?

—■ Pewnie czujesz, że nie w waszmościnej.

— Nie rozpuszczaj jęzora, bo mnie rozsierdzisz ! Pilnuj szczęki !

— Niema strachu 1

— Dosyć żartów! — zakrzyknął kapitan, gotując porucznikowi piekielny cios z odparowania w ramię. Lecz Stadnicki szarpnął się w tył, spuścił na żelazce kapitana swój pałasz, zawinął i poderwał w górę.

Pałasz Załuskiego padł z przeraźliwym brzękiem pod nogi pułkownika.

— Najpokorniej się sumituję przed imć panem Putyfonowiczem, oficerem zapieckim! — ozwał się drwiąco porucznik.

Załuski rzucił się z pasyą, oczy mu krwią nabiegły, piana wystąpiła na usta. Najbliżej stojący oficerowie chcieli mitygować kapitana, lecz ten ani zważać myślał.

—■ Broń się !

— Pałasz trzymaj!

— Mnie będziesz uczył!

— Trzymaj, powiadam, bo nie lubię! — mruknął Stadnicki i podbił z taką siłą pałasz Załuskiego, że ten wypuśeił-go zręki.

Załuski zakrzyknął z wściekłości. Już nie o konfuzyę szło, nie o ambicyę szermierską, lecz o honor szwoleżerski.

— Iwończanin, mój pałasz!

— Wypocznij waszmość — upominał z boku pułkownik, lecz tą uwagą do tern większej zajadłości doprowadził kapitana.

— Stawaj!

—■ Jeszczem się stąd nie ruszył..

— Widzisz ten pałasz? Nie takim drabom płatał łby! Pod Tudelą się uczył!

— Mój pod Somo-Sierrą!

Załuski roześmiał się ironicznie i, ścierając swój

pałasz z pałaszem Stadnickiego, odrzekł zimno:

— A cóżeś acan, konie tam poił?

— Byłem pod Dziewonowskim.

—■ *Ba*, lecz coś robił?

Stadnicki zbami zgrzytnął.

— Chcesz wiedzieć koniecznie? Cyrulik, psia, bandaża imć kapitanowi! Bandaża mówię!

Kanim przytomni zdołali zrozumieć znaczenie słów Stadnickiego, pałasz porucznika zatoczył półkole; odparował cięcie kapitana i musnął go po ramieniu. Krew buchnęła z pod prawej szlufy Załuskiego, ręka mu zwisła. Najbliżsi rzucili się ku Załuskiemu. Stadnicki odwrócił się spokojnie do swoich kompanów, zabierając się z nimi do wyjścia. W sali rozległ się wyraźny pomruk pomieszanych głosów.

— Cóż to za farmazon!? —■ Co zacz? — Na szable z nim! — Kto burdę, hołysza wypuścił?! — Naukę mu dać! Żywym nie wypuścić! — Batów na szaraka ! — Gospodarza nam poturbował!

— Józińku! Coś ty narobił, coś ty narobił!...

—■ Niech mają, psia!

— Obatożą! Dopytają się! A tam... rodziciele!...

—■ Milczeć! Bierz pałasz w garść!

~ Babecki nie.u?dążj'ł zaoponować, gdy na środek wysunęła się gromadka co młodszych- oficerów.

•—■ Oddawajcie broń!

—■ Ani kroku, bo nie lubię!

— Dawajeie broń po dobrej woli! — rzucał się młody porucznik. —■ Jakem Ossoliński, zarąbię!

Stadnicki cofnął się ku ścianie i zaparł plecami.

—- Chodź sam wziąć!

Ossoliński chciał się rzucić ku porucznikowi z dobytym pałaszem, lecz towarzysze go powstrzymali.

— Pachołków przyzwać! Na postronki hołotę! Rąk szkoda!

— Prawda! prawda!

W sali zakotłowało się. We drzwiach ukazało się kilku drabów z drągami. Stadnicki posiniał.

— Ilola, mości panowie! Czy jestem pod dachem oficera i szlachcica, czy w zbójeckiej jaskini?

— Brać ich żywcem! — Stołkami ich zarzucić! ■— A potem na postronki! — dowodzili młodzi oficerowie.

Lecz, niespodziewanie, na krańcu sali, wszczął się szmer niezadowolenia.

— Nie uchodzi! —■ Po dobrej woli wyzwano go! Panowie, zastanowienia!

— Za pozwoleniem! — zawołał raptownie Załuski, który, posłyszawszy odgłos burzy, wyrwał się z bocznej komnaty cyrulikowi i na salę podążył. ■— Mój dom! Mój dach! Już i tak winnym się ezuję przed tym kawalerem, że dopuściłem do spotkania. Za co najsolenniej go przepraszam. I proszę nadto, aby mi tą skrwawioną ręką pozwolił dłoń swoją uścisnąć!

Po tern oświadczeniu, salę zaległo milczenie,— Załuski tymczasem podszedł do Stadnickiego.

— Daruj waszmość. Jeżelim zawinił lekkomyślnością, toć dałeś mi tęgą odprawę —■ nie tylko mnie ale całej szkole francuskiej. A mnie, dalipąn, nawet nie przykro — bo... bo... w jednym ze mną pułku sługiwałeś i choć się zapierasz, szwoleżerem jesteś. No, ręka!

Stadnicki kiwnął się raz i drugi, spojrzał z pod oka na kapitana i chwycił go w objęcia.

— Kapitanie, psia... choć ten... ale tego... i nie lubię! Ale kiedy tak — to mnie za grdykę!— Wiwat Załuski!

— Niech żyje!! -—■ podchwyciły głosy.

. Jeszcze przez oka mgnienie panowało onieśmielenie, wzajemna niepewność, lub kłopot, jakby tu w porywczości padłe wyrazy cofnąć, a jakby zagładzić. Lecz, gdy Załuski zakrzyknął o wino i przepił na zgodę do Stadnickiego, ostatnie chmury szczezły.

—■ Zdrowie Stadnickiego, rębajły!

— Wiwat!

—■ Hola! — ozwał się jowialnie Skrzynecki.— Proponuję karę na imci Stadnickiego i jego kompanów! Primo, zjawił się nam wówczas, gdyśmy już trojakie zdrowie wypili. Bo imć pan jenerał Rautenstrauch — Józef, imć pułkownik Nowicki — Józef i gospodarz nasz także Józef.

— Stawić kielichy. Wszystkim trzem! .

— Veto! — huknął rozochocony porucznik. — Niema zgody. Mości panowie, jesteście wszyscy w błędzie! Czterech widzę solenizantów!

■—■ Co, jakto? Kto czwarty Józef?

— Widzę, że się nie domyślicie! Owóż, jeżelim Józefowi przy imieninach dopiekł, to dlatego, że sam na Józefa się urodziłem i Józefem zostałem!

—• Zdrowie Stadnickiego!

—■ Wiwat szwoleżer !

•— Wiwat Sonio Sierra!

•—■ Kto mi psia z Somo Sierrą — nie lubię! Zdrowia! Bodaj waści z taką garścią!

— Do nas go! Siadajże. —■ Hej! Mości świadkowie — prosimy z kąta do kompanii!

Zebrani z całym zapałem wzięli pomiędzy sie-

bie Stadnickiego, Bab'eckiego i Wańkę i jęli raczyć ieli winem i raz po raz na ich cześć wiwatować..

Imć pan Józef Załuski, który jako na gospodarza przystało, miarę w piciu zachowywał, a ładu strzegł, upominał ochoczo:

■— Mości panowie! Pamiętajmy, że za godzinę, czeka nas przyjęcie pod "Blachą"... Mości panowie ! Przed księciem ministrem wojny mamy sta-' nąć! . .

—■ Niech żyje Poniatowski! •—- zakrzyknięto dokoła.

— Niech żyje Zajączek! — pisnął jakiś głos z kąta.

—■ Precz z Zajączkiem! Jeden Dąbrowski, psia mać! — wrzasnął Stadnicki.

To nagłe starcie się wiwatów stłumiło rozgwar; obecni jęli poglądać podejrzliwie po sobie, tu i ówdzie brzękały niecierpliwie pałasze.

Rautenstrauch skorzystał z uciszenia i rzekł pojednawczo :

— Mości panowie! Czeka nas prezentacya u księcia ministra. Musimy strzedz miary. Recepcya imieninowa. Książę Józef...

— Cóż z tego, że Józef! Pan jenerał także Józef i ja, psia mać, Józefem jestem!

•—■ Wiwat Stadnicki! Zdrowie czterech Józefów! Do dna!

Tu młody Ossoliński, wierny swemu adjutanckiemu mundurowi, dopadł pana Józefa.

— Mości Stadnicki, co waszmość masz przeciwko księciu ministrowi?

— Mam i koniec!

—■ Proszę się suinitowaé! Inaczej jiie ustąpię ! — srożył się Ossoliński.

■—-Bo “Blachy”, psia, nie lubię i paniczów także. Napoleona nie lubię ! Somo Sierry nie lubię ! Takich balasików adjutanckich nie lubię!

Ossoliński zaperzył się, lecz stojący w pobliżu, oficerowie strzelców konnych odsunęli go nieznacznie od pana Józefa i zachęcali do dalszych wywodów.

— Mów waćpan ´siniało! Co? Jakto? Głośniej! Stadnicki mówi! Na stół, na stół!

Porucznik posłuszny wezwaniu, wgramolił się na stół, odsapnął,, powiódł wzrokiem dookoła i zaczął z wybuchem:

— Nie lubię, powiedziałem, bo nie lubię ! Będzie temu pięć roków, gwardyę szwoleżerską ogłosili, — werbunek obębnili —• leźli rozmaici, polazłem i, ja, “earra.mba!” Wystroili nas na amarant z granatem i pognali w świat. Pognali i kazali zdychać za “lempera”, za Francuzów, za szewron, za krzyżyk i niby za ziemię rodzoną. W pułku, niby w kotle, wrzało! Powiadali, aby ze dwie kopy łbów hiszpańskich naciąć, to już ci ani chybi, cała Rzeczpospolita w biuletynie cesarskim nakazana będzie, no i ten! Dwa miesiące mordowaliśmy — chłop, no to chłopa, a jak baba, to babę:dzieciak czy dziad, mnich nie mnich, z nożem idzie, czy z krzyżem, zamierza się, czy ci do nóg się kłania — przez łeb, po kapturze, rozkaz był “sacrebleu” i ten!... Hiszpan nas monstrancyą egzorcyzmował — ale nam psia, nie ! Cesarz, powiadali, samemu papieżowi, jak potrza, szlufy odbierze i zdegraduje na braciszka klasztornego, albo zgoła do ciurów księżych wyśle. Tak i dobywaliśmy. Gryzły nas guerille, ziąb ściskał, nędza w kotle padlinę z prochem warzyła —• aż ci machnęła białą płachtą, marszałek wiwat kazał bić, miasto zdobyte

— kupa gruzów i zaraza! Wyciągnęli bataliony na paradę i nuż Panu Bogu dziękować, że Mu mendel kościołów w powietrze wysadzili, có było klasztorów, to rozwalili, a sukienek klasztornych natłukli, że ani pogrześć! Rozumiecie waszmościówie ?! Nie na tom się pod Krakowem rodził, aby przed Hiszpanami Tatara symulować lub na bisurmańskiego mameluka uchodzić. Zresztą nie lubię, psiamać! Napoleona nie lubię, tych imć jenerałów z socyety nie lubię i ten... niech żyje Dąbrowski! Za psie poszycie nie mam tego, co do dna tego zdrowia nie wypije!...

Po tern gwałtownem przemówieniu, cisza zaległa zebranie. Oficerowie poglądali po sobie, jakby pytając się, co począć z tem oczywistem wyzwaniem. Naraz, z głębi sali, ozwał się śpiewny głos.Babeckiego:

— De Józińku, naplotłeś nie wiedzieć...

Stadnicki nasrożył się.

— Milcz babo z Wyłkowyszek.

— Za pozwoleniem. «— Ozwał się któryś z oficerów. — Wysłuchaliśmy waścinego wywodu, teraz kolej na waścinego kompana. Imć Motwiłł mówi!

— Dawać Motwiłła!

Babecki -ani się spostrzegł, gdy go otoczono, popchnięto ku środkowi i na stole usadowiono. Stadnicki chciał protestować, lecz zahukany, ustąpił; tem łatwiej mu to przyszło, że jakoś pana Józefa gorącość odeszła, a w głowie mu czegoś poweselało; a gdy na dobitek, ujrzał przed sobą komicznie wykrzywioną twarz dawnego towarzysza broni, to już roześmiał się z całego serca do Babeckiego.

Ciżba gości imć pana Załuskiego zwarła się, skupiła i umilkła.

Babecki tymczasem, którego na tym piedestale niespodziane, a nieznane mu drżenie łydek napadło — przesuwał niespokojnie rękoma po bekieszy, przestępował z nogi na nogę, a ściskającą mu się grdykę łykaniem śliny krzepił.

— Hej, mości Motwiłł, dalej!

Babecki skłonił się, otarł pot z czoła i wyrzucił jednym tchem:

— A- tam, kochanieńki popatrzysz! Rodziciele mówili..? choć co niebądź! A tam... w szwadronie... uczyli, w Wyłko Wyszkach... Filipinka, strach, jaka niewierna... aż żutko!

Babecki wciągnął z impetem okrutny haust tchu i umilkł.

Nastąpiła męcząca chwila oczekiwania, którą przerwał zniecierpliwiony głos Rauchenstraucha:

— Mości panowie, dosyć tych komedyi! Acan, jak nie masz nic do powiedzenia, to złaź ze stołu!

Na ten rozkaz, wyrzeczony oschłym tonem, wachmistrz szwoleżerów spojrzał ku mówiącemu, a dostrzegłszy haft jeneralski na kołnierzu, posiniał, wyprężył się, nogi skupił, ręce opuścił i odparł z impetem:

— Według rozkazu, panie jenerale!

Tyle przy tern Babecki w tę odpowiedź włożył natężenia, energii i służbistego przejęcia, że pas na zielonej bekieszy, naciśnięty potężym zapasem oddechu, rozwinął się, zatoczył w powietrzu krąg i opadł.

Bekiesza, uwolniona z ucisku, rozwarła swe poły, za bekieszą poszły hajdawery. Babecki został w rajtuzach szwoleżerskich.

Wybuch homerycznego śmiechu powitał tę nagłą przemianę.

■—• Wiwat Motwiłł! Trzymać go ! Hajdawery mu uciekają !

Babecki schylił się skonfundowany. Lecz było już za późno. Rozochocona młodzież rzuciła się ku wachmistrzowi i ściągnęła go ze stołu. Hajdawery, przy tej sposobności, poszły w kurs, mimo protestów wachmistrza.

Żart ten atoli wydał się imć panu Załuskiemu nieprzystojnym. Przyzwał więc Skrzyneckiego do pomocy, odebrał gościom swym nieszczęsne hajdawery i, odciągnąwszy Babeckiego do kąta, doręczył mu zgubę.

—• Wdziewaj Je waćpan i umykaj !

—■ Pokornie dziękuję — jąkał wachmistrz. —- Nie moja wina... to Józińko zamyślił...

—■ Dobrze, dobrze... Ale patrzaj... skąd acan masż szwoleżerskie rajtuzy na sobie?

Babecki mało trupem nie padł.

— Szwoleżerskie? Tak, panie kapitanie! Według rozkazu! Rodziciele...

•—■ Czekajno, pokaż hycelek !

—- Hycelek, panie kapitanie... ot, niech sobie hycelek !

Kapitan pochylił się i na drugiej krawędzi rajtuzów, jął odczytywać litery biało znaczone, a cyfry.

— Drugi szwadro, do licha! Magazyn w Chantilly. Dziewiąty rok.

— Wagramskie —■ uchowały się w mantelzakach — odpowiedział z pogodnym uśmiechem wachmistrz.

Lecz, w tej samej chwili, spostrzegł wychylającą się z poza pleców Załuskiego twarz Iwońezanina.

Wachmistrzowi w oczach pociemniało.

— Panie kapitanie, niechże się najpierw' wyśpi! Imci Motwiłła, aż zamroczyło od wina! — wmieszał się z boku Stadnicki, chcąc ratować zagrożoną sytuacyę. — Mości panowie, co było to było... Wiwat Motwiłł!

— Wiwat! — podtrzmało kilka ochrypłych głosów.

W tern miejscu Babecki ze zgrozą spostrzegł, że Iwończanin pochylił się do ucha swego pana i jął coś sezptać. Załuski pobladł z lekka i jął szarpać nerwowo swe małe wąsiki.

Pod wachmistrzem nogi się ugięły: Urwał nagle tłómaeżenie i głowę zwiesił. Rozumiał, że jest wykrytym.

— Mości Babecki! — ozwał się, po dłuższej pauzie, Załuski. •—■ Jesteś moim gościem. Z postępku swego zdasz sprawę gdzieindziej.

Oficerowie, nie rozumiejący tej sceny, zarzucili gospodarza pytaniami, lecz Załuski jeno brwi ściągnął i wzruszył ramionami na znak, że nic osobliwego ani ciekawego niema.

Goście zawiedzeni w oczekiwaniu na jakiś bardzo zabawny finał, zaczęli się ku antykamerze wymykać, a z gospodarzem żegnać, zapowiadając sobie rychłe spotkanie w salonach u księcia ministra wojny. Na Stadnickiego i Babeekiego zaprzestano zwracać uwagę. Wszystko zdawało się zapowiadać, że cała przygoda już zgołś. pomyślnie się zakończy.—- Pan Józef atoli, mimo tych uspakajających pozorów, czegoś nie był pewny siebie, bo Babeekiego ucapił nieznacznie i rozkazał krótko:

— Pilnuj się mnie — trzeba umykać.

-—■ Józińku, de przecież serce, nie człowiek.

— Przyjrzyj mu się!

— Myślisz?-.. <•

— Że cię zdegradują!

—- Ratuj, braciaszku!

■—■ Nie wyj! Mnie się pilnuj! W nogi! Za mną!

— A Wańka?

—■ Temu głowy z karku nie zdejmą!

Zamęt, spowodowany tłumnem już 'wychodzeniem gości, zdawał się sprzyjać zamiarowi Stadnickiego. Porucznik uszedł nieznacznie z oczu Załuskiemu i chyłkiem do antykamery zmierzał. Babecki postępował za nim — gdy, naraz, ktoś ujął lekko imć pana Józefa za ramię.

Stadnicki obejrzał się — tuż obok stał Skrzynecki.

— Miej się, waszmość na baczności: warta przed bramą! Żart był za gruby! Czekają na.was!

Imć pan Józef zatrząsł -się z przerażenia, bo, w okamgnieniu zrozumiał, źe nietylko za świadków będzie odpowiadał, le-cz, nadewszystko, za chryję w winiarni i pobicie. Zresztą, nie tyle on, co Babecki, którego sądem polowym mogą skazać.

— Panie kapitanie.. .

— Ostrzegam! Ryzykant z waszmości — rzekł Skrzynecki i odszedł.

Pan Józef splunął z obrzydzeniem i wsunął się do antykamery, kędy, wśród zgiełku, służba płaszcze podawała gościom.

Drzwi na podjazd były otwarte naścieżaj. Stadnicki spojrzał ku wolnemu przestworowi i do ściany przycupnął — w dali, za podjazdem, spostrzegł karabiny...

Wachmistrz uszy stulił z płaczliwem westchnieniem. -Stadnicki zaś jął zaglądać, szukając, a-

by gdzie do czeladnych izb wyjście znaleźć. Z antykaniery, na prawo, była izdebka służbowa. Porucznik bez. wahania wpadł ad o niej, mniemając, że znajdzie tu dalsze przejście — lecz izdebka była wąską szyją, ogrodzoną czterema ścianami, a oprócz jednych drzwi miała małe a okratowane mocno okienko.

Porucznik chciał zakląć siarczyście, ale urwał w połowie pierwszej sylaby — zdumiony widokiem, który mu się przedstawił.

W końcu izdebki, przy stole, zastawionym szklanicami, siedział Wańka, obrócony plecami do wejścia, i prawił zawzięcie do dwóch, pochylonych ku niemu a uśmiechniętych drwiąca hajduków.

— A ja wam każę, sobacze syny, żem pan i szlachcic !... Stary koń jestem !. .. I Bełtowicz !... Jego wielmpżność kazali... nu, Józio kazał... a tani zębów* nie szczerz, głuchy jesteś, psiamać!,,. Srogo przykazali! A moja rzecz słuchać! I tak panem został!... Mnie co ! Służba! Był w granadyerskim, był w austryackim, był w woltyżerskim, no, tak można'i w szlacheckim.! . . U nas tak! Carramba, i ot masz !

— Wańka! — huknął surowo porucznik, który właśnie był na ten punkt perory trafił.

Wańka porwał się z za stołu.

— Co tu robisz?

.— Zaprosili, proszę... Józiu... Dobrem słowem — sam jego wielmożność, sam pan kapitan zaprosili.

‘Stadnicki rzucił okiem- po zmieszanych nieco hajdukach i, tknięty nową myślą, rozkazał krótko:

— Bąbecki — zamykaj drzwi... podeprzej!

Wachmistrz z rozpaczliwą determinacyą spełnił

polecenie. Stadnicki zakasał rękawy i skinął na Wańkę.

— Dalej, bierz tamtego za gardziel! A ja tego! Żywo! Sciśnij mu-ją, aby na trochę!'

Wańka, bez namysłu, spadł na wskazanego mu hajduka, Stadnicki zaś załatwił się z drugim. Hajducy, zaskoczeni niespodziewanym napadem, nawet pomyśleć o obronie nie zdołali, gdy już ich powalono i zdławiono.

'Babecki trząsł się z przerażenia pod drzwiami, nie rozumiejąc napadu. Stadnicki atoli czasu nie tracił. W powietrze niemal uniósł trzymanego hajduka i jął pośpiesznie rozbierać go z barwy a napominać Wańkę, aby "poszedł za jego przykładem.

Operacya trwała krótko. Stadnicki rzucił Babeckiemu barwę.

— Przebieraj "się! Dalej, nie racz ślepi! Chwili niema do stracenia! Wańka, rzucaj kontusz!

Babecki i Wańka z gorączkowym pośpiechem zaczęli się odziewać — Stadnicki zaś równocześnie stroił jednego hajduka w zieloną bekieszę, a drugiego w kontusz imć pana podczaszego.

Zamiana poszła szybko. Zanim pan Józef skończył operować poturbowanych hajduków w izdebce już stali dwaj nowi hajducy w osobach wachmistrza i Wańki.

Stadnicki zaciągnął pasy- swoim ofiarom i odrzucił ich, niby snopy siana, w róg izdebki — zaczem roześmiał się raźno.

— Widzisz, Babo — namby tak należało uczynić! No nic. . . Djabła zje imć pan Załuski!

— Nogi za pas, pędź do kwatery po manatki.i w nogi do rodzicielów!

— Józinku! Tylko. .. tylko, jak kapitan do audytora da znać?

— Drwij z tego, co będzie — bacz, co jest! Zmiataj, mówię! A ty, Wańka, wracaj do domu, pani kapitanowej Nięwodowskiej z oka nie spuszczaj, dzień i noc pilnuj! Gdzie ona, tam i ty!... Rozumiesz ?

Wańka łypnął z^przejęciem białkami.

— Rozumiem, proszę wielmożności!

— Babo ¡-otwieraj drzwi i na lewo, na podjazd -— żeby dymu ani popiołu nie było!

Babecki odsunął potulnie zasuwę.

— A.. . a ty, Józinku ?

— Co ja! Co tobie do mnie!

— De... opuścić cię, samego na chryję zostawić ... żutko!

— Żutko... według rozkazu! — wybuchnął z impetem Wańka.

Stadnicki obruszył się.

— Co wam do tego — słuchać! W nogi, razem z żółtkiem, bo nie lubię, psiamać!

VII.

Pomysł przebrania świadków okazał się znakomitym. Stadnicki ledwie oczom własnym wierzył. Babecki z Wańką wyszli na podjazd i utonęli na chwilę w ciżbie służby. Zaczem, nie zaczepiani przez nikogo, podeszli do okratowanej bramy, otarli się niemal o stojącą wartę i znikli w perspektywie ulicy.

Stadnicki odetchnął, zaciągnął chustę na szyi, szarpnął z fantazyą bokobrodów i zawrócił spokojnie na pokoje gościnne.

W pokojach tych, prócz służby, uprzątającej resztki z odbytej uczty imieniniowej, już mało kto z gości pozostał. Imć pan Józef nie zwracał uwagi

na te widoczne znaki do odejścia. Rozsiadł się wygodnie w zamaszystym fotelu i klasnął na najbliższego pokojowca.

— Hej, macie wy alikant?

— Kiedy piwnicę zamknęli już.

— Więc niech ją otworzą, rozumiesz? Równaj się, carramba!

Pokojowiec skurczył się potulnie i wybiegł powtórzyć życzenie. Upłynęła długa chwila, zanim lista wiono przed panem Józefem omszałą butlę.

Stadnicki nalał sobie tęgi kielich wina i jął je popijać powoli a drzemkę odprawiać.

Na tern raczeniu się zeszedł go Załuski. Kapitan szwoleżerów był chmurny i sztywny.

— Mości Stadnicki — rzekł zimno. — Późno I

— A, kapitan dobrodziej 1 Prawda, że późno — lecz, w takiej gościnie, czasu zgoła się nie czuje.

-=- Lecz ten, mimo to, upływa.

— Bierz go licho... Przedni napój. — No — może kropelkę... w pojedynkę chyba nie każesz.

Załuski szarpnął się.

— Waćpan nadto łaskaw. Muszę do księcia ministra na pokoje.

— Hm... nie spostrzegłem. Prawda, imć pan kapitan w wielkim mundurze...

— Nadużywasz cierpliwości, że nie powiem... gościny!

— Taka natura. Wyzwałeś mnie, potem na gościa promowałeś, a ja mam już taką naturę, że, jak mi kto, psiamać, do serca przypadnie, Bóg w domu, i już gościa ad libitum symuluję.

■ Kapitan, na to niespodziane zakończenie, zagryzł do krwi usta.

—- Pod moim dachem włos z głowy ci nie spa-

dnie, lecz nie myśl, abym 'acanowi lub jego znajomkom darował. Konsoluj się, póki wola!

— Mocno obligowany za gościnę!

Załuski splunął ze złości i wyszedł.

Stadnicki odsapnął z uczuciem ulgi i aż samemu sobie się zdziwił, że mu starczyło siły na ów spokój, z jakim zniósł przymówki Załuskiego. Toć jeszcze nic podobnego go nie spotkało. Et, gdyby to jedna sprawa z Załuskim, gdyby nie obawa, że na odwachu mógłby być poznanym i za chryję z tamtymi osadzonym,, gdyby wreszcie sam był, gdyby kapitanowej Niewodowskiej parolu nie dał, spróbowałby szczęścia. A tak dławić się musi i sposobności patrzeć.

. Porucznikowi zrobiło się gorzkp nawet przy muszkateli. Komnata, w której się rozsiadł, opustoszała zupełnie; prócz kręcącej się jeszcze, od czasu do czasu, służby, żywego ducha nie było widać.

Stadnicki przesiedział tak kilka godzin w jednem miejscu. Wreszcie podniósł się „ niby , niechcący, wyszedł do antykamery i wyjrzał ku podjazdowi. Warty nie było, lecz za to czterech drabów stróżowało u wyjścia na ulicę.

Porucznik zaklął siarczyście i powrócił do fotela, lecz tu służba zdążyła poczynić zmiany. Mianowicie drzwi boczne pozamykała, uprzątnęła kanapę, powynosiła sprzęty, zwinęła kobierce, i zamieniła wykwintny salonik na pustą komnatę, z której jedyne wyjście prowadziło do antykamery.

Stadnicki zrozumiał, że plan musiano ułożyć, aby mu gościnę obrzydzić, postanowił atoli do ostatka wytrwać. Rozsiadł się znów na fotelu, pociągnął muszkateli, objaśnił świecę, którą mu na stole postawiono, i tak zdrzemnął się.

Gdy, po upływie dłuższego czasu, imć pan Józef otworzył oczy, spostrzegł przed sobą zgiętą w pół postać szafarza.

— Co? czego? — mruknął zaspany Stadnicki.

—• Bo... bą właśnie pora na spoczynek.

— Niech pora! Tu mi cale dobrze tymczasem.

— Tylko. . . że posłania nie mamy.

— Nie trzeba — dam sobie rady !

Szafarz z zafrasowaną miną oddalił się. Porucznik pokrzepił się muszkatelą i znów wybrał się na nowy rekonesans — drabi stali, wciąż przy bramie wjazdowej.

Stadnickim pasya wstrząsnęła. Pilno mu było do domu wracać, z kapitanową Niewodowską się naradzić, a tu, oczywiście, w pułapce go trzymają i czają się jedno, aby go na ulicy chwycić i na odwach odstawić!

Szafarz znów wrócił.

— Proszę waszmości... przychodzę według rozkazu.

— .Powiedziałem.

— Rozumiem... ale tu będzie niewygodnie. O wóż kazałem się zakrzątnąć, i jest posłanie!

— Hm... to dobrze. Dawaj je tutaj!

— Jest, tylko trzeba waszmości pójść do kamieniczki obok.

Porucznik odgadł nowe sidła.

— Zostanę tu!

— Waszmóść daruje, to jeno przez zachowanie.

— Schowaj je dla kogo innego. Wina!

— Duchem będzie!

Stadnickiemu nie podobała się ta gotowość. — Szafarz oddalił się pośpiesznie i powrócił niebawem z pękatym a omszałym mocno gąsiorem. Porucznik

zmierzył okiem objętość gąsiora, ehlupnął wino, a poznawszy ciężar trunku, nachmurzył się.

— Maślarz, proszę waszmości, rzetelny. Konfederacki!

— Dawaj acan drugi kielich!! Zobaczymy!

Szafarz spełnił rozkaz.

Porucznik nalał dwa kielichy; większy podsunął szafarzowi i rozkazał oschle:

— Pij acan! Zdrowie imć kasztelanica dobrodzieja.

Szafarz się wzbraniał. Stadnicki natarł na niego, wreszcie mu zagroził przemocą. Szafarz uległ zwyciężony.

— W ręce acana! Tęgi trunek!

—■ Konfederacki! Nic, dawaj kielich!

— Prawdziwie, waszmość pan łaskaw...

—■ Zdrowie imć pana kasztelana dobrodzieja!

■— Nieboszczyk!

—■■ I cóż z tego? Supponujesz acan, że człeku w niebie zdrowia rzetelnego nie potrza?... Do dna!

— To się wie. Ba, jako żywo! Kasztelan dobrodziej ...

— No, a jejmość pani kasztelanowa?

— Zacna niewiasta... Tylko... bo trzeciego ani myślić!

— Trucizna?

•—■ Niby nie trucizna, a trucizna!

— He, he! Cheiałeś mnie, tego... niby ululać!

— A... a... gdzieżbym śmiał. •.. !

-— No, no, aby trochę... Co, hę?

— Waszmość uczciwy człek... no, trochę!

—■ Widzisz, urwisie stary! Pij!

—• Uf, gorąeość aż zdejmuje!

—■ Wilgotno na dworze. A tym drabom się kuezy!

—Drabom?

— No tym, wiesz, co to czekają.

Szafarz roześmiał się serdecznie.

—■ Acana na mnie nasadzili... W ręce! Także mnie nie życzysz?

— Najlepszego. Ale co ja, dalipan, to nic... . Służba! Powiadają: z oka go nie spuszczaj!... Tedy nie spuszczam — co mam robić ?...

—• A ten Iwończanin?

— Phi! Fines, proszę jegomości. Oczko w głowie ! Za masztalerza jest, a ezuj duch — on u nas wszystko! Ime´ kasztelanie, niema co, dobry pan, jeno gwałtownik. Okrutnie go dziś dojęło, gdym hajduków, tych tam w izbie służbowej, pokazał —• to aż zębami zgrzytał!

— Patrzaj — nic o tern nie wiedziałem! Pij-że, acan, pij!

•—■ *Piję*... Niesłychana konfuzja! Bo to nawet nikczemnego rodu! Iwończanin jednego znał. Szaraczyna-żołnierzyk, niepewnego klejnociku. Myślałem, że na waszeci się skrupi. Żebyś mu gościną nie zajechał, na postronkiby wziął... Hm! Ale i tak się jeszcze nie skończyło — ho,.ho!

—-Jak wam na imię?

— Mateusz.

—■ Panie Mateuszu — poczciwie mówicie, psia... Przypadliście mi...! Za wasze...!

—■ Kłaniam pięknie... bo to i samemu nijako... Póki człeka nie znasz, to ci się rarogiem wydaje, a gdy rozgryziesz...

— Jakże tedy z drabami, hę?

Szafarz mrugnął ociężale powiekami.

— Według tego jest właśnie przykaz.

— A gdyby drabom po kusztyczku?

Szafarz, mimo widocznego już podchmielenia, rzucił się na stołku.

—• Waszmość sobie dworujesz! Kasztelanie by mi nie darował! ,

—■ Także-to łacno na tarmoszenie chceeie mnie wydać ?

— Oo!... Tarmosić niema przykazu. Aby jeno do lamusa, co jest naprzeciwko pod dworkiem, zaciągnąć i do komendy zawiadomić.

— Bodajś skisł!

—■ Waćpan, co powiadasz?

—■ Nic, psia! Tylko, że kusztyczek drabów by ułagodził... boć szpetna rzecz dla szlachcica być wleczonym przez takich!

Szafarz przyznał raeyę panu Józefowi, lecz na częstowanie stróżów zgodzić się nie cheiał. Stadnicki atoli za wygranę nie dał i póty perswadował a przepijał, aż imć pan Mateusz nosem fyrknął i machnął ręką.

— Czyń waszeć, rób co chcesz, tylko mnie nie gub! Dwudziesty drugi rok na Święty Michał, jak kasztelański chleb jem...

—■ Widać, psia!

— Hę, powiadacie?

— Dobrze i ten. W wasze ręce!

Szafarz stuknął leniwie kielichem i zaczął mruczeć perorę. Stadnicki podniósł się i, nie zważając lia imć Mateusza, wyszedł do przedsionka i stąd na ganek. Tu rozejrzał się, a spostrzegłszy cienie drabów, zakrzyknął surowo:

— Hej sam! Wszyscy czterech! Żywo!

Drabi zawahali się, lecz gdy Stadnicki ponowił rozkaz, ruszyli potulnie do przedsionka. Porucznik powitał ich gęstą miną.

—■ Cóż wy, darmozjady! Gardło trza na was zrywać, hę?- Bliżej! Ty, jakże ci to na imię?

—- Andrzej.

— Patrzaj, przepomniałem. Za mną i ten drugi, Jan!

—■ Jan, prosśę waszmości, to ten trzeci.

— Mówię, psia, wyraźnie — Jan i Andrzej!

Dwóch drabów poszło za porucznikiem do komnatki. Tu Stadnicki przystanął i, jakby namyślając się, dodał:

— Andrzeju! Zawołajcie już i tamtych, żywo! Wychodu nie można długo bez stójki zostawiać.

Andrzej skoczył ku drzwiom, przekonany do reszty do rządów porucznika.

—■ Michał, Walenty! Duchem do jego wielmożności!

Drabi weszli i stanęli pod drzwiami. Szafarz kiwał się melancholijnie nad stołem w takt czkawki, która go nagle chwyciła. Stadnicki przechadzał się groźnie po komnatce i mruczał półgłosem:

—■ Opój, pijanica! Zawierz takiemu! Szafarz! Będziesz ty miał za swoje! Na cztery wiatry przepędzę ! *

Drabi, słysząc te wyrazy' sprawiedliwego oburzenia, wygłaszane w obliczu ich zwierzchnika, — spokornieli i zeskupieniem pochylili głowy.

Stadnicki przystanął raptownie przed drabami.

— Widzisz, jeden z drugim, tę nalaną pałę?!... Ma być porządek! Ime´ kasztelanie, jak komu poczciwemu przykazywał! Spił się, jak bela. Wiecie czem? Imć pan kapitan powiada mu: “Mateuszu, mają ludziska po nocy strażować, to im wydziel, przy dniu mego patrona, po kusztyczku”. Nicpoń! Wydzielił, juści, ale sobie! Was tam ziąb może oblatuje — co, może i nip?

— Akuratnie, proszę wielmożności — bąknęli drabi.

—- Mówiłem ! Nie, macie tu tymczasem. Podzielić się rzetelnie i na miejscu ! Walenty, nie gap się, jeno słuchaj. A co wam ten krzywdy uczynił, to wam imé kasztelanie nagrodzi. Już ja mu, psia, powiem.

— Pokornie dziękujemy.

— Czekajcie! Pamiętacie przykazanie?

— To się wie — nikogo nie puszczać, każdego chwycić i na postronki!

— Właśnie! Bo uważajcie ten... ten... siedzi precz ! Skrył się — więc czuj duch!

Drab, nazwany Janem, trącił w tern miejscu łokciem swego sąsiada, Andrzeja. Porucznik spostrzegł ten ruch.

— Jan, do pioruna, “carramba, seedebleu”, bo w gębę weźmiesz! Kto was tu rozpuścił na dziadowskie bicze!

— Wielmożny panie! — jąkał płaczliwie drab.

— Milczeć! Jutro się rozmówimy, a teraz marsz na miejsca! Walenty, a tamci stoją?

— Cały pałac obstawiony, nawet od ogrodu!

— Powiedzałeś nowinę! A może się pospali! Weź ze sobą Jędrka i obejdź mi wszystkich i zapowiedz, że ja sam przyjdę zobaczyć! Uszy poobrywani, jak którego na drzemce, na sapce bodaj pochwycę. Żywo na miejsca! Sprawcie się dobrze—■ poczęstunek was nie minie!

Pachołcy skłonili się uniżenie i wyszli. Stadnicki splunął z obrzydzeniem i do szafarza się zwrócił. A był czas po temu najwyższy, bo imć Mateusz pod wpływem gromkich pokrzykiwań porucznika, otrzeźwiał nieco i niemoc swą zaczynał opanowywać.

—■ Uważa waszmość... nie uchodzi... a nie uchodzi i

—• Stój-no, gdzie sypialnia kasztelanica ?

—• Sypialnia? Sypialnia jest tu, za alkierzem...

—■ Masz klucz od drzwi?

— Mam tu, za pasem. Wszystko mam, ale waszmości nie mogę... choć mnie żałość...

Porucznik, nie zwracając uwagi na sumitowanie się szafarza, wyciągnął mu z za pasa pęk kluczy i jął dobierać klucz do drzwi od alkierza. Szafarz podreptał za nim i swoje prawił:

— Na nic wszystko... Krwawi mi się... —- Waszmość rzetelny kompan... Niech mnie boleść przyjacielska!...

Stadnicki, który był właśnie klucz dobrał i drzwi otworzył, obrócił się raptownie ku nieprzejednanemu słudze, za kark go ujął prawą ręką, potrząsnął nim i, porwawszy w lewą rękę świecę ze stołu, ruszył do sypialni kasztelanica.

Szafarz, w żelaznym uchwycie garści porucznika, zdrętwiał z bólu i przerażenia. Stadnicki nie dał mu się opamiętać. Sypialni dopadł, świecę na stole ustawił i rzucił imé pana Mateusza na łoże kasztelaniea. Zaczem, niepomny na sajety, atłasy a puchy, czem się dało, prześcieradłem, sznurami od perskich zesłon, kołdrą wzorzystą omotał szafarza na bezkształtny tłumok, zasupłał i dopiero odetchnął pełną piersią.

Szafarz stęknął głucho.

■—- Cicho, bo nie lubię! Śpij z Bogiem! Obaczysz, jak ci kasztelanie będzie tutaj rad. A kłaniaj mu się i powiedz żeby Stadnickiemu szwoleżerstwem nie łyskał — bo nie lubię, psia!

_ Porucznik zabrał świecę i wrócił do opuszczonej'przed chwilą komnatki, zamknąwszy drzwi na

klucz za sobą.. Tu nacisnął czapę szafarza, którą był znalazł na stole, otulił się płaszczem w antykamerze i wolnym, miarowym krokiem wyszedł na ganek, a stąd wprost do furty przy bramie.

— Jędrek — zawołał surowo porucznik, nadchodząc ku cieniom drabów.

— Jestem, proszę waszmości.

— Wszyscy jesteście?

— Wszyscy!

— Wasze szczęście ! ... A tu, na prawo, który ostatni ?

— Kuba.

— Dobrze. Oka nie spuszczać! Wiecie, jak się. tamci dwaj wymknęli!

— Bogać nie! Toć Kubie ledwie, że ręki nie wyłamali!

— Prawda... Trzymać się, psia! Będzie eliciał ujść, to alarmować i bez pardonu łapać!

— Już on nie potrafi z nami!

Stadnicki zawinął się mocniej w płaszcz , wyszedł za furtę na ulicę, obejrzał się, postał i miarowym krakiem skręcił na lewo. Zaledwie jednak uszedł kilka kroków, gdy w głębi ulicy, zadudniał spóźniony pojazd i mignęło czerwone światło pochodni, trzymanej przez fosyria na koźle.

Porucznik postrzegł biały płaszcz i czapę szwoleżerską Iwończanina i wczas, przycupnął pod opłotkami pobliskiego dworku. Pojazd minął z impetem Stadnickiego. Porucznik odetchnął pełną piersią i za wrócił do mieszkanka swego na Marjensztadzie.

W drodzie, opanowały Stadnickiego kwaśne myśli a refleksje. Porucznik wspomniał na Niewodowską i splunął z obrzydzenia ku samemu sobie. Deklarował się z pomocą, niby zaprzysiągł — i dzień cały przemarnował, licho wie, kogo na siebie nie

obruszył, że teraz nogi za pas brać i z Warszawy uciekać, zanim go wypatrzeć nie zdołają!... A'kto temu winien ? Juści, na dobrą sprawę, nie kto inny, tylko gotartowszczyzna! Żyłby sobie spokojnie, jako inni — a tu, raz po raz, w chryję go wplączą, że potem ani weź! Choć i taki Babecki, szczery towarzysz i poczciwy Litwin, siedziałby może sobie oddawna razem z “żółtkiem” swojem u rodzicielów —■ wdał się z Gotartowskim, i ma! Gdzie mu do pułku wracać! Dezerterem musi ostawać i koniec! Tfy! A rzetelny z niego był wachmistrz — ho, ho! Lecz Załuski nie daruje! Kasztelańska mość, magnackie fumy, kapitańskie ambicje!...

Porucznik, zapędziwszy się w nówobudzącym się w nim rankorze ku Załuskiemu, ani się spostrzegł, gdy stanął przed kamieniczką na Marjensztadzie. Tu spojrzał ku oknom swego mieszkanka, a nie znalazłszy w nim światła, westchnął żałośnie.

— Ot tam, w jego komnatce, Dolores! A sen ma dobry, spokojności pełen i zaufania. Toż Stadnicki parol dał, na najświętsze się zaklął, oficerskim honorem się sumitował, niby sercem zagadał •— jak tu wątpić! No i wraca ci, “earramba”, zaprzysiężony rycerz, w gardle mu alikant jeszcze chodzi, w gębie obrzask, łapa naznaczona, odzież potarmoszona ■—• tfy! nie lubię i ten!...

Porucznik zaklął w, tern miejscu siarczyście i, krzesząc ognia, jął powoli na swoje pięterko się dźwigać. Stanąwszy nareszcie przed drzwiami mieszkanka, musnął bokobrody, poprawił czapkę, chustę na szyi obciągnął i zapukał zlekka. Cisza głęboka odpowiedziała na pukania. Porucznik odchrząknął, wyczekał chwilę, i zapukał po raz wtóry. Lecz i tym razem drzwi się nie otworzyły. Stadnicki ponowił pukanie i to coraz energiczniej.

—• Śpi, szelma! Pałkę zalał i na mur chrapnął! Wańka, otwieraj!

Porucznik szarpnął z gniewem za wystający skobelek, aż drzwi zadygotały w posadach, a z muru piasek się posypał.

— Otwieraj, do stu piorunów! Wańka, “sacrebleu”! — wołał ze wzrastającem zniecierpliwieniem porucznik, waląc już bez pardonu pięściami we drzwi.

Stadnicki łomotał bez wytchnienia, że wydawało się, jakby całą kamieniczkę chciał rozwalić. Aż naraz, na górnem pięterku, dał się słyszeć zgrzyt otwieranych zasuw — a w ślad za nim, wraz z błyskiem światełka, rozległ się wystraszony głos kobiecy :

•—■ Na miły Bóg — a tam, kto po nocy takie hałasy wyprawia?

’—■ Dobić się nie mogę!

—■ Imć pan Stadnicki?

—■ Imć pani Dobrska?

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— Zasnął mi szelma na mur!

— Zaraz... pozwól waćpan —tam zgoła niema nikogo!

— Hę! Co? — warknął basem porucznik, sunąc na pięterko do pani Dobrskiej.

Po długiej chwili, która się Stadnickiemu wiekiem zdała, drzwi otwarły się po raz drugi — światełko wpadło na schody i ukazało czepiec właścicielki kamieniczki.

— Powiadam, że niema żywego ducha! Już schodzę! Mam klucze, mam!... Siurpryza, co ? Lecz pewno dla waćpana większa, niż dla mnie!... Cale nie jestem dzisiejsza, aby mi zbrakło wyrozumienia dla kawalerskich fantazji- takiej jednak

konfuzji od waćpana mieć się nie spodziewałam! Jak ta kamieniczka kamieniczką, nic podobnego jeszcze tu nie było! Nic podobnego! Warta, drabanty jakieś, rewidowanie... Mnie, panie odpuść, wdowę po kapitanie siódmego regimentu, na rozpytki brać, o ukrywanie waćpana posądzać! Ho, lio ! Tego zanadto ! Wolej, niech mi wiatr hula po komieniczce, niżbym takich miała trzymać komorników... Na całą ulicę kompromitacja! Wstyd, oczu podnieść nie można ! Już otwarte ! Możesz się waćpan nacieszyć mieszkaniem! — Niema nikogo ! — Powiedziałam !...

Stadnicki, oszołomiony potokiem słów pani Dobrskiej, ledwie co z jej przemówienia pojął, cały pochłonięty rozpatrywaniem kątów swego opustoszałego mieszkanka i panującego w niem nieładu.

Porucznik chodził bezmyślnie z izdebki do izdebki, zaglądał do każdego zakamarka, jakby szukając potwierdzenia dla okrutnej prawdy, którą mu pani Dobrska zwiastowała. Ta ostatnia zauważyła roztargnienie porucznika, lecz zgoła po swojemu je pojęła.

— Pewnie —waćpana to wszystko nawet nie obchodzi! Waszmościeo!

Pani Dobrska w tern miejscu jęła łapkami trzeć oczęta, pociągać noskiem, aż przysiadła na skrzyni w rogu izdebki i chlipnęła z całego serca.

Stadnicki przystanął raptownie, jakby szlochaniem wdowy dopiero zbudzony i, zagadnął ostro :

— Gdzie ona? gdzie Wańka? “sacrebleu!”

Pani Dobrska porwała się z miejsca.

— A cóż to, przynajęłam się do niej może?

— Gadaj, waćpani!

— Gadaj, proszę ! To ci zamorska manjera !

Myślisz acan, że tu grubijaństw będę słuchała!.... Kwita z komornego i koniec!

Pani Dobrska w.tem miejscu zawróciła ku drzwiom, lecz porucznik drogę jej zastąpił.

— Muszę wiedzieć całą prawdę! — huknął Stadnicki takim ponurym basem, że wdowę aż dreszcz, przejął.

— Prawdę... prawdę waszmości!... O ja, nieszczęśliwa... aby mi nie czyń nie złego!

— Gdzie ona?

— A, ona... — jąkała pani Dobrska, ledwie tchu mogąc złapać. — Zabrała manatki i poszła!... Juści, miałam ją trzymać! Po rewizji...

— Co po rewizji?

— Nic. Aby ona do mnie, że niby ten... więc ja jej polityczne, że jej nie mam honoru znać,.. i poszła! Zebrała się, będzie ze dwie godziny, a może i lepiej!... A ten, niby Wańka, pomagał jej! Mówię do niego, a on tłumaczy, iż rozkaz ma niby razem... To i szczera prawda!

Porucznik na ławę przed stołem się osunął i głowę na ręku wsparł. Pani Dobrska uczuła, znów swoją przewagę.

— Sumienia waćpan nie masz, żeby za to wszystko, com wycierpiała, przystawać jeszcze do mnie! Poszła! Kiedy kąty opatrywali, to się jak liść trzęsła — a kiedy oficer zapowiedział, że prędzej czy później, a waćpana w tern gnieździe ucapić muszą— to odrazu tobołki zaczęła zbierać...

Porucznik odsapnął ciężko, podniósł się i, wyciągnąwszy z kufra jakąś szaraczkową kapotę, zaczął — bez uwagi na obecność pani Dobrskiej — przebierać się.

— Cale to niemiłe perypetje... lecz i dla mnie bolesne zgoła... Stało się!

•— Gdzie chustka? — mruknął groźnie porucznik.

— Chustka? Była dopiero co. A jest... tu jest. Ale bo waszmość niby zamyślasz gdzie jeszcze? Późno... dobrze po północy. .Jabym radziła zostać, wypocząć... tylko, aby nie tu! Zapowiedzieli, że wrócą! Bo to niby rzecz o jakiegoś adjutanta sztabowego. Komendant placu. nakazał waści, jak szpilki, szukać i sądowi oddać... Trza pomyśleć o schronieniu... Ja tam- mściwą nie jestem !

— Nie lubię... —• mruknął Stadnicki do siebie, porając się z węzłem chusty.

— I ja nie lubię rąnkoru chować! Tedy — mam schówko za alkierzykiem — dobre schówko. Całe mieszkanie mi kolbami spukali, a doń nie trafli. ..

Stadnicki nawet skinieniem głowy nie odpowiedział na propozycyę serdeczną pani Dobrskiej i zachowywał się tak, jakby jej zgoła nie było.

Wdowa, zrażona milczeniem porucznika, nibyto do odejścia się gotowała, a stroiła minkę nadąsaną— lecz mimo to z coraz większym niepokojem przyglądała się gorączkowej czynności Stadnickiego.

Porucznik istotnie nie ustawał w jakichś tajemniczych przygotowaniach. Więc, skończywszy się odziewać, zaczął skrzynie a sepeciki otwierać a zamykać, wyciągać z kątó& rozmaite rupiecie i przekładać je pośpiesznie, chować do puzderek a, przeglądać je i dzielić. Aż w końcu ze stosu różnorodnego swego dpbytku małe uskładał zawiniątko, rzemieniem je ściągnął, i namyśliwszy się, po żelazem nabijany sepecik sięgnął. Z tego znów najpierw zwitek papierów wyjął i w zanadrze schował, a potem zeń spory mieszek skórzany wydostał i w p'as,

poci, kamizelą, go sobie przytroczył. Tak się przysposobiwszy, czapę na ucho nacisnął, a zmierzywszy wzrokiem panią Dobrską, rzucił jej trzy dukaty na stół.

— Zamknąć izdebki! Strzedz! Wrócę, do stu par, to się policzymy!

— Co waszmość! Dokąd? Ja acana nie puszczę! Ani się spostrzeżesz, jak cię chwycą! Toż kryminał! Nie bierz-że do serca — co było, to było!

Stadnicki ani myślał sumittować się. Węzełek na ramię zarzucił, z za pieca zamorusany kostur dobył, wywinął nim młynka i ruszył ku drżwiom. Tu dopiero natknął się na załamane rączki pani Dobrskiej i jej błagalne spojrzenia.

—• Waćpan nie możesz odejść!

—• Obaczymy się kiedyindzie j! Wrócę!... Bywaj mi waćpani! Z drogi, bo nie lubię!

Pani Dobrska pobladła, w oczach jej łzy stanęły —. lecz Stadnicki już nie zważał, odsunął bez pardonu właścicielkę kamieniczki i krokiem pewnym jął schodzić z piąterka.

—■ Mości Stadnicki! Panie Józefie — zaklinam waszmości! Cóżem ci takiego złego wyrządziła? — skarżył się łzawy głosik pani Dobrskiej. :— Wróć, nie odchodź!

Porucznik był na ostatnim schodzie. Tknięty błagalnem zawołaniem, przystanął, podniósł głowę ku górze, zastanowił się — aż uderzył energicznie kijem i ruszył na ulicę, przez sień.

VIII.

Napoleon stanął nad Wartą.

Dźwignęły się pułki Księstwa Warszawskiego, zarzuciły ze chrzęstem broń na ramię, rozwinęły sztandary —■ i poszły.

Jękiem odpowiedziało koryto Wisły na ostatnie pożegnalne wiwaty, a Księstwo Warszawskie z nową gorączką jęło się pracy, byle wszystkim żądaniom i rozkazom cesarskim zadość uczynić, a może samemu tylko roztargnienie znaleść dla swej, goniącej za odeszłymi pułkami tęsknoty.

Lecz i na tych zespolonych, zlanych w jednem serdeeznem tchnieniu ziemiach Księstwa Warszawskiego były kresowe zaścianki, które choć niemniej ofiarne a gorące ■— trwały eałemi tygodniami w nieświadomości wypadków, a przeto nieraz zgoła sprzecznemi targane były uczuciami.

Takim może najgłuchszym zaściankiem był-kąt dawnego województwa trockiego — kąt, a raczej klin, wciskający się z jednej strony w owoczesne granice Prus, a z drugiej i trzeciej prący wprost na załom szaro-srebrzystego Niemna, idący, od Grodna pod Kowno, aż ku Tylży.

W owym kącie czy klinie, jeszcze pod Rajgrodem jakie takie panowało życie — lecz za Augustowem, za taflą Wigierskiego jeziora głusza trwała i martwota. Do stolicy departamentu było daleko, do stolicy Księstwa świat drogi —■ a na dobitek, na ziemi tej prastary panował nawyk, aby w ważniejszej sprawie ku Ostrej Bramie zawracać, a co do Grodna, do Kowna czy Upity, to za lada okazją jechać. Aż tu, jakby kto siekierą uciął — na ulubio-

nych traktach stanęły rogatki graniczne — prastare Kiejstutów© dziedzictwo nie miało dostępu do pnia Gedyminowego.

Mieszkańcy “kąta” nie narzekali coprawda, że ich do Korony wciągnięto, aleć zawsze -zamyślone rzucali spojrzenia na drugą stronę Niemna, który teraz rozdzielał ich od tego, z ozem od wiek wieków ich łączył.

W tej części łomżyńskiego departamentu takież same, jak i pod Warszawą dzielne biły serca — i tu trafiały odezwy, nakazy i dekrety, i tu niemało- naszyto mundurów, i stąd wybrano nielada rekruta, wysłano co się dało dobytku, grosiwa, żywności, koni i bydła — jeno, gdy, nakoniec, cała ta gorączka ofiar ustała, gdy wyludniły się chaty, dworki i dwory, pustka nastała tu okrutna, a głusza śmiertelna.

Markotno więc a cierpko czas płynął w tym kącie. Listy od żołnierzy nadchodziły rzadko, a i te pełne nieraz były sprzecznych wiadomości. O wojnie powiadano od kilku miesięcy, naglono do pośpiechu, gwałtowano, a wojny nie było, choć czerwiec całą mocą grzał, okwitał, ostatnie promienie wiosny siał. .. Co zaś największego nabawiało niepokoju mieszkańców zaaugustowskich powiatów departamentu łomżyńskiego, to stwierdzany licznemi zaklęciami słuch, że przeciwległy brzeg Niemna już stalą w słońcu łyska, a po nocy szemrze jakimś przytłumionym chrzęstem. . .

I potruchleli ludziska w zaaugustowskiej ziemi, a gdy pierwszy popłoch ich odbiegł, jęli pisania do departamentu słać, do Warszawy samej umyślnych wyprawiać, okuratnie dowodząc, jako tyle żołnierza wystawiwszy, pozbawieni są wszelkiej pomocy a obrony, i zgoła na łup są wydani. Po wyjeździe kurjerów a posłów rozmaitych — dopiero zagadali polity-

cy, a co skwapliwsi do publicznych spraw sądzenia. Trzy dni wyszło, aż z gadania tego piorun uderzył w Napoleona — zwalił go z piedestału i obrzucił gradem najcięższych wymówek, żalów, skarg, obieg bezmała.

Czoła pochmurniały, krzaczaste brwi ściągały się, na ustach gorzkie błąkały się uśmiechy.

—■ Ani chybi pakt zawrze! — mówili jedni.

—■ I do Hiszpanii naszych odeśle!... — dodawali drudzy.

— Boi farmazon! — wybuchali z pasyą trzeci.

Kotłowało się po miasteczkach i zaściankach, to znów cichło raptownie i milkło tak, że zdało się, iż ludzie tu zapominali nietylko o sprawach publicznych, ale i o ciężkim przednówku i o bogactwie wykłoszonych zbóż.

Tam jednak, gdzie w pobliżu dworek, chata czy mieszczańska kamieniczka miała pod swym dachem wąsala kalekę, gdzie na przyzbie zasiadał dawny żołnierz ciężkie blizny na słońcu grzać, gdzie postukiwały drewniane kule, a na szarym kubraku czy szlacheckiej bekieszy, krzyż błyszczał — tam nigdy nie cichł rozgwar, tam kupiono się, tam każdą nowinę zwiastowano najpierw, tam jej nadawano koloryt, tam komentowano ją i oceniano.

Lecz autorytet tych dworów, chat i kamieniczek malał, znikał, rozwiewał się. Coraz mniej słuchano, coraz więcej mówiono, a jeżeli wciąż ekszołnięrzy szukano, to raczej, aby w osobach .ich samemu Napoleonowi cierpkie słowo rzucić.

Weterani bronili się zażarcie, całym impetem stoczonych batalii uderzali w wątpiących, drwili ze strachów, rozpowiadali dziwy, jako Napoleonowi dość konia dosiąść, aby każda moc do nóg mu się pokłoniła, jako u niego w wojsku nie oficerowie, nie

jenerałowie, ale króle prawie wszyscy służą. A gdy tych argumentów nie starczyło, to zgrzytali zębami, a do bitki z niedowiarkami parli. Mimo wszystkie te zabiegi, mimo całą weteranów gorąeość —• nieukontentowanie i nieufność rosły, wzmagały się.

Wszystkie te jednak gorzkie rozprawy weteranów, razem wzięte, nie dorównały przejściom, na które był wystawiony równocześnie imć pan Andrzej Babecki, wachmistrz pułku szwoleżerów gwardyi, zażywający urlopu w domu rodziców w Wyłkowyszkach.

Dwa miesiące już minęło właśnie kiedy to pan Andrzej zarył konia przed gankiem piętrowego dworku i do nóg padł rodzicom. Uciecha była i radość, i łzy i śmiechy, a dziwowisko takie, że całe miasteczko runęło pod siedzibę imć pana naddzierżawcy dóbr rządowych, a niektóre rozciekawione żydzięta, to aż powpadały do pobliskiej Wyłkowyży z wielkiego tłoku i rwetesu.

Hej —dzień to był dla imć pana Andrzeja nielada! Ani pytaniom nastarezyć, ani uściskom odpowiedzieć, a ot, śmiać się bodaj, a płakać, a bodaj ryczeć w głos. Toż- już pod Kalwaryą, kiedy mu chłop na drodze czapką się pokłonił i bąknął po swojemu: “Tegułbus pagarbitus Jezus Chrystus!” — to pan Andrzej kiwnął się tak na siodle, że o mało nie zleciał z alteracyi, a co odpowiedzieć grzecznie: “Antamżu amżenuju Amen” — nie mógł, bo mu grdykę coś zatkało. Aż dopiero w Wyłkowyżkach! Co dworek, to znajomek, co chałupa, to swojak, co sklepik, toć sobie żydek pejsaty, chałaciasty, *też* nie cudzy. No, a dalej rodzina! Danieleszezuki, Łappy, Giejsztory, Sołłohuby, ciotka Anna, wuj Dobkiewiez, proboszcz Kociełł, burmistrz Je-

ziorkowski, pachołek Stałgajtys — ani zrachować.

Był to dzień. Konnych rozesłano na wszystkie strony — do Majoryszek, do Pustopadziów, do Dworkieli, do Kumiałboli, do Bazyliszek, do Zaroszenia — wszędzie, nawet i do Szełw i do Wokiszkieli, a choć kwasy były z Gałakauszami i Budzionami i do tych także. Zaczęło się walić dopiero bryk — kałamaszek, landar a nejtyczanek. A potem — zapusty nie zapusty, stypa nie stypa, wesele nie wesele.

W gościnnej komnacie, jak nabił. Imć pan Andrzej pośrodku, na poręczy krzesła zaparty, w wielkim mundurze, legia na piersiach, wąsy na dwa sznurki wykręcone — opowiadał. W komnacie, jakby makiem zasiał — czasem kto westchnie, czasem zaklnie, czasem chlipnie, albo-li odchrząknie, a czasem kielichem mocniej stuknie — a zresztą cisza. Powiadał imć pan Andrzej, ot, jak było, poprostu, co się należało, jako wyszli w siódmym roku, jako w Hiszpanii wojowoli, jako potem astryacką odprawili potrzebę i jak. znów za Pireneje wrócili i jako ter^z idą całym pułkiem na Poznań.

Nie był imć pan Andrzej ani kolorystą, ani mocnym w słowie — co widział, mówił, a niczemu nie dodawał ani wagi szczególniejszej, ani zajmować chciał zebranych powieściami, bo mu samemu do pytań było pilno. Ale gdzie!...

Okrutnie w WyłkoWyszkach lud był na słuchanie takie ciekawy. Co imć pan Andrzej wstanie, co tchu mu zbraknie, albo i w gardle obsclinie, to mu ledwie powietrza chwycić pozwolą. Kubek mu podsuną i jeszcze proszą.

Panu Andrzejowi aż pot cieknie. Już sam nie wie, coby więcej... Napróżno! — Mów jeszcze o

Wagramie! — podpowie ktoś z boku. A gromada jena przytwierdzi i napomni: — akuratnie od początku ! — Niema rady! Imć pan Andrzej mówi dalej. Mówi... A rodzic chodzi między gośćmi, nosem w kraciastą chustkę trąbi, a co spojrzy na syna, to mu policzki na banię wystrychają. Puszy się imć pan naddzierżawca — jak się nie puszyć? Pani BabeCka zaś uwija się wokół, do kuchni zabiega, a upatrzy sposobność, to do syna się przysunie, chociaż ręką go muśnie po mundurze, a szepnie: “Jędrulek!” Toć nawet Filipinka, siosterka, co to u niej i przycinka nie kupić i piołunu nie szukać, a przylgnęła do brata, a wzdycha — osobliwie, kiedy pod Sonio - Sierrą tylu kawalerów legło! I pewno, - że co poczciwszych.

I powiadał tak imć pan Andrzej, aż do późnej nocy. I nazajutrz już na południe najstarszy z Danielszczuków, co to i Dubienkę znał i Pułaskiego pamiętał, na snop .siana w wasągu Jrazał się wsadzić i ohoć od lat dziesiątka z domu się nie ruszał, a. przyjechał i znów kazał powiadać .sobie. Z tym było cięej, żbo stary miał swoje patrzenie na wojskową sztukę, bo sam przecież kapralował w artyleryi litewskiej, gdzie Sapieha mu kapitanił, a Widmont porucznniczył — ale, po .trochu i Danieleszczuk się rozgrzał i o racyach dawnych przepomniał i jeno tabakierką dygotał, a ustami bezzębnemi kłapał.

Tak dzień następny zeszedł — i trzeci i czwarty, aż nadeszła niedziela. Imć pan Andrzej w pier-' wszej ławce między rodzicem a burmistrzem Jeziorkowskim^-zasiądł. Ludu zebrało się, jak nabił.—-Sołłohuby do mszy służyliy-organista bił w organy, że dudy ledwie .starczyły ,a chłopak przy kalikowaniu ledwo zipał.

Ba, bo proboszczowi czegoś pilno było do sumy,

do ambony. Dopieroż, kiedy po schodkach .się wdrapał, przeżegnał się, a uciął gromko: “Jan Kazimierz Pac, starosta preński, ten kościół ku czci Najświętszej Panienki pobudował” — a dalej jednym zakrętem dawne dzieje,, dawne cnoty do obecnych czasów nawiązawszy, wywiódł, jako w prawnukach widzi ornych cnót powstanie — dopieroż, jak imć pan Andrzej nie obejrzy się, a nie postrzeże, iż kto żyw, ten na niego poglądą, tak mu jeno kolana poderwało, że runął w ławce z brzękiem ostróg, z pałasza dzwonieniem, i z przerażeniem we własne sumienie zerknął — i zdrętwiał.

Proboszcz tymczasem tak kazanie rozwinął, że w kościele, jakby kto Bogarodzicę furkotem ułańskich chorągiewek wyśpiewywał, aż nareszcie trzy Zdrowaś za Napoleona odmówić kazał, potem drugie trzy za tych, co polegli i ostatnie trzy za tych, ęo chlubą się okryli, a do dom, z tęsknieniem oczekiwani, zawitali.

I zagrały znów organy i na chórze mocny głos się ozwał i rozszemrał się znów kościół wzmocnioną modlitwą ludu. A imć pan Andrzej w sumienie własne zerkał i z alteracyi wielkiej nawet w piersi .się uderzyć nie śmiał. Okrutne też tam rzeczy dojrzał.

Ot — u rodziców witają go niby baranka, niby żołnierza bez plamki, a wachmistrza szwoleżerskięgo, co to i krzyż dźwiga i prochu się nawąchał, i dwie blizny przywiózł i samemu cesarzowi się napatrzył i z marszałkami rozmawiał, a teraz jeno patrzeć, a znów ruszy za poczciwym obowiązkiem, za pułkiem — a on, ani wie, czy już audytor listów gończych nie rozpisał i Babeckiego za dezertera nie ogłosił. Ha, i tak, albo jest ■— albo, jeno patrzeć będzie... Kapitanowi z tego samego regimentu burdę wyprawił, przeciw niemu sekundował, nie wie-

dzieć czego się nagadał całemu sztabowi, a najgorzej, że się zaparł samego siebie, zaparł się całego pułku i tego munduru, i nawet rajtuzów. I teraz co? Radzimińskiemu w Warszawie .się nie zameldował, porucznika Gotartowskiego porzucił cichaczem, tobołki swoje zabrawszy; urlopu nie ma, do pułku wracać ani myśli i ot — niech się rozniesie, to nogi zabieraj, a najdroższym oczu nie pokazuj. Tu mówią “Jędrulku”, a tu dusza ¿czerniała, że ani na obraz Panienki spojrzeć, bo chyba się odwróci... Takaż rodzicielom pociecha przyjechała!

Po tern nabożeństwie imć pan Andrzej sposępniał. Nadrabiał jeszcze miną, ale już nie miał tego impetu, ani pewności, co przedtem. Wprawdzie, gdy go ktoś dobrze, za język pociągnął, to zapominał o sumieniu i prawił — jeno już o sobie słówkiem nie wspominał, a przyciśnięty do muru, lada co bąknął.

Postrzegł imć pan dzierżawca zmianę humoru syna, odczuła ją i pani matka, ale pan Andrzej na zmęczenie spędził i bardziej się zachmurzanej twarzy strzegł.

Czas w WyłkoWyszkach płynął wachmistrzowi szybko— co dnia w gościnę w inną jechał stronę—■ co dnia ktoś zajrzał szwoleżerowi się napatrzeć, a posłuchać — co dnia było i święto i/sejmik, i jeszcze coś do pytania, i jeszcze do powiedzenia.

Tak nadszedł koniec maja. Pan Andrzej ledwie radę z samym sobą dawał, a coraz niespokojniej na burmistrza spoglądał, iżali z “Dziennika Departamentowego ” nie wyczyta mu hańby. Położenie stawało się nieznośnemu Na przyjezdnem zapowiedział, iż na krótko się tylko wyrwał z pułku i że lada dzień wracać będzie rnusiał. Pani matka, aż serdecznego płaczu dostała na to oświadczenie. Potem ta-

koż krewniakom a znajomym powtarzał. W domu przy lada okazyi, nie kryli przerażenia, ilekroć wspomniał bodaj o wyjeździe —■ a naprawdę, ani miał dokąd jechać, ani wiedział, co począć, boć w Wyłkowyszkach zostawać nie mógł. Nadomiar właśnie były słuchy o bonapartowej armii się rozeszły i zaręczenia, że idzie. Z tego takie nastąpiło rozognienie, iż imć pan nadzierżawca syna do kancelaryi wezwał i, uściskawszy go, zapytał niespodziewanie :

— Kiedy aean zamyślasz do pułku?

Pana Andrzeja mało nie zwaliło z nóg — ale z rodzicielskiego wzruszenia skorzystać zdążył i wykręcił się.

Fo tych wieściach .nastąpiły dalsze, aż w ostatku przyszła gorycz i uderzyła z całej mocy w pana Andrzeja. Atak zaczął stary Danieleszczuk — za nim poszli inni .— a cios ostateczny zadał ksiądz proboszcz. Oto przyszedł niespodziewanie na podwieczorek, kiedy pan Andrzej w najlepsze bronił cesarza. Rozgwar był tak wielki, że mało kto spostrzegł wzburzenie, rysujące się wyraźnie na pogodnej twarzy księdza. Dopiero wtedy proboszcz przerwał ruchem ręki, gotującemu się do opozycyi Giejsztorbwi, zebrani zdumieli się.

— Pozwól dobrodzieju, tylko skończę! — upierał się Giejsztor przy swej kolei »głosu, lecz ksiądz palcem skinął na pana Andrzeja i zawołał ostro:

— Ja mu powiem!

Zaczem wyprostował się, oczy przymrużył i zapytał surowo:

— Komu acan służysz?

— De przecie., księże do...

— Odpowiadaj — komu?!

— Nam wszystkim!... i owszem!

— Nie kręć! Djabłem nie wierć, bo nie wywiercisz się od prawdy! — groził proboszcz ze wzrastającem oburzeniem. — Mów! Jakiemu to jenerałowi, jakiemu mocarzowi, jakiemu władcy?

— Cesarzowi Napoleonowi!

Proboszcz potrząsnął głową i wyciągnął z rękawa sutanny papier i podając go wachmistrzowi, rozkazał:

— Masz — czytaj! Dowiesz .się!

— De, dobrodzieju...

— Służysz wyklętemu przez Stolicę Apostolską! A póki służysz, póty pod klątwą jesteś!

Na te .słowa — nawet ci, co dla Bonapartego największy żywili zapał, stracili cały rezon. Proboszcz Kociełł stał ze skrzyżowanemu rękoma na piersiach i rzecz dalej prowadził po małym przestanku :

— Wyklętemu służysz! Zerwij te łachmany i kajaj się! Bogu dziękuj, żeś .się aean w porę dowiedział !

Ciotka Anna, aż jęknęła w kącie. Pani Babecka rękami strzepnęła i zakrzyknęła:

— Chyba niepodobna!

— Tak jest! Kanonik ze Stałupianprzysłał mi bullę papieską do ogłoszenia w kościele!

— Niemiec! — szepnął ktoś w kącie.

— Kanonik!’— poprawił surowo proboszcz. — Kto był nieświadom anatemy, temu wybaczonem będzie; lecz od dziś ani się waż bodaj imienia przeklętego wspominać!

Pan Andrzej, choć mocno poruszony ,nie dał się zbić z tropu.

— Dobrodzieju — de gdzie!... Już dwa lata będzie, jak nam w Schoenbrunnie powiadali o przekleństwie. ...

— Tedy acan wiedziałeś... wiesz? — badał gorączkowo proboszcz.

— Ha — cóż piani łgać! Powiadali... ale, że to niby,'aby tak sobie papież się na cesarza rozgniewał...

Proboszcz zatrząsł się ze zgrozy.

— Takie farmazońśtwa heretyckie przywozisz acan do poczciwego domu! Takie nauki chcesz prawić ! ' ; .

— Dobrodziejaszku! — użaliła się pani Babeczka...

— Słyszysz, mości Franciszku, synala ?!

Imć pan naddzierżawca wyłkowyski na to wezwanie, głowę zwiesił i bąknął pojednawczo:

— Znów tak z góry nie uchodzi! Trzeba rozejrzeć !

Proboszcz poczerwieniał raptownie..

— Kiedy taki obyczaj pod dachem tym panuje, tedy kłaniam uniżenie!

Pani Babećka porwała się zatrzymywać księdza, lecz ten ani zważał na zaklęcia i wyszedł.

Po oddaleniu się proboszcza, zebrani spojrzeli po sobie — ten i ów bąknął coś — tamten niby coś wspomniał o urodzajach, a każdy jeno skradał się ku drzwiom.

I od tej chwili cisza głęboka zapanowała pod dachem imć pana naddzierżawcy. Z gości ani kto zajrzał — nawet burmistrz na swój kusztyczek nie przychodził. Posmutniała pani Babecka, spochmurniał pan Franciszek, a ciotka Anna, aż po kątach popłakiwała.

Wachmistrz chodził, jak struty; panna Filipina siedziała nad krosnami i z pasyą wyszywała jedwabiem jakieś floresy.

Pan Andrzej' w tej atmosferze kwaśniał, a jeno z myślami się bił. Rodzice wprawdzie żadnych

mu nie czynili wyrzutów, żadnych uwag, lecz równocześnie żadnych, nie eheieli słuchać wyjaśnień. A nadomiar pan Andrzej ani widział dla siebie punktu wyjścia. Bo, 'gdyby pogłoski o zupełnem wstrzymaniu kroków wojennych miały się sprawdzić — w takim razie, wcześniej, czy później, list gończy do Wyłkowyszek dojdzie i do całego zajścia przyda mu miano dezertera; gdyby zaś wojna wybuchła, a bodaj, że od pościgu go uwolniła, to znów zostawać nie może u rodziców 'bez narażenia się na domysły. Wprawdzie mógł, nadrabiać miną, i powiedzieć, że akodomował się do przestróg proboszcza. i służby cesarskiej się wyrzekł —.ale i tu było niebezpieczeństwo nielada, bo nuż po wojnie rozniesie się ,co i jak było, nuż prawda na wierzch wyjdzie! A zresztą wachmistrz nie potrafiłby! Cesarza się zaprzeć, ten granatowy mundur zdjąć i gdzie na kancelistę wyjść, czy rodzicielowi zgoła zaciężyć i zostawać, kiedy, kto żyw, wojskowo służy? Nigdy!

Tak dzień za dniem schodził, tak dzień za dniem pan Andrzej czuł, że dawniej miał dwa ogniska serdeczne, dwa przytulenia — pułk i dom ojcowski, a teraz do pierwszego wracać nie śmiał, drugi porzucić rnusiał.

Wieść o wedetach ułańskich nad Niemnem do desperacyi doprowadziła wachmistrza i do stanowczego skłoniła kroku. Pan Andrzej postanowił ruszyć ku pruskiej granicy, w drodze zrzucić uniform i w pierwszym natraf i onym regimencie do zaciągu się podać, i bodaj od szeregowca służbę rozpocząć, a rehabilitować w cichości przestępstwo.

Wachmistrz natychmiast poczynił przygotowania do wyruszenia w drogę. Siwą kobyłę sam podkuł, okulbaczenie do ładu doprowadził, zmarudził

jeszcze dni kilka, aż kiedy czerwiec dobrze przypiekł — padł do nóg rodzicom i *jął* się żegnać.

Gorzkie było pożegnanie. Bo z krewnych a znajomych nikt się jiie pokazał, nikt słowa dobrego nie rżekł, co panią, Babecką tak dojęło, że w ostatniej chwili zaczęła nalegać na syna, aby został, kiedy już ten Napoljon tak wielkim jest odmieńcem. Lecz ^u niespodzianie imć pan Franciszek “veto” postawił, żonę ofuknął, a ściskając głowę syna, szepnął mu tylko:

— Tak trzeba! Niech bisurman — byle nie opuścił! Niech my obaj w piekle z nim — a niech . przecież!... Byle nie paktował, byle już szedł!

*

IX.

Z eiężkiem sercem wyciągnął pan Andrzej na trąkt gąbiński ku Pojeziorom. Nie takiego spodziewał się pobytu u rodzicielów, nie takiego rozstania. Juźci nie martwiły go wcale te bałamuctwa, rozsiewane o cesarzu, ani wyziębienie sentymentów napoleońskich, ani westchnienia ojca, ani przesądne obawy matki, ani bulla, odczytana w kościółku przez księdza proboszcza, ani całe wrzenie z tego powodu; jeno doskwierało, iż, jak żak, rnusiał kryć się z myślami, iż okłamał rodzonych, że czapą szwoleżerską imponował, kiedy już może nosić jej nie ma prawa, kiedy już tam, i szewrony.zeń zdarto, a, czego Boże broń, krzyża pozbawiono. Et, żeby nie, ta zmora, umiałby on im tam do oczu skoczyć a murem stanąć ! Cóż, nie stawało czystego spojrzenia — bo nużby kto wypatrzył w niem, że uciekinierem jest, maruderem! Dola!

I odwrócił się pan Andrzej ku Wyłkowyszkom, powiódł wzrokiem po gromadce bezładnie skupio-

nych domów i domków — stęknął ciężko i ostrogami konia zdzielił. Kobyła aż parsknęła i w bok skoczyła, lecz szarpnięta za cugle, łeb wyciągnęła, chrapy rozwarła i śzarżoWym galopem ruszyła.

Wachmistrzowi czegoś na sercu zelżało. Splunął, zaklął na Wialnisa, całą piersią chwycił bijąeego z pól wiewu i pochylił się na kulbace.

Dwie mile od Wierzbołowa ujechał wachmistrz jednym tchem, aż konia spienił i sam, że był nieco odwykł od siodła, tęgo się zmordował. Ale za to czegoś śmielej poglądał i zgrabniej przyszłość sobie układał... Marudzić nie było czego. Przepadło szwoleżerstwo i koniec. Na zmierzch do' Stołupian trafić, u żydków kurtę jaką i hajdawery kupić — a potem za miasto, nad staw, przebrać się, a co szwoleżerskiego do wody... Ot, i nie będzie wachmistrza! Ciężko! Ha — wolej z własnej ochoty, niż z audytorskiego rozkazu. No, a niech się pułk trafi, a niech ułani, niech dragoni bodaj — to chłopa sprawnego, a znającego służbę wezmą i wtedy jego rzecz do stopnia powrócić. Nijako od początku zaczynać, kiedy już się własny pluton miało, — tęgi pluton — ale trza! Byle już w szwadron się wcisnąć, nie najdą — a tam, kochanieńki, popatrzysz! I tam sianem się wykręcasz — a Stadnicki, biedaczek, za wszystkich odpowiada. Ot! żal! Wstyd towarzysza samego zostawić —- podłość! '

Tak rozumując, a krzepiąc się, docłapał się pan Andrzej do rogatek granicznych pruskich, pod Stołupianami, obmyśliwszy sobie, że, gdyby go badać chcieli, uda kuryera, a gdyby nie powierzyli, to płatnie najbliższego strażnika, i umknie w pole na przełaj.- Na rogatce atoli nie tylko nie ważono się doń ust otworzyć, ale na widok buńczucznego szwoleże-

ra, powitano go ukłonem i rogatkę, bez namysłu podniesiono.

W Stołupianaeh wachmistrz zajechał do ustronnego zajazdu na Gąbińskiej ulicy i tam, zająwszy zaciszną komnatkę, a konia opatrzywszy, żydka go-, spodarza wezwał i kazał sobie kupca przywołać, coby mu dostatnie ubranie mieszczańskie odprzedał. Żydek gracko się spisał, tak, że tego samego dnia jeszcze miał pan Andrzej wszystko, co mu było trzeba, ba, nawet i czapkę, i potrzeby na konia, dla zastąpienia pułkowych, i buty i kapotę zwierzchnią.

Ledwie pierwsze mroki nocy padły, wachmistrz porwał się na równe nogi, i z desperackim pośpiechem się odział, żydka zbudził, zapłacił, co się należało, i do konia z tobołkami wybiegłszy, lada jako go okulbaczył, i przepytawszy się niby o drogę do Pilkalni, ruszył kłusem przez miasteczko, a dalej ku Gąbinowi skręcił.

Poza Stołnpianami droga rozpostarła się w równy, a tęgo moszczony gościniec, rwący wprost ku dali, poprzez wielkie płaszczyzny” pól.

Wachmistrz rozejrzał się, a dostrzegłszy o kilkanaście staj przed sobą jakiś wał graniczny, mocną porosły krzewiną — ku niemu począł zmierzać, rozumiejąc, że tam w sam raz znajdzie gotowalnię. W miarę atoli, gdy krza coraz wyraźniej rysowały się a przybliżały —■ wachmistrz zmienił kłusa na truchta, z truchta przeszedł w carszowego stępa, aż wreszcie, ledwie że kobyle nogi wlec pozwolił.

Kobyła stanęła, przed krzakami i wykręciła łeb ku wachmistrzowi, jakby pytając o rozkazy.

Pan Andrzej zapatrzył się smutnie przed siebie, a postrzegłszy niedaleko nad drogą olszynę, zmienił raptem zamiar i ruszył ku olszynie. Boć w olszynie zaciszniej, no i choć trochę, a dalej jeszcze.

Tuż przed olszyną, dogodniejszym się wydał wachmistrzowi zagajnik, znów o ćwierć mili dalej nad gościńcem położony. Lecz kiedy i zagajnik się przybliżył, a pan Andrzej jeszcze chcąc gorzką chwilę odwlec, poglądał, iżali gdzie jakiego gąszczu nie widać; hen na trakcie dojrzał ciemny, a kurzawą i mgłą spowity punkt.... Najoczywiściej ktoś jechał. Wyboru nie było, bo i słońce już swe pierwsze promienie rozesłało na skraju nieba i pięło się po nich ku górze.

Pan Andrzej szarpnął z desperaeyą za cugle i w zagajnik wjechał. Tu zatrzymał konia na polance, w pobliżu drogi, zsiadł z niego i uwiązał do drzewa. Poczem ściągnął z siodła mantelzaki, rzucił na ziemię z pasyą i spojrzał po sobie.

Szkoda mu było tego granatu z amarantem, szkoda! Gdyby mu tak powiedzieli, kiedy do rodzicielów się wypraszał, co woli: w mundurze zostać, czy na wytchnienie iść do domu — et, toby długo nie wybierał! Gdzie taki mundur drugi!

Im więcej pan Andrzej rozpatrywał swoje wachmistrzowskie potrzeby, tern bardziej całemu rynsztunkowi się przyglądał, tern go większa zdejmowała żałość, tern większy smutek, że porzucić musi to wszystko. Ha — toż każda rysa na klamerce, a sprzączce metalowej, mówiła coś do niego, miała swoją historyę, swoje wspomnienia. Każdy skrawek rzemienia, tylekroć był przez niego pieszczony. A. pałasz, jak urodzoy do ręki wachmistrza, a pistolety, co je miał po zabitym Sokołowskim, a czaprak,, po oficersku, za własny grosz, piękną materyą karmazynową podszyty...

Kobyła uwiązana u drzewiny, zarżała ochoczo.

Wachmistrz otrząsnął się.

— Zaehciąłaś! Pilno ci! Stój! I ty dymisyę weźmiesz !

Koń musnął pana Andrzeja łbem po ramieniu i mundsztukiem zgrzytnął.

— Nu de, żegnaj się z mundurem! Żegnaj! Tfy! Spencerek, nie spencerek! Szaraezek! Cha, raz koniec !

Pan Andrzej nie namyślał się. dłużej i, jak szalony, dopadł mantelzaków i z wściekłą zajadłością rozerwał sznury i z pachty zaczął wytrząsać zakupione w Stołupianach rzeczy.

Naraz tuż koło niego rozległo się donośne zawołanie :

— W imię Ojca i Syna! Wachmistrz Babecki!

Pan Andrzej podniósł oczy i o mało trupem nie padł z przerażenia — o trzy kroki przed sobą zobaczył dwóch szwoleżerów, którzy nań wprost najeżdżali .

— Jezu! Toż wachmistrz chyba z nieba! — dziwił się drugi głos.

— Śmiercibym się prędzej spodziewał, niż was na rekonesansie zobaczyć!

— Hej! No jakże, mości wachmistrzu, nie poznajesz? Wysocki Tomek!

— I Kulig, proszę jegomości.

— De... de skąd wy? Co wy? — bełkotał nawpół przytomny pan Andrzej.

— Idziemy w szpicy z Fiutkiem! Z Królewca nas o północku poderwali! Za nami Wąsowicz z półkompanią.

— Fiu... Fiute... Fiutek ?

— Fiutowski, panie wachmistrzu — porucznikiem został!

— Pułk pod Toruniem zostawiliśmy!

Wachmistrzowi oczy wyszły na wierzch. Dwakroć poruszył wargami, lecz głosu nie mógł dobyć. Szwoleżerowie tymczasem pozsiadali z koni, i, uwiązawszy je, a lance za strzemiona założywszy, jęli witać wachmistrza, a ręce mu ściskać.

—- Ot, i szczęście prawdziwe, panie wachmistrzu !

— Może, godziny niema, jak wspominaliśmy!

— A wy tu co, panie wachmistrzu?

—■ Nic — zagajnik sobie!

— Wypoczywaliście? W drodze z urlopu? do pułku ?...

—■ A pułk tymczasem do pana wachmistrza! Tomek, sięgnij tam w moje olstra! Przepić trzeba! Fiutek ino patrzeć, jak nas dopadnie!

— Fiu... Fiutek! — powtórzył machinalnie wachmistrz.

—- W wasze ręce, panie wachmistrzu! Ba, ba, porucznikiem został.

— Fiuuu.. .tek?!

— A właśnie! Siła nominaeyi było ze dwa tygodnie temu. Kujawski, Markiewicz, Osiński, Smólski, wszystko oficerzy! Kiełkiewicz i. Gotardowski Marceli poszli na poruczników pierwszej klasy.

. — Patrzajcie, Gotardowski!

— Ba, panie wachmistrzu! W pierwszym szwadronie powiadali rozmaicie. Kozietulski naparł się i o Gotartowskim samemu cesarzowi się przymówił! Chodziły słuchy, że go mają z gwardyi do ułanów pospolitych przenieść — a tu nominacya! Załuskiemu kapitanowi mina się wyciągnęła. Nie lubili się z porucznikiem.

—■ Ale pan wachmistrz nie wie, że nas do Jerzmanowskiego przenieśli! Jesteśmy trzecim szwa-

dronem, trzecią kompanią. Wąsowicz nam porucznikuje, Jankowski kapitani.

— De poczekajcie! — zagadnął nieśmiało wachmistrz. — A cóż ja... niby, co mnie?

— Bielicki zastępuje pana wachmistrza i ża skórę nam zachodzi.

— Hm, hm, Bielicki.. . A Fiutowszczyk?

— Chodzi luzem przy naszej kompanii bez miejsca i rekonesansu je z nami.

. — Rekonesansu je? To wy tu, cóż?. ..

—• Rekonesans, mości wachmistrzu! Języki zbieramy! Na przełaj mamy walić pod Niemen! Jerzmanowski nam po piętach depcze — a za. nim, tuż, ćma, mrowie, czterdzieści tysięcy gwardyi! Co gwardya.! Cesarz już pewnie w Inst.erburgu!

Pan Andrzej aż przykucnął, ku rozrzuconym tobołkom swoim zerknął i pobladł. Już teraz ani wątpić mógł, że pułk tędy będzie przeciągał i że wraz z pułkiem grom runie z nieba w poczciwe imię . Babeckich i sromem je okryje.

—- Kulig! Wyjrzyj-no na trakt, b o jak nas Bielas na popasie chwyci, to nam bobu zada!

Kulig wskoczył na siodło i z zagajnika się wysunął. Wysocki chował pośpiesznie resztki posiłku i konia opatrywał, a do Babeckiego zagadywał:

— Pan wachmistrz się nie spodział. No, kiedy wola, możeby pan wachmistrz uaiui ? Czas w drogę — co?. ..

Panu Andrzejowi przyszło do głowy, że na gwałt się musi pozbyć kompanii.

— Nie, kochanieńki! Wy sobie — a ja taki muszę! Bo tu jeszcze pod Gąbinem... stryjaszek! Choć zajechać na dzionek, a taki trzeba!...

— Szkoda, panie wachmistrzu. Uciecha byłaby nielada!

— Nie bój się — będzie jutro.

Wysocki uścisnął rękę Babeckiemu i z żalem jął się zbierać do wyciągnięcia.z zagajnika na drogę, gdy naraz, od traktu, nadjechał galopem Kulig.

— Wąsowicz nadjeżdża! Hej, panie wachmistrzu ! Do porucznika!

—■ Co *1* j-akto ? gdzie ?!

— Postrzegli mnie zdała. Fiutowski na mnie, że bałamucimy, bo to niby za brygadyera mnie wysłał. Sumituję się, jako pana wichmistrza znaleźliśmy. Ucieszył się okrutnie..

— Fiutek... — szepnął ze wzruszeniem pan Andrzej.

—• No i do Wąsowicza! Rozkaz! Rwą tuż za mną, bo od szefa Jerzmanowskiego ordynans dogonił nas i gwałtować kazał.

Wachmistrz poczerwieniał i chciał coś rzec, lecz mu nie stało tchu. W uszach dźwięczało mu słowo “rozkaz”, dźwięczało coraz silniej, pełniej, aż dźwignęło pana Andrzeja z miejsca.

— Rozkaz!... — odrzekł żałośnie pan Andrzej i z rozpaczliwym pośpiechem dopadł kobyły, wskoczył na nią z ziemi i z zagajnika za szwoleżerami wyciągnął.

— Tu kłąb kurzu i łopot galopującego plutonu spadł na^wacImimwWa^i_całym impetem pułkowego-życia owionął.

—Stój! — huknął ostry głos.

Pluton osadził konie.

—Gdzie tu wachmistrz? gdzie Babecki?! — wołał ten sam głos.

Pan Andrzej targnął cuglami i ręką do czapy podniósł.

— Według rozkazu, panie poruczniku!

— Tuś mi acan! Wracasz z urlopu ?!. ... Gdzie ? skąd ?

— Z Wyłkowyszek, od rodzicielów, panie poruczniku !

— Wybornie! Znasz te okolice? Znasz? Czekaj-110! Aha! Stołupiany, Wierzbołów, Wyłkowyszki, Pilwiszki, Skrawdzie, Nogaryszki?!

— Toż moje rodzone, panie poruczniku!

— Doskonale!. Tego nam trzeba'było. Kolego Fiutowski, weź ze sobą wachmistrza i pędź na Gąbin i z powrotem na spotkanie szefa Jerzmanowskiego. Lepszego przewodnika chyba nie Znajdziemy. Naprzód! W Stołupianach czekam dalszych rozkazów.

Wachmistrz nie zdołał jeszcze ochłonąć z wrażenia, jakiem go przejęły niespodziewane zapytania, gdy tuż nad uchem posłyszał dobrze mu znany dyszkaneik Fiutka:

— Za mną! Wypuszczaj cugle!

Wachmistrzowi na razie nie zdało się, aby ten głos mógł mu rozkazywać, lecz kiedy tuż przed oczyma błysnęły mu srebrne szlufy, a kita oficerska mignęła przed oczyma — spiął kobyłę ostrogami i ruszył galopem za młodszym porucznikiem.

Tu dopiero pan Andrzej miał czas ogarnąć grozę swego położenia. Był w pułku i był na służbie!... Rozkaz odebrał wyraźny. Ani myśli o wykrętach! Na przewodnika go biorą! Za godzinę będzie znów w szwadronie! Szwadron idzie oddzielnie — audytora niema — sztabu także! . Ale co potem? Co będzie, gdy nadciągnie pułk z grosmajorami i jenerałem? Degradacya, wstyd — a może gorzej! —• Strach — strach pomyśleć! Załuski nie. daruje! Osądzą! Niechby tam sobie — ale ot, pod bokiem Wyłkowyszki! A w Wyłkowyszkach i rodziciele,

i ciotka Anna, i Filipinka, i Danieleszczuki, i Giejsztory — okropność, kogo tu niema!

Jak burza spadł porucznik z wachmistrzem na rynek gąbiński, kędy, zatknięta nad gospodą, lanca znaczyła chwilowy postój szwadronu Jerzmanowskiego.

Fiutowski zeskoczył z konia i rzucił cugle najbliższemu z żołnierzy, którzy formowali się byli właśnie pod gospodą. Babecki poszedł za przykładem porucznika.

— Gdzie szef? — zagadnął Fiutowski, stojącego pod gospodą, ordynansa.

— W izbie, na lewo.

Fiutowski obrócił się nieznacznie za siebie.

— Wachmistrz! Za mną!

Zaczem, bez namysłu, wbiegł do sieni, roztrącił zwartą gromadę ciekawych i wszedł do izby.

Jerzmanowski, otoczony oficerami, wydawał był'właśnie jakieś rozkazy — lecz, postrzegłszy Fiutowskiego, urwał i wysunął się porywczo ku przybyłemu.

— Od Wąsowicza?!... Do pioruna, bałamuctwo jedno! Co?"! Jak?!

—• Porucznik Wąsowicz w Stołupianach! Przysłał mnie z wachmistrzem. . .

Jerzmanowski pryehnął.

— Języka — mówiłem, do krośset! Chłopa, coby znał... ■

—■ Właśnie, panie pułkowniku, jest wachmistrz!

Jerzmanowski brwi krzaczaste ściągnął i oczy groźnie postawił.

—Co mi tu acan, do milion... o wachmistrzu prawisz! Poszaleliście obaj z Wąsowiczem!

— Wachmistrz Babecki, panie pułkowniku, z tych stron... Miał pozwoleństwo do rodziców...

— Hę? Co?!'

■—■■ Spotkaliśmy go na drodze do Stołupian! Zna tu każdy kamień!

Jerzmanowski wychylił się poza porucznika.

— Wachmistrz! Sam tu!

Pan Andrzej postąpił trzy kroki naprzód i rękę do czapy przyłożył.

— Hm... Babecki! Litwin?

— 'Według rozkazu!

Jerzmanowski uśmiechnął się i szarpnął wąsa.

— To się w porę jawisz.

—: Powinien od miesiąca być w szwadronie —- zauważył z boku kapitan.

Babecki posiniał.

— Od miesiąca! Hm, lim — zobaczymy... Panowie, proszę na miejsca! Jak mówiłem! Plutonami się rozdzielić i zjeździć całą okolicę! Pamiętajcie zapisywać furaże, łąki znaczyć i kwatery opatrywać. Zbór wieczorem w Stołupianach. Ordynansów do mnie na Gąbin i Insterburg. Zbierać wiadomości! Ze Stołupian kapitan Brocki zarządzi natychmiast rekonesans ku Kownu. Dać go Wąsowiczowi — będzie miał konie wypoczęte. Ze mną zostanie porucznik Fiutowski i półpluton z trębaczami.

Oficerowie pożegnali szefa brzękiem ostróg a dzwonieniem pałaszy i gromadą ruszyli z izby przed gospodę.

Jerzmanowski zwrócił się do Fiutowskiego i spojrzał nań łaskawiej.

—■ Masz godzinę czasu, mości poruczniku! Wypocznij, czeka nas służba nielada! A wachmistrz niech także się posili! Ale rzuć tam waćpan okiem na żołnierzy, żeby mi do lustru -wyglądali! Może przed samym cesarzem wypadnie stanąć!

Fiutowski skłonił się szefowi szwadronu, dał znak -wachmistrzowi i wyszedł do sieni. Tu zatrzymał się, spojrzał nieznacznie na Babeckiego i do gościnnej izby wszedł.

Pan Andrzej zatrzymał się an progu, rozumiejąc, że mu nie przystoi teraz za porucznikiem iść, który widocznie ku szynkwasowi się ma.

Fiutowski postrzegł niepewność Babeckiego i rozstrzygnął ją krótko:

— Wachmistrz za mną!

4 — Według rozkazu! — bąknął pan Andrzej, choć go kolnęło coś pod sercem, że mu Fiutek nosa oczywiście zadziera.

Porucznik szarpnął mocniej pałaszem i z buńczuczną, miną jął gospodarzowi dyktować suty posiłek — zaczem do alkierza za szynkwasem podążył i rozsiadł się na ławie, ani zważając na stojącego tuż obok niego wachmistrza.

Dopiero kiedy gospodarz stół białym obrusem nakrył a jadło zastawił, i brzuchatą butelkę z kubkami przyniósł i wyszedł — Fiutowski głowę uniósł nieco i ozwał się niepewnie:

— Bo ten.. . niech ten... może ten... i ten!

Porucznik, po wyrzeczeniu tych słów, czegoś raptownie zmieszał się, poczerwieniał, a spojrzawszy na smutnie zapatrzone oczy wachmistrza — zerwał się z ławy i, na szyję mu się rzucił.

—■ Babo! Dawaj gęby, bo nie strzymam dłużej z temi... temi szlufami.

— Fiufiutek! Kochanieńki!—ryknął rozczulony wachmistrz.

— Bodaj cię! Całą drogę chodziło mi po plecach !

— De jeszcze — Fiufiutek! At, doczekałem się porucznika! Wykręć się! Chi — i mundurek!

— A teraz do stołu! Co na misie, to nieprzyjaciel! Uf! Rozepnę trochę mundura! Upał! W twoje ręce!...

— Na zdrowie!

■—■ Tu człek dopiero czegoś poczciwego może się dopytać! Już mi w gębie zjełczały te hiszpańskie, francuskie i niemieckie poleweczki! No, a teraz gadaj mi o’ sobie! Coś robił, gdzieś się podziewał!?

Babecki westchnął, ciężko.

— Coś rzadką masz minę! Hę ?!

— At —■ nie wiedzieć gdzie się gęsta podziała!

— No — stary —■ cóż, oniemiałeś!?...

— Wolę, bym oniemiał! Żutko, kochanieńki—■ choć ołowiankę sobie samemu w łeb puścić!!...

Fiutowski, widząc jakieś nielada strapienie, które żarło towarzysza broni, zafrasował się szczerze i jął nacierać, aby mu się wyznał. Babecki sylabami zbywał pytania porucznika, desperackimi ruchami bronił się a przeczył, aż przyciśnięty do muru, a zaklęciami na przyjacielstwo tyle razy zaprzysiężo- i ne tknięty, jednym tchem ze wszystkich swych utrapień się zwierzył.

Fiutowski aż głowę w rami ona. wtulił na wieść, w jakich opałach był Babecki. Wachmistrz, wyczytawszy w twarzy porucznika i zgrozę i zdumienie — jęknął.

—• Widzisz —■ zachciałeś! Ot i masz! — zde- - ' gradują?! H! . Co?!

— A-l.b_o •—■ ten — rozstrzelają!

— Oli! Żeby-tylko I At, bo ty nie wiesz! Rodziciele! Wstyd —■ hańba! Rozstrzelaliby gdzie w kącie! Niech sobie!...

— Trzeba zameldować przy raporcie szefowi!

' Babecki porwał się na równe nogi.

— Fiufiutek! Co ty? — zgubie cḱcesz?.

— Trzeba! Zełżesz trochę!... Powiesz, że Stadnicki ujął się za porucznikiem Gotartowskim, że... tam nawet o szefie Jerzmanowskim była mowa !...

— Bój się Boga! Wyda się! A tamci dwaj pobici!....

— Hm! Słuchaj Babo! Jerzmanowski Stadnickiego zna i lubić musi okrutnie, bo go często wspomina, tedy byłeś nabełtał! Byłeś zaciętość w szefie poruszył!

— A... a... jak gończy z Warszawy przyjdzie?

Fiutowski pięścią w stół uderzył.

— Bodajś skisł! Pij do licha i mnie słuchaj!

— Pozwól, Fiufiutek! Tyś surowy, ale bo nie rozumiesz! Audytor...

— Rozpraw nie lubię! Słuchać, kiedy powiedziałem ! Dziś wieczorem przypomniesz mi acan sani, abym raport o nim złożył szefowi!

— Fiu!... —■ stęknął żałośnie wachmistrz, — z przerażeniem spoglądając na shardziałego nagle towarzysza.

Porucznik, urażony tym odzewem, porwał się z ławy-i-jjjAnie na żarty chćiał Babeekiego sfukaé i nastraszyć •—■ gdy, nagie, tuż obok wachmistrza rozległ się głos Jerzmanowskiego^

— Cóż to za rozprawy? Wachmistrz-odpowiada porucznikowi! Co? Hę?...

— Pan Andrzej mało się w ziemię'nie zapadł, Fiutowski poczerwieniał i oczy spuścił. Jierzmanowski tymczasem do Babeekiego się przysunął:

— Odpowiadaj acan! ?... To acan porucznikowi “fiu”?! Cóż to ma znaczyć?

—• “Fiu”, panie... panie pułkowniku?... Nie, panie pułkowniku! Aby tak się westchnęło, panie pułkowniku! — przyświadczył pośpiesznie Fiutowski.

Jerzmanowski głową pokiwał.

— Hm-hm! Konfidencya! Za pan brat! Uszanowanie stopnia! Acan od jak dawna w pułku?. ..

— Od formacyi szwadronu Dziewanowskiego!

.— Iię?! Co, do kroćset Na-szkołę żołnierza pójdziesz acan na dwa tygodnie,, abyś sobie przypomniał, co ci na urlopie wywietrzało. Ale, mości Fiutowski, a ty jaki raport masz do zameldowania? — Słucham! Mów krótko!...

— Wachmistrz Babeeki, jadąc przez Warszawę na urlop, miał zajście m winiarni z oficerami sztabu Księstwa i sekundował w przebraniu przeciwko imé panu kapitanowi pierwszej kompanii pierwszego szwadronu naszego pułku, Załuskiemu... zaczem salwował się ucieczką przed aresztem!... Stąd śmiem pokornie...

Fiutowski odsapał i umilkł raptownie,. przerażony groźnym wyrazem twarzy pułkownika. Babeeki zaś na to oskarżenie, na wykrycie na jaw przed władzą serdecznej jego tajemnicy a okrutnej winy, ledwie na nogach mógł ustać ze drżenia, które mu kolanami trzęsło.

Jerzmanowski gwizdał przeciągle pod nosem i, .tarmosząc wąsa, jął piorunującym wzrokiem mierzyć wachmistrza.

— Taki ptasio! Taki marcepanek!... Taki gagatek! Baczność, do milion! Oczy wprost! — Ciąg się!... Ja,tu acana rozumu nauczę! Łańcuszki, a nie podoficerskie szewrony! Zajście! Znam ja wasze zajścia! Burda, pijatyka, awantura,!...

A ty jeszcze sobie maskarady wyprawiałeś i przeciwko szwoleżerskiemu kapitanowi!... Gadaj, do krośćset!... Wojna!;.. Sąd złożę — i kulą w łeb! Prawdę powiadaj!...

—- Według rozkazu! — szepnął Babecki i umilkł.

Fiutowski, sam teraz postrzegłszy, iż z gorącości swej piwa nawarzył i towarzysza poczciwego do zguby doprowadził, zaczął go. sumitować.

— Panie, pułkowniku, bo to właściwie Stadnicki — ten dawny nasz, co to z wuertburską strażą!...

— I co ten Stadnicki ?!

— Kumoter — dobrze mówię, stryj eczno-cioteczny! Byli razem i zaklął go, bo to szło ,o pułk, o nasz pułk! ?...

—- Co szło ? Komu ?!

— A no, Stadnicki miał rozmowę z kapitanem Załuskim! Mówiło się o oficerach naszych! Stadnicki się ujął — przyszło do wyzwania! Babecki nie mógł odmówić... bo... jeżeli kapitan przymawia szefowi... to... jeżeli szef dla kapitana.'.. to kapitan...

—■ Mości Fiutowski!

— Rzetelna prawda, panie pułkowniku! Stadnicki choć nie służy u nas, zawsze jeno dawnych oficerów wypomina!

—■ Skądże waćpan o tern wszystkiem wiesz?

— Wachmistrz sam akuratnie zaraportował! I musi coś — bo nikt skargi nie wnosi, bo dotąd w rozkazie ani słychu...

Jerzmanowski ochłonął nieco.

— Patrzcie! I on jest od formacyi. Człowiekowi się zdaje, że już po ogonach konieby rozpoznał, które do której kompanii przynależą, a tu sobie litwinek taki, kwiatuszek... co dopiero, jak komendy mu zabraknie —■ szwoleżerskiego honoru ^roni!...

A to zajście z oficerami w winiarni!? Także z honoru %! Gadaj sarn, coś spłatał ?!

—Aby dzbanuszek puściłem!

' — Tfy! Nawet tchórzem podszyty!... I to wachmistrz, i to szwoleżer! Co ■—-krzyż?! Może... może ciotka ci go wyprosiła?!. Hę?! Taki u mnie w szwadronie nie może być!... Skąd go masz i... Nie dygocz ze strachu, do milion!...

— By...łem poci Somosierrą, panie pułk... I... i,.. sami... dali!... Porucznik Niegolewski!... I ten...

Jerzmanowski odwrócił głowę od Babeckiego.

— Dojdziemy prawdy!... Jutro może pułk nadciągnie bliżej, to się śledztwo ustanowi!... Kapitan Załuski rzecz wyświetli! Teraz, mości Fiutowski weźmiesz go pod swoją piećzę! Oczu nie spuszczaj, bo czmychnąć gotów! Waćpan mi odpowiadasz ! W rozkładzie służbowym pomijać, nie dawać nigdzie! Cha! Toż to przewodnik, przysłany przez Wąsowicza! Wyłowił ananasa szwoleżerskiego! Zobaczymy! Zgap się z czem! Po litewsku umiesz acan ?!

—- Umiem, panie pułkowniku!

—■ Hm! Dziś, mości Fiutowski, musisz go mieć przy mnie, a jutro na tyły, do furgonów i adjutantowi-majorowi zameldować!

X.

Ani ochłonął jeszcze pan Andrzej z pierwzsego wzruszenia, którem go przejęła niefortunna rozprawa z szefem, jeszcze ani ogranął tych bezdennych następstw z już zarządzonych co do niego rozkazów, ani zdołał pochwycić spojrzenia Fiutowskiego,

by mu wzrokiem bodaj wypowiedzieć, jak niepowetowaną uczynił mu krzywdę — gdy już komenda usadowiła go na koniu, wprowadziła w mocnego kłusa i na trakt królewski rzuciła.

Oddział szwoleżerów, mając na swem czele szefa szwadronu, mknął w milczeniu, ani się ważąc ust roztworzyć, a bodaj cichą podzielić uwagą.

Tak ujechano dobre półtorej mili. Trakt królewiecki był dotąd prawie pusty —- ledwie, że kilka wózków' gospodarskich zawadziło szwoleżerom, a bab kilka umknęło przed nimi w pole — zresztą droga, jakby wymiótł. I, gdyby nie łany zbóż, falujących po obu stronach drogi, gdyby nie równe pasy rowów a strzechy domków i chat, rozrzuconych bezładnie — zdałoby się, że droga nie do możnego miasta prowadzi, ale ot, pustkowiem się wlecze.

Naraz .Jerzmanowski konia zdarł, na strzemionach się uniósł i ręką oczy przysłonił, a w horyzont się wpatrzył. Badał krótko i, zanim oddział zdołał się postrzedz, co szefa tak nagle zastanowio — rozkazał gwałtownie:

— Za mną!... Wypuszczaj cugle!

Półpluton załopotał kopytami, obłok kurzawy wokół siebie poderwał, otulił się nim cały i pomknął wyciągniętym galopem.

Dziwnym się wydał z początku oddziałowi ten pośpiech szefa — lecz zaledwie trzy stajania ujechano, wnet dostrzeżono przyczynę. Martwy dotąćl widnokrąg dźwigał się, drżał' jakimś nieuchwytnym ruchem, rozsuwał swoje woale, a gdzie okiem sięgnąć, toczył szaro-ciemne, stalowym grzbietem połyskujące pasy...

Armia szła!

Jerzmanowski rwał z szalonym impetem, rozumiejąc, że każda sekunda spóźnienia może nań gro-

my sprowadzić, że marsz wojska niechybnie znamionuje zbliżanie się głównej kwatery, że cesarz nieza^ wodnie wyciągnąć rnusiał z Królewca —• że więc w Insterburgu trzeba będzie co tchu luzaków szwadronowych dopaść i rwać dalej naprzeciw, bodaj samotrzeć .

Aż wtem zaniebieszczyło się na drodze, zafurkotały chorągiewki — kompania kawaleryi runęła na Jerzmanowskiego.

Imć pan Paweł w bok skręcił. Kompania zdarła nieco konie.

— Wiwat'szwoleżery! — ozwał się raźno głos oficera dowodzącego.

— Wiwat ułani! Wiwat siódmy pułk! •— odpowiedział pan Paweł.

— Cesarz przy awangardzie! — zakrzyknął oficer, i, pochyliwszy się na łęku, pociągnąć za sobą ułanów-:

Jerzmanowski pobladł lekko — chciał o coś zagadnąć jeszcze, lecz kłąb pyłu wdarł mu się do ust i głos stłumił.

—■ Za mną! — zakomenderował szef i ruszył dale j.

Jerzmanowski już teraz wić się rnusiał, jak wąż ze swoim plutonem, raz po raz salutować sztandary, honory oddawać jeneralskim kapeluszom, zawadzać o adjutanckie rozhukane czeredy, a z niemałym trudem przestworu szukać między pułkami. A nadto własną pokonywać alteracyę! Ba! toż imć pan Paweł kunktatorem nie był, a w Napoleonowej służbie, jak wicher zwykł chodzić od dawna, a przecież ani mu się śniło, aby już tu, na Gąbin walić mogły gwardye, aby cała kawalerya korpusów Davousta i Oudinota nadążyła tak szybko, aby tern samem za-

sługę dokonywanego przez szefa wywiadu sprowadziła do służby zwykłego rekonesansu.

I z tej okrutnej konfuzyi, imć pan Paweł ani się postrzegł, jak wpadł w uliczkę Insterburga. Tu biały pas zawojów manieluckich, wyciągniętych wzdłuż domostw, zielony mundury strzelców konnych gwardyi i tłum oficerskich mundurów, sztabowych haftów, futrem okładanych' czapraków jeneralskich, adjutanckich przepasek, tłum ludzi i koni, kapiący od złota i srebra, mieniący się kolorami, tłum gwarny, dumny, pyszny — powitał Jerzmanowskiego na rynku, wskazał bezwiednie drogę' ku miejscu, kędy coraz barwniejsza czereda znaczyła wejście do cesarskiej kwatery.

Jerzmanowski osadził konia — cisnął przez zęby Fiutowskiemu rozkaz, aby .oddział na boku sformował i czekał, a sam, zeskoczywszy z konia, i rzuciwszy cugle najbliższemu szeregowcowi, poszedł meldować się do raportu.

Fiutowski chyłkiem powiódł półpluton aż za mameluków, aby ujść nieco z oczu sztabowego tłumu — tam z koni zejść kazał i opatrzenie zarządził.

Babeeki, któremu, jako wachmistrzowi, żołnierz także konia do przeprowadzenia odebrał, znalazł się tuż przy Fiutowskim.

Porucznik rozezerwieniony, a zagrzany nieco, czapkę zdjął, a twarz ocierał, i głowę w cieniu chłodził...

Babeeki, po zejściu z konia, choć mógł także ulżyć sobie nieco w zmęczeniu i gorącości -— ani drgnął. Ręce na głowni pałasza oparł i stał tak, nie pomnąc, że mu dwa strumienie potu za kołnierz się leją, a miałe bruzdy orzą na zapylonem obliczu...

Fiutowski zdawał się nie zważać wcale na dawnego kolegę i puszył się z powagą pewnego siebie do-

wódcy, ostrogami pobrzękiwał, a wąsy pokręcał i na szpikulce nastawiał.

Tak upłynęła dobra chwila, aż nagle porucznik zachmurzył się i warknął, nie odwracając głowy:

—- Wachmistrz Babecki...

— Wedle rozkazu, panie poruczniku!

Fiutowski głowę nieco odwrócił.

— Bo, uważacie wachmistrzu... właśnie bo...

— Uważam, panie poruczniku — przytwierdził Babecki bezbarwnym, służbowym tonem.

Fiutowski chciał coś rzec, lecz się zaciął raptownie. Dopiero po dłuższej pauzie rzucił okiem ku wachmistrzowi, a spotkawszy na drodze swego.spoj- - rżenia, nieruchome, matowe Oczy Babeckiego, drgnął i tracąc swą porucznikowską postawę, pochylił się ku rabatom pana Andrzeja i szepnął:

— Słuchaj stary!... Bierz konia i rwij, gdzie chcesz!

—• Uważam panie...

— Ja cię wpakowałem, więc ty teraz zmykaj!

Pan Andrzej pobladł.

—■ No — nie marudź! Siadaj!... Zamęt!. .. Możesz, gdzie chcesz!

— Fiutek!... Zamyśliłeś! De tobie... będzie! Rozkaz masz!

Porucznik machnął ręką energicznie.

— Co tobie do moich porachunków,? Nie uwędzą;... Babo — psianogo — dalej! Na koń!.. Bierz się na Królewiec tymczasem — nikogo z naszych nie spotkasz.'.. Mówię ci... O mnie się nie bój !...

Babecki odetchnął głęboko, spojrzał zawilgłemi oczyma na porucznika i odparł krótko:

— Taki już zostanę!

— Co? co?!... Troi ci się w głowie! Ani wiesz, co być może! Z Jerzmanowskim niema pardonu! Święcie dotrzyma! Wyrazu nie chybi!... Nie doprowadzaj mnie do pasyi!

— Nie... nie! Już i tak!... Ja wiem... Stało się, sądzono — a ty, Fiutek, nie winieneś !... Ot, samo nie wiedzieć!... Choć cokolwiek, kochanieńki, a mnie i tak równo!

Fiutowskiemu oczy na wierzch wyszły z gniewu na tę niespodziewaną opozycyę.

Ruszaj natychmiast. Ruszaj, powiadam!

—■ Baa...czność — rozległ się raptownie głos szwoleżera, wysuniętego troskliwie przez porucznika ku rynkowi, aby jaki sztabowy personat nie zeszedł plutonu na zbytnim nieładzie.

Fiutowski odwrócił się na to ostrzeżenie, a spostrzegłszy. wpółbiegnąeego szefa, zakomenderował drżącym głosem:

—• Formuj się !

Jerzmanowski wpadł odrazu na porucznika!

— Gdzie ten ?... Gdzie kanarek ?!

—- Kto, panie?

— Ten... ten wachmistrz!..'. A, jesteś! Jak ci?...

—■ Babeeki, panie...

—• Marsz za mną!

Jerzmanowski zawrócił pośpiesznie z powrotem. Wachmistrz, wyciągniętym krokiem, poszedł za szefem, ścigany rozpaczliwemi spojrzeniami porucznika i zdumionych szwoleżerów, z. których jeden i drugi coś pochwycili z rozmowy Fiutowskiego z Babeckim.

Szef tymczasem szedł szybko — tak, że wachmistrz ani zmiarkował jeszcze, dokąd go wiódł, gdy

już znalazł się tuż przed gromadą jenerałów i sztabowców.

Jerzmanowski zwolnił raptownie kroku i skinął na wachmistrza.

— Dalej — sam tu! Bliżej!... Łapa do czapy... Umiesz po litewsku?

— Umiem, panie pułkowniku.

— Żebyś, mi języka w gębie nie zapomniał. Przed marszałkiem może ci wypadnie stanąć!

— Uważam, panie...

— Prosto, do krośset! ■— ostrzegł jeszcze szef i sam, w ślad za wachmistrzem, salutować zaczął dostojników głównej kwatery.

W Babeckiego na tę zapowiedź szefa i ziąb i .gorącość wstąpiła równocześnie, nogi pod kolanami zaczęły mu drżeć z lekka, a za grdykę coś go dławić — lecz szedł za Jerzmanowskim, wlepiając raz po raz oczy w srebrne buljony, haftami osypane mundury, pozłociste hełmy, a orderowe wstęgi.

Tak idąc za swym szefem, stanął Babeeki pod ścianą wielkiej izby, wypełnionej niemniej strojną i niemniej zadufaną gromadą uniformów, jak ta, którą był mijał na rynku.

Jerzmanowski rozlrazał tu UOlio HaJümntwwi:

—■ Ani kroku stąd! —• Czekaj!

A sam wysunął się ku przodowi i do rozmawiającego jenerała się zbliżył.

— Jenerał postrzegł szefa szwadronu.

— A... dobrze! I cóż *1*

—■ Jest, panie jenerale!

— Zatrzymaj się pan. Marszałek jest u cesarza. Natychmiast z nim wyjdzie.

■—■ Cesarz! — ostrzegł raptownie adjutant, dyżurujący pod drzwiami, w głębi izby.

Izbę zaległa śmiertelna cisza. Mameluk roztworzył drzwi na ścieżaj; cesarz wszedł, wydając jakieś urywane rozkazy księciu Neuchatelu.

•— Wsiądziesz ze mną do karety! — zakonkludował Napoleon i zmierzał szybkim krokiem ku wyjściu, nie patrząc na prężących się po obu stronach izby oficerów.Gdy atoli minąć miał Jerzmanowskiego, przystanął raptownie i ozwał się kwaśno:

— Wiadomości twoje niedostateczne, pogmatwane. Myślałem, że pan lepiej potrafisz!

Szef pobladł i za całą odpowiedź wyprężył się jeszcze mocniej.

—■ I nawet tłómacza nie przyprowadził! — szepnął z cicha Berthier za plecami cesarza,

k — Tego nawet nie potrafiłeś w swoim kraju?!

— Tłómacz jest, najjaśniejszy panie.

—- Gdzie jest? Dawaj go!

— Stoi, najjaśniejszy panie... właśnie tu, pod ścianą!

Cesarz rzucił wzrokiem, a postrzegłszy tylko wojskowe mundury, żachnął się.

— Gdzie tłómacz ?! który tłómacz ?!

Szef cofnął się tyłem do Babeekiego i zakomenderował ostro:

•—- Naprzód!... Ciąg się!... W prawo! Marsz — stój!

Wachmistrz z automatyczną dokładnością wykonał ćwierć obrotu ku cesarzowi, postąpił cztery kroki i, na zawołanie ‘ ‘ stój ’ ’ — zatrzymał się.

Napoleon zmierzył wachmistrza od stóp do głów.

— Cóż to za tłómacza sobie znalazłeś w pułku?

—- Wachmistrz Babecki, Litwin, urodzony “w Wyłkowyszkach, zna dokładnie okoliczne wsie i miasteczka! -—■ objaśnił Jerzmanowski.

— Hm! Więc ty z tych stron jesteś?

Babeckiemu coś zatrzeszczało w krtani, lecz się zmógł i huknął gorąco :

— Oui, l'empereur!

Cesarz na tę odpowiedź, uśmiechnął się nieznacznie .

—- Z Wilkowiki jesteś?

— Oui, l’empereur!

—• Ile mil z Interburga do Gąbina?

—• Trois, l’empereur! — huknął bez zająknienia wachmistrz.

—■ Hm ! A ten krzyż masz skąd ?

— Somosierra, 1’empereur!

— Masz dla mnie kwaterę w Wilkowiki?

Babecki zmieszał się raptownie.

— Najjaśniejszy pan się pyta, czy w Wilkowiki jest jaki dom, odpowiedni na pomieszczenie kwatery cesarskiej? — objaśnił z boku marszałek Berthier.

— Une maison... oui, une maison... — bełkotał rozszerwieniony wachmistrz.

—^Odpowiadaj — upomniał cesarz.

— Nie rozumie pytania^-------- ^dodał ironicznie Berthier.

— Wytłnmacz-że mu pan!

Jerzmanowski, do którego te słowa były zwrócone, a który ledwie ustać mógł na miejscu z pasyi na oczywiste głupstwo Babeckiego, natarł ostro na wachmistrza po polsku:

— No, więc jakiż dom w Wiłkowyszkach jest porządniejszy, czyj dom?... Gadaj niedołęgo, co ci ślina przyniesie na język..,. Gdzie? Gdziebyś myślał?...

— De... de... chyba u rodzicielów, panie puł-

kowniku! — zawołał z rozpaczliwą, determinaeyą wachmistrz.

Cesarz, który już się był odwrócił od Babeckic-go i ku drzwiom zmierzał — na ten krzyk przysta-nął znów.

— Co mówi?... Jeszcze nie wie, o co chodzi?

— Zrozumiał odrazu, sire! — wytłómaczył po-śpiesznie Jerzmanowski — tylko nie miał... bo zdaje mu się, że najdogodniejszym byłby dom jego rodziców.

Napoleon spojrzał na rozognioną twarz wach-mistrza .

— Hm! Więc ręczysz, że będzie mi u twoich ro-dziców wygodnie?

Wachmistrz za całą odpowiedź, oczyma łypnął i jęknął.

Cesarz podszedł do Babeckiego i rękę mu na ramieniu położył.

— Jak się nazywasz?

— Babeeki!

— Aha! Mój Babeki... tedy mnie zapraszasz?.. Zapraszasz do rodziców — hę?!

Pan Andrzej kiwnął głową, a z ócz garść łez strząsnął. Cesar* jakby me widział wzruszenia wachmistrza..

— Kiedy mnie zapraszasz — tedy zgoda! Sr, daj na koń i ruszaj przodem!... Jutro, na połu-dnie, będziemy!

Cesarz odwrócił się i, idąc ku drzwiom, rzucił“ w stronę Jerzmanowskiego:

— Raport szczegółowy zdasz mi pan w Gąbi-nie.

Napoleon wyszedł przed podjazd. Chmara ad-jutantów wyległa za cesarzem. Kto żyw, zbierał się z antykamery. Jeden Babeeki stał, jak wryty,

z ręką u czapy, z zawilgłemi oczyma, z twarzą rozczerwienioną.

■— Wachmistrz, do krocset! — zgromił szef Jerzmanowski.

■— Według rozkazu!

-— Zrozumiałeś, [11] sapristi! ’ ’ Cóż nie gadasz ?!

— Bo... bo... taki coś... nie wiedzieć... a zatyka!

Jerzmanowski szarpnął wąsa.

— Nic! Klepki zbierz, abyś głupstwa nie uciął... bo to na cały szwadron, na cały pułk. —- Weźmiesz mego luzaka i co koń... Ja może na świt dopadnę!

•—- Uważam!

— No — a do krocset!... Wstydu nie czyń!

— A... a... tam kochanieńki... popatrzysz...

—■ *Co* pleciesz! Marsz! Naprzód!

Wachmistrz nie dał sobie powtórzyć rozkazu, pałasz ujął w pół i, jak szalony, wypadł z ąntykamery na rynek, nie bacząc na sztabowe mundury, jeneralskie kapelusze, ani gromadę dostojników, kupiąeych się wokół cesarskiej karocy.

XI.

Dobrze już po północy imć pan Andrzej dopadł wreszcie pierwszych opłotków na przedmieściu wyłkowyskiem •— i stąd już, do rozpaczliwego galopu zmusiwszy gniadosza, wprost do domu ojcowskiego zawrócił okrężną ścieżką, skrócając znakomicie drogę.

Dostatni dworek imć pana naddzierżawey pogrążony' był w głębokim śnie, gdy nakoniec gniadosz wachmistrza zarył się kopytami u ganku.

Babecki zsunął się żywo z siodła i załomotał we drzwi.

Głusza odpowiedziała z początku wachmistrzowi, co go tak wzburzyło, iż, nie zważając na oczywiste znaki poruszenia w dworku, jął bić pięściami w odrzwia a hukać w głos. Skutek był piorunujący. Bo, nim rozczmychany sługa zasuwy odemknął, a drzwi otwarł, do sieni już wszyscy nieomal mieszkańcy dworku wylęgać zdążyli, wystraszeni nocnym gwałtem, a to. począwszy , od samego pana naddzierżawcy, a na kuchciku skończywszy.

Na widok okrytej kurzem i potem twarzy wachmistrza — okrzyk zdumienia wyrwał się z piersi zebranych.

—• Waszeć?! Jędrulek! Panicz!

Imć pan Andrzej, znalazłszy się wobec tej, lada czem okrytej a półnagiej gromadki, sam się czegoś zmieszał nagle i ani. powitania mógł skleić.

—- Waszmość tu? — badał rodzic.

— Jędrulku —• de cóż!... De, broń Boże! — kłopotała się pani Babecka.

—■■ Musi... škapa! —■ mruczał na stronie podstarości.

— Czy się aby co nie stało?! — wykrzykiwało ciotka Anna.

—■ De mówże! — upominała panna Filipina.

Lecz wachmistrz tak się czegoś zatchnął, że dopiero, kiedy go wprowadzono do izby stołowej, na ławie usadzono, a kubek wina podsunięto ■—■ odsapał i szepnął:

—• Cesarz jutro na południe przyjeżdża!

Pan naddzierżawca spojrzał niepewnie na syna. Pani Babecka strzepnęła rękoma.

—• De... jakto — przyjeżdża?!

— De cóż, że przyjeżdża?!

— Tu!... •— bąknął z przerażeniem pan naddzierżawca.

— Tu...uuuu! —■ podjął przeciągły chór pomieszanych głosów.

— Przyjeżdża do rodzicielów! — zakonkludował z wybuchem wachmistrz.

Pan Babecki zatrząsł się i ujął syna za ramiona.

— Co waćpan? Co gadasz?... Cesarz?! Napoljon?! Do nas?! Napoljon?!

— Jędruleczku! de napij się!... De na biedaczka może coś naszło! — użaliła się matka.

— De jemu kompres!

— Panicz chory!

Irać panu Andrzejowi, na to oczywiste niedowiarstwo, wróciła energia. Podniósł si z ławy i, w krótkich słowach, zdał sprawę ze spotkania swego ze szwadronem i z armią, i z otrzymanego od cesarza rozkazu.

Gdy wachmistrz skończył, śmiertelna cisza zaległa komnatę. Twarze obecnych gorzały, oczy skrzyły się, błyszczały, lśniły, usta zdawały się poruszać, piersi wzbierać, a milczenie trwało tak głębokie, że z poza okienic słychać było niespokojne szarpanie wędzidłem, uwiązanego u podjazdu, — gniadosza.

Aż, nagle, imć pan naddzierźawca ramiona rozwarł i syna w objęcia pochwycił. Na ten znak wszyscy jęli na prześcigi cisnąć się do pana Andrzeja; nawet kto ze służby śmielszy, to bodaj z -tyłu się zakradł i bodaj w pas od ładownicy, a pocałował.

Powstał rozgardyasz, zamieszanie, pełne westchnień*, wykrzykników a wynurzeń! A tuż za tern, zerwała się rozmowa bezładna, gorączkowa.

Pan Andrzej ledwie mógł nastarczyć z odpowiedziami. Czterykroć “ab ovo” rnusiał przygody swoje rozpowiadać, zanim niejakie uspokojenie naszło i niespodziewania ogarnięcie. Aż pani Babecka ostateczne dała hasło do zastanowienia się nad poołżeniem, bo gdy imć pan naddzierżawca chciał ~ zapytywać syna o sztab cesarski, ta ręce nagle załamała i zakrzyknęła żałośnie:

— De choćby co zapeklować!

— Lucyś, toż zamyśliłaś z peklowaniem! — upomniał żonę pan Babecki.

— Franuleczku, de jutro! Na południe!... W Spiżarni licho!... Z Wielkiej Nocy ledwie słonina po wieprzku została! A do jutra — okropność!

— Co niebądź, a przecież... juźci trzeba!

— Popatrz tylko, popatrz!... To i w domu należy ładu, to i samemu się ochędożyć, a tu kuchnia !

— I w mieście coś! — podchwycił żywo imć pan Franciszek, uderzony niezbitą prawdą, że istotnie czasu niewiele ma sam na uhonorowanie cesarza.

—- Widzisz, Franulku — a tu choćbyśmy tego... pstrąga wczoraj nie zjedli!

— Co pstrągi! Deputacya musi być i transparent !

— Piramida z cyfrą! — wtrąciła się panna Filipina.

•—■ Najważniejsze sypialnia dla cesarza! — zauważyła ciotka Anna.

— Mowa po łacinie!

— Franulku — niech mowa, a tu lodu... lodu mi zbraknie! Trzeba do Bazyliszek!

— Mama o lodzie!... Najpierwsze do krawcowej !

— Kołdrę można odemnie — nowiuteńka!

— Klucze od miasta!

— Nawet młodych ziemniaków ledwie podbierze!

■—■ De żelaza do spódnic trza nastawić!

— Iw okolice posłać!

—■ *I* drogę omieść!

— I cesarzowi choć jaśminu w dzbanuszki!

— A tam nie on jeden!

Pani Babecka za głowę się chwyciła i jeno ręką machnęła, a jak piorun między służbę wpadła. Imć naddzierżawca do kancelaryi ruszył i podstarościego w obroty wziął, a rozkazami nań sypnął. Panna Filipina wybiegła do swej gotowalni na pięterko; ciotka Anna poszła za panią Babecką.

Wachmistrz ani się spostrzegł, jak sam został. Markotno się nagle zrobiło panu Andrzejowi, iż go tak opuszczono i nawet słuchać dalej nie chciano.

Krótka atoli była samotność pana Andrzeja, bo, zanim konia rozkulbaczył a stajennemu oddał, już nań spadać zaczęły ze wszech stron ataki, pytania, kwestye, których nadobitek wachmistrz, ani rusz, rozstrzygnąć nie umiał.

— Co cesarz lubi na obiad?

— Czy sypia na piernacie, czy na sienniku?

— Ilu oficerów z nim przyjedzie?

— W jakim kolorze Filipince do twarzy?

— Gdzie mu chleb i sól podać: przed gankiem czy na ganku?

Pan Andrzej ramionami, wzruszał, frasował się, lecz żadną miarą zadowolić pytających nie potrafił, czem obniżał coraz więcej swoją powagę. Doszło do tego, że panna Filipina spojrzała na brata pogardliwie i zakonkludowała:

— I... i... że też takiego wachmistrza trzymają w pułku!

— Pozwól! — toż nasza rzecz nie gałganki, nie fatałaszki! — ujął się z urazą pan Andrzej. — A cesarz nawet nie spojrzy na twoje falbanki!

— Cesarz nie jest taki grubjan, jak ty!

— Cesarza nieznasz!

— Ocli! A ty znasz dużo! Nie wiesz nawet, co najprostsze! O, ty znasz! Ot gwardya!

Sprzeczka między, bratem a siostrą możeby nawet ostrzejszy ton przybrała, gdyby nie raptowne zjawienie się pani Babeckiej.

—■ Co wy tu? Macie czego!... Uf! Wiem, co dam na obiad! Wiem!... Czerninę! Już kazałam rżnąć kaczęta!

Panna Filipina pobladła.

—- Czerninę ?!

— I cóż ?! Cesarz żonaty — w konkury nie jedzie!

—- De przecież nie jeden cesarz!

— Także! Na jakąś resztę mam zważać!

W pannę Filipinę wstąpiła energia.

•— Nie cbcę czerniny... nie potrzebuję! Kiedy czernina, to ja... ja się na oczy nie pokażę —■ niech.sobie się wali wszystko!

— Filipisiu — i co ja nieszczęśliwa?!

— Może być rosół!

•— Dziś był rosół, kochanie, gdzież mogę jutro dawać rosół! A może nie lubi?... Jędrulek!

—■ Do ust nie bierze rosołu! — przyświadczył wachmistrz, mszcząc się na siostrze.

Filipinka się łzami zalała. Pani Babecka podreptała z desperaeyą szukać ciotki Anny na radę, z góry stawiając jej warunek, że... byle nie czernina i nie rosół.

Gdy w ten sposób przed panią Babecką coraz to nowe piętrzyły się trudności a kłopoty — miał

ich, i jeszcze większych, niemało imć pan naddzierżawca, miał ich po uszy już i burmistrz, i całe Wyłkowyszki nawet.

Wieść o przyjeździe cesarza, mimo nocy, lotem ptaka obiegła wszystkie zakamarki miasteczka, a gdzie dostatecznego nie sprawiła wrażenia, gdzie dobrowolnej nie obudziła czynności, tam pachołcy z nakazami burmistrza i żądaniami pana naddzierżaw'cy niewolili do gorączkowej pracy. Ciż sami pachołcy, jeszcze przed wschodem słońca, dotarli do Okolicznych wsi i zaścianków — ba, po Marjampol, Władysławów i Wejwery bezmała rozwieźli nowinę, a z nią wezwania, zaproszenia, zaklęcia i polecenia.

Rozgardjasz i zamieszanie z godziny na godzinę wzmagały się. Plany przyjęcia rosły, pomysły sypały się, jak z rękawa — a tu ani rąk, ani materyału, ani czasu. Lecz też imć pan Jeziorkowski nie żartował, pisarzów na nogi porwał, woźnych magistrackich dozorcami mianował, a sam z sękatym wiśniakiem przebiegał miasteczko z krańca do krańca, za centrum sobie obrawszy kancelaryę imć pana Babeckiego.

Kto żyw w mieście, z dorosłych lub młodzieniaszków, tego zapędzano do roboty: do porządkowania ulic, do wysypywania ich piaskiem, do majenia domów choinami, do wszelakiego strugania, przybijania, czyszczenia i znoszenia. A gdy mężczyzn było mało, zarekwirowano baby, — a kiedy jeszcze piorunem nie szło wszystko, tedy nawet bachurkom żydowskim nie darowano.

O świcie gorączkę ogólną spotęgował pluton ułanów, który, jak wicher, przeleciał przez miasteczko i znikł na wejwerskiej drodze — tak, że ledwie chorągiewkami warknął. Za tym plutonem jęły

ciągnąć liczniejsze oddziały kawaleryi, a na rynku niekiedy przystawać i mieszkańców odrywać od roboty, a tejże im przysparzać.

Mimo te atoli rozliczne przeszkody a ogrom pracy —■ już wschód słońca w nielada szacie odświętnej zastał Wyłkowyszki. Burmistrz Jeziorkowski aż się rozśmiał z ukontentowania i wiśniakiem o ziemię stuknął. Bo niech tam siak czy tak, a za godzinę będzie prawie!

Ukontentowanie to jednak było krótkie, gdyż ani się spostrzegł, jak wąsal na niego koniem najechał i zapowiedział mu uroczyście, żeby czterdzieści kwater miał w pogotowiu na południe. Burmistrz chciał pytać, sumitować się, że tylu kwater nie nastarczy. Wąsal powtórzył rozkaz, warknął coś przez zęby i ruszył z powrotem.

Za tym wąsalem nadciągnął drugi, wiozący lakoniczną. kartkę, na której była wypisana liczba potrzebnych korcy owsa. Za drugim też przybył trzeci z poleceniem przygotowania chleba dla dwóch pułków... A dalej już ■— *co* rusz, nowe żądanie, nowe zmartwienie, nowe urwanie głowy.

Burmistrz pocił się, biegał do naddzierżawcy, biadał, prosił, błagał, wiśniakiem groził, nawet przemocą co porządniejsze zagarniał izby i sprzęty.

Nielada miał zadanie imć pan Jeziorkowski, lecz bodaj większe sam pan Babecki. On bowiem majsterków miał pod sobą, on rnusiał o estymie pamiętać i dać jej y^yraz, godny cesarza, staropolskiego obyczaju Wyłkowyszek i imienia poczciwego Babeckich. Tu już nie o dozór szło, nie o ład, nie o samą pracę, lecz o ceremonjał, o kunszt, ó świetność, o dowcip i polityczność.

Tedy, kiedy pierwszy pęd zarządzeń i narad z burmistrzem minął, kiedy imć naddzierźawca jął za-

stanawiać się a rozważać — to jakby nań jasność spadła. Odżył w nim i zatwardziały sejmikowicz, i szlachcic, równy wojewodzie, i przyczajony Demostenes, i dyplomata zaściankowy, i konfederat, i Wierzynek.

Co dziwniejsza, iż imć pan Babecki, skrupulat wielki w wydatkach, a, kredę w kieszeni, jak inny tabakę, noszący i kredą to po stodołach, po stajniach, oborach wiecznie coś rachujący, a jalko słuchy chodziły, dusigrosz potrosze -r- tu ani się skrzywił na wydatek. A gdy nieśmiały majsterek o eks-.pensie dużym bąkał, to jeno po pasie się klepał i mruczał cierpko:

— Dukat, to dukat, a dwa, to niech sobie dwa!

Majstenkowie, na taki argument, aż stękali z zapału do roboty — a imć pan Babeciki w .karicelaryi siedział z wujem Dobkiewiczem, co był najpierwszy na larm zjechał, i dyspozytye wydawał — takie dyspozycye, źe Dobkiewicz jeno sapał, a nosem frykał, a podpowiadał.

— Skąd u ciebie?... Patrzajcie!

Dyspozycyi tych moc była okrutna.

Tedy najpierw dwóch kowali zasadzono do kucia dwóch symbolicznych kluczy od bram wyłkowyslkich. Wprawdzie Wyłkowyszki nie były podobno ani grodem, ani oppidum i, jako żywo, bramy żadnej nie posiadały, ale wszakże nie w tern rzecz była. Do kluczów tych krawczyk gotował poduchę — więc bombiasty “jasiek” ciotki Anny obciągał adamaszkiem białym, wykrojonym zręcznie z sukni ślubnej matki pani Babeckiej.

Dalej, stelmach sztukował z łat drewnianych ramy do transparentów, które z pod ręki,imć pan Brzuśzko, pisarz magistracki, płótnem obciągał i

inicyałami a napisami, wedle wskazówek imć pana Babeckiego, zdobił, obficie sadząc wiwatami, a gdzie się dało, herb miasta, lilię ponsową w polu błękitnem, przetykając we floresach.

Staruszek płatnerz, co od lat dziesiątka ledwie patyczki na grządki do kurników strugał, miał sobie powierzony moździerzyk, wyciągnięty z lamusa. Płatnerz, choć mu się ręce trzęsły a głowa kiwała ze starości, aż się rozśmiał do znajomka i z miłością, kłapiąc bezzębnemi szczękami, zaczął mu lustr wracać.

Tuzin szewczyków, ludu przemyślnego a do rozmaitych sztuk zwinnego, wzięto do girland kręcenia a rozwieszania ich na magistrackim doimu, na dworku pana naddzierżawcy, a co na przedniejszych kamieniczkach.

Przy tych dyspozycyach mnóstwo rodziło się kwestyi, lecz je pan Babecki jednem słowem rozs trzygał.

Ba, ale choć z pozoru szło wszystko, jak z płatka, czoło pana naddzierżawcy coraz większemi zasnuwało się chmurami. A przyczyną tych chmur i troski oczywistej był ksiądz proboszcz Kociełł.

Imć pan Babecki, układając ceremonię, juści słusznie a po chrześcijańsku, proboszczowi poczesne wyznaczył miejsce, a nawet “Te Deum” przy wiwatach umyślił w kościółku; a co do plebanii, chciał tam jakiegoś wielkiego oficera napoleonowego instalować. Nie dość — proboszcza miał obligować, aby mu łacińskie powitanie grzecznie złożył i dowcipną a polityczną figurę wywiódł, czyli jakoweś cytaty z pisarzów wybrał. Imć Babecki miał nawet już oś główną, bo imiona Aleksandra Macedońskiego i Cezara, brakło mu jedynie związania. .Nikłby tego, na dziesięć mil wokół, od proboszcza

lepiej nie potrafił, bo ten i z kazań słynął i, jak mu fantazya przyszła, to z którejkolwiek strony by zaczął, jedynym zawrotem do okoliczności schodził.

Nic też dziwnego, że w takiej potrzebie imć pan Babecki odrazu nowinę na plebanię do proboszcza. wyprawił, d° rady go zapraszając. L,ecz proboszcz, wedle relacyi pisarza, na wiadomość, że cesarz z armią nadciąga, pobladł, przeżegnał się i drzwi przed nosem posłańcowi zatrzasnął. Naddzierźawca stropił się tem zachowaniem księdza i przyzwawszy organistę, nowe doń zaproszenie wygotował, ale organista, jak poszedł, tak i przepadł. Pan Babecki przeclzekał do świtu i namówił wuja Dobkiewieża, by proboszczowi rzecz wyłożył. Dobkiewicz wrócił niebawem z nowiną, że plebania jest zaryglowana, kościół zawarty, a na łomo - tanie do drzwi nikt zgoła nie odpowiada.

Pan Babecki nie chciał wierzyć i sam ruszył do proboszcza. Plebania istotnie zdawała się na poły zamarłą. Naddzierżawca zaczął kołatać, stukać, dobijać się, a wreszcie w głos proboszcza wołać a zaklinać go, by choć 'się ozwał.

Wezwania imć pana. Babeckiego odniosły w końcu skutek, bo, w okienku szczytowem plebanii, ukazała się siwa głowa księdza.

— Wsizelki duch Pana Boga chwali! Kto tam?

— To ja, dobrodzieju — Babecki!

— Daruj waszmość — teraz nie mogę!

— Ale bo, dobrodzieju... toż gwałt!... Cesarz na południe przybywa!

— Nnie znam żadnego cesarza!

— Proboszczu, kochanie! Zlituj się — toż nie uchodzi! On do nas — z armią!

—; Nie znam! — powtórzył sucho ksiądz.

— Trzeba pńzecież po bożemu!

— Apage satanas!

— Proboszczuniu, dajże sprawę przedstawić!

—■ Nie znam żadnej sprawy! Bullę mam!

Imć pan Babecki uraził się.

— I mnie... odprawiasz dobrodziej?!

— Do kościoła żadnego nie wpuszczę, z ambony wyzwę!... Dosyć! Niema proboszcza! Niema kościoła dla bezbożników.!

Szczytowe okienko zatrzasnęło się z łoskotem. Pan naddzierżawca postał jeszcze przez chwilę, zaczerń westchnął i powlókł się do kancelaryi.

Niespodziewana opozycya proboszcza nietylko skwa-siła pana Babeckiego, lecz zgoła zburzyła wszystkie jego plany. Bo gdzież tu obejść się bez “Te Deum”, jak przyjmować bez procesyi, bez kościoła, bez krzyża, ha, i bez mowy!

Na szczęście, na tę chwilę przełomową, przywlókł się na wózku stary Danieleszczuk, co miał swoje zgoła na rzeczy patrzenie, a sam dawniej kapralował w artyleryi litewskiej, gdzie Sapieha mu kapitanił a Widmont poruczniczył — i ten, na wiadomość o uporze proboszcza, jeno wąsa szarpnął i kulami stuknął, a potem'rzeki krótko:

—• Bruździć się mu zachciało? Niech spróbuje — a my swoje!

Ta konkluzya ostatecznie usunęła z ceremoniału i kościółek i księdza. Regent Noniewicz mowę panu Babeckiemu wysztukował, a choć figura mocno kulała, lecz za to serdecznego zamachu tyle było w przemówieniu, że starego Danieleszczuka na wyrazie “imperator” sapanie napadało.

Wśród tego rozgwaru, zamętu- a gorączkowych przygotowań, jakiemi dygotały całe Wyłkowyszki, jeden pan ‘Andrzej nie miał dla siebie zajęcia —

nawet zgoła uczuł się pozostawionym samemu sobie. Z początku niby raz wraz szukano jego rady i wskazówki, ale, gdy przekonano się, ku wielkiemu zgorszeniu, iż wachmistrz szwoleżerów gwardyi nieświadom jest najprostszych przyzwyczajeń cesarza — zaprzestano zupełnie się nim zajmować.

Panu Andrzejowi markotno się narazie zrobiło — lecz powoli panujący dokoła rozgwar pociągnął go i jął wabić ku sobie.

Wachmistrz zajrzał do kuchni, do izb czeladnych i ze szczerem zajęciem zaczął przyglądać się dziewkom, wywijającym kopyściami, kurczętom i kaczkom, zarzynanym na gwałt, na żywa prawie z pierza obdzieranym, stolnicom, dygocącym pod naciskiem rąik, zarabiających ciasto, co tchu nastawianym garnkom, saganom i rondlom.

Pan Andrzej aż się rozśmiał z całej duszy do tych przygotowań. Strach, jak mu się widno w ise-rcu zrobiło. A có już kapłonom, którym nadzienie ładowano, ani mógł się napatrzeć! Ba, toż, jak żyje, nie widział takich pulchnych a żółciutko-białych piersiczek.

Udał mu się transparent, który zawieszono nad ganeczkiem, zajął.bardzo ruch, panujący w stajniach przyległego folwarku, gdzie koniom cesarskim gotowano przyjęcie, rozerwał zamęt w kuźni, w warsztacie stelmach, w stodołach, w śpichrzu, aż znów go dworek rodzicowy zwabił.

Przestronna sala, z pięknie a równo bielonemi ścianami, zawieszona dwoma portretami dziadów i ozdobiona kunsztownym kopersztychem, przedstawiającym porwanie Babinek, a przez wuja Dobkiewicza z Gdańska przywiezionym -—• zdała się panu Andrzejowi cale godną cesarza.

Wachmistrz rozejrzał się raz i 'dr,Uigi, zasiadł na wielkim fotelu, Włosienicą krytym i roześmiał się na całe gardło — a roześmiał się do myśli, że na tym samym fotelu, na którym on siedzi teraz, usiądzie niedługo on —- cesarz, robaczek!

Na tym śmiechu-przyłapał go głos ciątki Anny:

— Jędruniu! A ty co?! Ręce założyłeś, a choćbyś cokol-wiek pomógł!

— Owszem, ale nie wiedzieć!

— De, choć zobacz ! Sypialnia dla cesarza goto - wa! Uf! Rąk nie czuję!

Wachmistrz, tknięty słowami ciotki, ruszył do sypialni cesarskiej. 'Ciotka Anna podążyła za bratankiem.

— Chyba wszystko, jak się patrzy! Cztery poduszki — miękciejSzych w całem mieście nie znajdzie. Kołderka puchowa, kilimek przed łóżkiem, świecznik, miedniczka, mydełko stołupiańskie! Obacz, jak pachnie! Rosiałam na piernacie! A tu stoliczek, suknem obijany — by coniebądź drobiazgów położyć. Drewno do butów. Zasłonki nowiuteńkie w oknach. Prześcieradło wyprą wne Filipinki... Wiesz — Mysztowt się ożenił. A co ja się nagadałam ! Ot, i ma teraz dąsy!. . . Kwiatuszków ustawiłam kilka. To i chyba —■ co?

Wachmistrz, który z . zadowoleniem rozglądał się po pięknie ozdobionej komnatce, mruknął coś. Ciotka się uraziła.

— Jędrusiu, de -cóż ty chodzisz tak i bąkasz pod nosem?! Rzekłbyś coniebądź! Choć przekonałbyś się, czy mu nie będzie za twardo... Także maniera przyjechała. ,

Wachmistrz próbował się 'usprawiedliwić, — lecz ciotka Anna, obrażona, iż bratanek nawet na

jeden wyraz uznania się nie zdobył dla jej trudów, mignęła spódnicami i wybiegła.

Pan Andrzej, zostawszy sam, znów zaczął rozpatrywać sypialnię.

Zdawała mu się zupełnie przystojną a godną oczekiwanego mieszkańca. Ciotka Anna o wszystkiem pamiętała, niczego nie pominęła. Każdy przedmiot bił czystością. Nawet kubeczek kryształowy postawiła. Toż jego własny 'kubeczek — dostał go no chrzciny od Sołohuba! Ot, i z jego kubeczka będzie pił cesarz. Ot, szczęście! Gdzie o takiem szczęściu można było marzyć!

Im dłużej wachmistrz rozpatrywał się w sypialni, tern więcej rósł jego zachwyt dla zapobiegliwości ciotki Anny.

Naraz, w pełni zachwytu, wzrok pana Andrzeja padł na ścianę, ponad łóżkiem. Ciarki przeszły wachmistrza — ściana była pustą.

Pan Andrzej potarł ręką czoło.

— Jakże bo Jak! — myślał sobie. — Przecież coś by trzeba. Wiadomo! A to nawet nie.uchodzi. Łóżko, a nad łóżkiem goła ściana! Ot ciocia, a taką sprawę przeoczyła. Wierzyć się nie chce! Dopiero-by powiedzieli!

Ta pusta ściana poruszyła pana Andrzeja do żywego. !W pierwszym impecie chciał iść ciotki Anny szukać, lecz, zastanowiwszy się, zdecydował się sam rzecz załatwić. W tym celu poszedł wachmistrz na górę, do komnatki bocznej, na pięterku, którą niegdy zajmował, a gdzie stało jego własne posłanie.. I tu, z ponad posłania swego, zdjął, zawieszony na ścianie, obrazik z Ostrobramską i, ukrywszy go w zanadrzu mundura, chyłkiem do sypialni cesarskiej powrócił.

Tu wyciągnął ohrazik, ucałował go, rozśmiał się z ukontentowania i, namacaw°zy ‘wolny gwoździk nad łóżkiem —- zawiesił Ostrobramską. Zaczetn spojrzał na ścianę i poczerwieniał.

Cha, toć to jego własny Był obrazik, jego rodzony. Przed nim lata całe odmawiał pacierze, jemu pacholęce jeszcze zmartwienia powierzał. I przed tym obrazikiem dzisiaj, kiedy noc zapadnie, cesarz — sam ce sarz...

Wachmistrzowi w głowie się zakręciło, oczy mu mgłą zaszły, ugięły się kolana, twarz w kołdrę wtulił i beknął.

XII.

Było południe. 'Czerwcowe słońce, dosięgnąwszy swego podniebnego szczytu, ważyło się, bijąe złotem ognistych warkoczy, wszystko wokół prze-, nikając jasnością, wszystko żarem sycąc.

Wyłkowyszki zaległa cisza. Cisza osobliwa, nieznana idotąd ubogiemu miasteczku.

Ile ludu miały Wyłkowyszki, ile dusz żywych, ile serc bijących, tyle ustawiły ich na wąskich swych uliczkach, wiodących od stołupiańsklego traktu, aż do progów dworku imć pana Babeckieggo. Ustawiły, w dwa równoległe wyciągnęły pasy, środkiem zostawując równą, piaskiem i choinami usłaną, wstęgę drogi.

Droga ta dwa miała krańce, dwa'”uroczyste węzły, dwa punkty, ku którym raz po raz biegły spojrzenia.

Więc tam, na skraju miasteczka, kędy ubogie lepianki znaczyły granice stolicy dawnego niegrodoiwego starostwa, tam imć pan burmistrz Jeziorko-

wski, z ławnikami i gromadą, magistrackich, stał z odkrytą głową a ku dali spoglądał.

Imć pan ¡burmistrz srogą,miał minę. Cha, bo też niedarmo żupan a kontusz odświętny, wojewódzkiej barwy, wdział, niedarmo litym, słuckim pasem pękatą ściągnął figurkę, niedarmo wąsisków białych sobie nawosczył.

Ławnicy aż się zdumiewali. A żaden z nich ani pary ust — bo i ich czegoś okrutna zdjęła tężyzna. Kontusz iw kontusz, jak z igły, szenpentyny-staruchy, na rapciach się kołyszą, czupryny buńczuczne, w oczach płomienie, na uściech pogoda, a w krtani coś, co dławi, co głosu dobyć nie pozwala, co raz za razem do sięgania po kraciaste chusty niewoli, a co jakąś drogą sercu zadaje mękę.

Za ławnikami wyświeżeni kanceliści, a między nimi pacholę z bombiastą poduchą, na której dwa zamaszyste klucze.

Lecz cóż ta gromadka znaczyła wobec drugiego krańca ludzkiego pogłowia, wobec widoku, który przedstawiał modrzewiowy dworek imć pana naddzierżawcy.

Hej tam, jak Wyłkowyszki Wyłkowyszkami, podobnej nie było parady! Toż kiedy jaśnie oświecony Pac, starosta preński, fundator kościoła, na konsekracyę zjechał a fetę słynną sprawiał, nie było ni ćwierci podobnego przystrojenia. At—ani równać !

■Dworek pana Babeckiego girlandami się opasał, barwnemi chorągiewkami swe szczyty najeżył, transparentami a cyframi ozdobił, ganeczek kobierczykami usłał — a z każdego zakamarka aż bił, błyszczał świeżością i porządkiem!

Dopieroż przed dworkiem.

Na lewo ośmiu trębaczów szwoieżerskich. — Mundury, jak mleko, białe, amarantem znaczone. Czapy białe także. Od trąb łuna bije, mosiądz aż łyska lustrem, a haftowane płomienie chwieją się zlefcka pod trąbami a drżą.

Z prawej strony ganku, w dwa szeregi, warta honorowa. Szwadron spieszony Jerzmanowskiego. Pas granatu z amarantem. Białe kity, złote blachy na czapach, jasne spojrzenia, mur szabel, rzemienie wypolerowane, piersi naprzód, baczność i ani mrummru.

Przed szwadronem Jerzmanowski. Chodzi, pałaszem wlecze po ziemi, ostrogami brząka, po szeregach troskliwem okiem wodzi, a od czasu do czasu ku stopniom ganku podejdzie i parę słów zamieni z panem naddzierżawcą. Czasem żywszy weźmie udział w rozmowie, wszczynanej co i raz przez starego Danieleszczuka, a czasem zerknie w bok, kędy pod słupem stoi z gołą głową wachmistrz Babecki, i niedostrzegalny uśmiech prześlizgnie się po wojackiej twarzy szefa, trzeciego szwadronu.

A pan Andrzej stoi pod słupem, pogląda rozognionym wzrokiem, to się rozśmieje w głos, to znowu zafrasuje czegoś i zaczyna raptownie „Pod Twoją Obronę“ szeptać, niby się urokowi nieczystemu broniąc, to znów za rękaw się chwyta i szczypie samego siebie, jakby mniemając, że czas mu z tego słodkiego snu się zbudzić.

Gdzież oczom dać wiarę! On, wachmistrz szwoleżerski, stoi sobie luzem i na swój rodzony szwadron spogląda. Stoi sobie, niby szef, albo i lepiej! A tuż rodzic w karmazynowych wylotach, a tu i pani matka czepiec wstążysty zawaliła — nie wiedzieć! A tuż Filipinka, siosterka, w muślinie cała, buzia napudrowana, włoski skudłaczone i ubielone,

dwa loczki przy uszach, a tylko czubek nosa czerwony, jako i na codzień I A Danieleszczuk mało nie tryśnie, czuprynę gładzi i krzyża swego wojskowego a złotego co chwila dotyka.

Nikogo chyba nie braknie. Ot i ciotka Anna zielone, uroczyste swoje, rozpościera fałdy; ot i pięciu Giejsztorów, braciszków; ot i Łappów trzech, a każdy z jejmością i robaczkami, — i Mysztowt z Bazyliszek, i Sołohub z Duszkieli, i wuj Dobkiewicz, nawet stary pachołek, Stałgajtys, i to odświętnie przyodziany!... Uciecha! Gapić się, a bodaj na śmierć oczy wypatrzeć!

Słońce tymhczasem, napatrzywszy się do syta Wyłkowyszkom, jęło zsuwać się nieznacznie. Zebranych przed dworkiem opanował lekki niepokój. Imć pan Babecki do Jerzmanowskiego się podsunął.

— Nie widać?

— Bądź waszmość spokojny — rozstawiłem cały pluton, uprzedzą zawczasu.

Jakby naprzekór zapewnieniom szefa, hen, od krańca Wyłkowyszek, zerwał się nagle przeciągły pomruk.

Hej, jak okiem sięgnąć, aż po las ossyjski, jak najdalsze łany ogarnąć, tak już piędzi ziemi nie dojrzeć, skrawka łąki nie obaczyć, jeno wielkie, równe pasma ludzi i koni, jeno lasy lanc, jeno czworograniaste cielska potworów, błyszczących metalem, jarzących się barwami, skrzących się a przejmujących ciszę pól miarowym chrzęstem i tupotem.

•Mieszkańcy Wyłkowyszek stłumili oddech w piersiach i zdawali się upijać tym obrazem.

Aż naraz ktoś z magistrackich, stęknął:

■— Jezu!

I na to stęknięcie w wyłkowyszanach coś drgnę-

ło, coś ich poderwało, coś ich ku sobie pociągnęło, coś im ramiona do 'uścisków wyciągać zaczęło.

Zniknęły indygenaty, zgięły się urzędem wyprostowane karki, kontusze skoczyły do kubraków, sajety ido drelichów, zgrzebne płótna do muślinów.

I ściskał imć >pan Babecki Gierdziunasa, panna Filipina Stałgajtysównę, burmistrz kancelistę, rejent kowala, pani Babecka stelmachowę, Giejsztor szewczyka, szlachcic chama, cham mieszczucha, a co pan Jędrzej, to nawet Surze nie darował i z tymże zapałem ucałował i jej dziada Abramika i ospowatą Ryfcię.

Z tego dziwnego porywu wywiódł imć pana Babeckiego piorunujący głos Jerzmanowskiego:

— Na miejsca, do stu par dyabłów! Kareta cesarska nadjeżdża!

Przed dworkiem tymczasem zaszła niespodziewana zmiana, bo oto, jak burza, spadł generał Wincenty Krasiński, ze sztabem pułku szwoleżerów.

Imć (Babecki chciał witać generała, lecz Krasiński, rozgorączkowany, przejęty, ani zważał na gospodarza i jął miejsca oficerom swoim wyznaczać a Jerzmanowskiemu w ładzie bruździć. Aż to i owo zmieniwszy, zagadnął o wachmistrza.

Pan Jędrzej pośpieszył na wezwanie. Krasiński skinął łaskawie wachmistrzowi.

—■ Acan jesteś Babecki? Trzymajże się a dzielnie —■ honor pułku dźwigasz dzisiaj!

— Generale!

— Tak, tak! Dzielnie się spisałeś, jak mi powiadano. Baczźe teraz, aibyś wytrwał w przytomności !

Wachmistrz spotniał z, uciechy na te łaskawe słowa i już miał odrzec zamaszyście, gdy, w tejże chwili, na drodze swych ócz spotkał spojrzenie, któ-

re mu wszystką krew ścięło. Tuż za plecami 'Krasińskiego stał kapitan Załuski...

Pan Jędrzej mało nie zakrzyknął z alteracyi, lecz na szczęście, coś go chwyciło za gardło, tak, że ledwie bąknął — co znów generał poczytał za onieśmielenie.

— No-no, mości Babecki, ufam acaninej . dwór skości! Pięknie wykazałeś się dotąd — byłeś teraz mocno się trzymał. (Hm... kto wie! Oficerskie epolety — a przytem łaskawość cesarska przyszłość nielada może ci otworzyć... Zaprezentuijże mnie rodzinie!... Bardzom rad, bardzo!

Wachmistrz ani zrozumiał, czego odeń chciał generał — ale tu podsunął się w porę pan riaddzierżawca i syna z kłopotu wybawił. Sztab, otaczający Krasińskiego, za przykładem swego dowódcy pułku, jął zawierać znajomość z Danieleszczukami, Giejsztorami, Łappami, Mysztowtami i całą gromadą, zebraną pod gankiem. Przyczem major, papa regimentu szwoleżerów, Dautancourt, w zapale powitań, aż Stałgajtysa za rękę chwycił i uścisnął z przejęciem. A co adjutant-major, (Delaroche, jak zadzwonił ostrogami przed panną Filipiną, tak ani kroku dalej •— czem siosterkę wachmistrza niemało skonfundował, ile że jak na złość, cała jej kusztowna nauka francuskiego, którą przez laty od emigranta labusia powzięła, uciekła jej na taki koniec języka, że ani z niej bodaj wyrazu wspomnieć.

Pan Jędrzej tymczasem, straciwszy z oczu Za - łuskiego i obaczywszy, 'jako stary Danieleszczuk już kulami postukuje i o Dubience opowiada — odetchnął lżej i ku tyłowi .zrejterował. Lecz w tejże samej chwili przed ganek, jak wichura, spadł porucznik Niegolewski i Jerzmanowskiego doskoczył.

— Cesarz! — ostrzegł gromko szef.

— Cesarz! — powtórzono dokoła.

— Baczność! Oczy w prawoo! — rozległa się komenda.

Krasiński ze sztabem cofnął się ku trębaczom. Goście pana Babeckiego i domownicy skupili się. Naddzierżawca uniósł drżącemi rękoma chleb i sól na srebrzonym półmisku.

Ledwie przed dworkiem zdołano przybrać siaką taką postawę, gdy już granic miasteczka dosięgnęła wielka, poszóstna landara.

Burmistrz postąpił ku landarze, głowę pochylił, lecz landara, ani zważając na zamaszyste klucze na poduszce — sunęła w głąb uliczki.

Wylkowyszanie tyrń wjazdem impetycznym tak się czegoś wystraszył, że mimo wszelkie przestrogi, co i jak hukać a wołać należy, — oniemieli zgoła, a nawet czap, kapeluszy i jarmułek zapomnieli uchylić.

Landara śród głębokiej ciszy, a raczej śród własnego łomotania kół, przesunęła przez miasteczko, ledwie pozwoliwszy rozpoznać swe zielone, złotem bramowane pudło i pstry zawój, siedzącego obok woźnicy, mameluka — zatoczyła się pod stopy dworku pana Babeckiego.

Głusza ta trwał przez jedno mgnienie oka, wszystkim atoli zdała się nieznośnie długą, nielitościwie męczącą.

Aż szef Jerzmanowski pałaszem ku swemu śpieszonemu szwadronowi skinął.

— 'Prezentuj broń! •— Tuj — 'broń!

Ta komenda nietylko szwoleżerów wydarła osłupieniu, usłyszał ją i stary płatnerz, ustawiony na czatach przy wiwatowym moździerzyku, pojęły i tłumy wyłkowyszan i zebrana przed dworkiem szlachta.

— Vivat imperator; — ryiknął Danieleszczuk.

— Niech żyje! — zagrzmiały tłumy.

— Wiwajt! — zapiszczały głosiki żydowskich bachurków.

— Vive l'empereur ! — zabasowali szwoleżerzy.

Na wtór tym okrzykom pośpieszyły trąby i zagrały marsza pod przewodem sumiastego Duvelta.

Cesarz wysiadł z karety, przystanął, obrzucił bystrem spojrzeniem zebranych i zmierzał ku gankowi. Naddzierżawca mu drogę zagrodził Chlebem i solą. Cesarz się zatrzymał.

Imć pan Babecki, hamując głosu drżenie, zaczął z patosénj. :

—Cześć ci i' chwała, najjaśniejszy imperatorze, który jako on Aleksander. . . macedoński, na perską dążąc potrzebę, Hellenów zastępy złocistym. .,

Lecz w tem miejscu Napoleon przerwał mu raptownie.

— Très bien — très (bien!

Naddzierżawca łypnął pracowicie białkami, chcąc słowa cesarskie wymiarkować, lecz cesarz już go ominął i, postąpiwszy naprzód, dojrzał pana Jędrzeja.

— Eh bien, c'est votre fils celui-ci?.

Imć pan Babecki mało pómiska nie upuścił z pomieszania, czując, że znów do niego słowa są zwrócone.

Krasiński .pośpieszył z boku na ratunek. Było jednak już zapóźno. Cesarz wstąpił na ganek i, zwróciwszy się do wachmistrza, zakonkludował krótko :

— Prowadź-że mnie !

Marszałek Berthier, który, w ślad za cesarzem, wyszedł z karety, podążył za Napoleonem.

Zanim pan Babeciki spostrzegł się, cesarz z marszałkiem znikli w głębi dworku.

Przytomni temu powitaniu ani próbowali ukryć gorzkiego zawodu.

Tam,.w oddali, huczały okrzyki wyłkowyszan, którzy teraz lada śztabówczykowi nie żałowali wiwatów, trąby jeszcze grały zajadle marsza, płatnerz pukał raz przy razie z moździerzyka —• a tu naddzierźawca ręce łamał, pani Babecka płakała, a kto żyw, ten' krzywą stroił minę, nawet sam Krasiński brwi ściągnął.

Przyjęcie się nie udało!

A cóż dopiero, gdy niedobitek przywlókł się burmistrz Jeziorkowski z poduchą i kluczami i urywanym głosem opowiedział swoje niefortunne przywitańie. Wówczas już nie konfuzya, ale paśya desperacka zdjęła wszystkich. Stary Danieleszczuk aż kulami zaczął stukać a do odjazdu się zbierać. Giejsztory opadli naddzierżawcę z wymówkami, Dobkiewicz fukał burmistrza, pani Babecka lamentowała przed ciotką Anną, Mysztowt wspomniał na swój rankor do Sbłohuiba, „robaczki“ czuły się uprawnione do. kociej muzyki.

Rozgardyasz ten i zamęt trwał krótko, bo niebawem za landarą cesarską zaczęły nadciągać do Wyłkowyszek pojazdy generalskie, furgony z dworskiemi bagażami, wasągi, pełne służby, i kalwakaty sztabowców.

■Chwili czasu nie było do stracenia. Dwóch, kwatermistrzów z tłumaczem wzięło burmistrza w obroty. Lokaje cesarscy co najpotrzebniejszych dobywali rzeczy. Gromada oficerów zaległa ganek.

Państwo Babeccy aęi się spostrzedz zdołali, gdy dworek ich przeistoczył się w cesarską kwaterę, gdy Jerzmanowski zaciągnął warty dokoła, gdy

dziewka z kuchni zameldowała z przerażeniem, że jakiś czerwony drab porwał jej dwa kurczęta z rożna, gdy nakoniec samemu naddzierżawcy, chcącemu do dworku podążyć, wąsal, szwoleżerski zagrodził pałaszem drogę.

Kto wie, jakiby obrót wzięła nieświadomość obyczajów kwatery cesarskiej dla wyłkowyskiej gorącości gdyby Krasiński, którego wezwano do cesarza, nie był powrócił z oświadczeniem, że cesarz rad bardzo zgotowanemu przyjęciu i że nad wieczorem, życzy sobie jeszcze raz zobaczyć miejscowe władze i szlachtę.

Skąpa i sucha to ’była zapowiedź, tern przykrzejsza, iż wraz z nią przyszła .nowina, że casai"’ obiadować będzie sam, że kucharz cesarski sam wszystko przygotuje, że łóżko, tak pięknie zasłane przez ciotkę Anneę rozebrano i wyniesiono do ogródu, a w zamian ustawiono połowę, żelazne, — że kwiaty w doniczkach usunięto z sypialni, i że jeden stoliczek, suknem zielonem obijany, doczekał się zaszczytu, bo już na nim mapy rozłożono i szpilek weń nawtykano. '

Bolesne tó były wiadomości, lecz czasu na ważenie ich nie było. Za radą Krasińskiego, stoły wyniesiono na folwark sąsiedni do stodół i tam jadło gotować zaczęto. Martwiła się pani Babecka serdecznie, a nie kryła złego humoru, dowodząc, że po takich, racuszkach, nawet choć sobie i Napoljon a palceby oblizał ! Naddzierżawca niby zabiegał około wszystkiego, niby gęstą miał minę, a przecież wzdychał z cicha a postękiwał, osobliwie, gdy nikogo w pobliżu nie Ibyło. Humor taki bodaj że całe ogarnął miasteczko.

Godziny upływały. Fala żołnierzy zalewała miasteczko, otaczała je, przepływała przezeń. Łany

zbożne, łąki inieścięte nikły pod kopytami końskietHi, pod obozowiskami. Stagi siana topniały w oczach, ubogie przednówkowe zapasy ginęły. Porucznicy wydawali rozkazy w śpiżarniach, kaprale komenderowali garnkami wyłkowyszan.

A dworek pana naddzierżawcy stał tymczasem milczący, głuchy, na chwilę nie zmniejszając liczby wyczekujących na ganku oficerów, monotonny nawet w przyjmowaniu i wyprawianiu kuryerów, w całym swym dworsko - wojskowym ceremoniale, w nieustannych szeptach świty.

Goście a krewniacy pana Babaeckiego, napatrzywszy się do syta i sztabowi cesarskiemu i urzędnikom i sługom i uniformom rozmaitym, a nie mogąc doczekać się ukazania cesarza, nie dali sobie powtórzyć zaproszenia naddzierżawcy, który do stodół wzywał.

IW' stodołach wnet zrobiło się rojno i gwarno. Oficerów różnej broni, jak nabił. Generał Krasiński, kogo mógł tylko z dostojników, wolnych od służby, sprosił i, wraz z panem Babeckim, honory im czynił. Mundury i akselbanty zmieszały się z kontuszami, obsiadły ławy i ze wzrastającym humorem a komitywą do jadła i napoju się zabrały.

Ciężko szła rozmowa z początku, 'bo nikt prawie z miejscowych francuzkiego nie znał. Ale Krasiński z Jerzmanowskim, zręcznie oficerów szwoleżerśkich rozmieściwszy, niejako -tłómaczów obustronnych ustanowili.

Kulawo się zaczęło, lecz już przy pieczystem de Segur mówił „pane“, Mysztowt „mosie“, Rapp „fino“, 'Sołohulb „łuj“, Flahaut przypomniał sobie ,,'kleba nirna“ jeszcze z pod Friedlandu, a Danieleszczuk po trzecim kielirhu, klął na „nom de chien“ zamiast na „psia kość“.

Państwo Babeccy obchodzili stoły, sumitowali się ze skromności podania, a zachęcali do jadła i napoju, choć nikt się wzdragać ani droczyć nie myślał. Jedni może co młodsi oficerowie szwoleżerscy byli tu w konfuzyi i opałach nielada, widząc dokoła takich potentatów, jak Monthion lub iRapp, a będąc zmuszni do tłómaczęnia im obcesowych komplimentów i stanowczych racyj braci szlachty. Ba, toż sam generał Krasiński znalazł się w niemałym kłopocie, gdy stary Danieleszczuk rąbnął Monthionowi, że Napoljon, choć wielki wojownik, ale niepolityczny, bo nosa zadziera i po kątach się chowa.

Monthion z ugrzecznieniem poprosił Krasińskiego o przekład. Generał szwoleżerów zmieszał się, lecz przytomny temu Chłapowski skręcił odpowiedź. Monthion trącił się łaskawie z Danielszczukiem — ale stary w lot poznał kłamstwo, obruszył się i huknął :

— Nosa zadziera — powiadam! To mu wytłumaczcie !

— Wytłumaczyłem ! — zapewnił Chłapowski.

Nie z takimi byłem w komitywie! Króla jegomości wybierałem! Ja wybierałem! Nas, samych Danieleszczuków, było piętnaścioro ! A waćpan, mości generale, czem się pieczętujesz?

— Quoi —• zagadnął Monthion, widząc, że stary znów się doń adresuje.

Danieleszczukowi zaszumiało w głowie.

—■ Kula? Hę?! No, takiego herbu, to i na świecie niema !

— Aż, mości panie !

Stary uderzył pięścią w stół.

— Niema, nom de chien, i dosyć ! Nie było żadnej kuły, niema i nie będzie !

— Waépan nie rozumiesz! — przerwał pośpiesznie Krasiński.

— Hola, mości generale! Mleko waści po brodzie ciepło, kiedy w artyleryi sługiwałem, gdzie Sapieha kapitanił, a Widmont porucznniczył ! A imć pan Kazimierz Puławski? Drewiczowego ołowiu wąchałeś ! Hę *1* ! Po sobie uszy !

— Dobrze gada! Wiwat Danieleszczuk! —podtrzymał rejent Noniewicz.

— Wiwat! — zawtórzyła szlachta.

-—- Co to ? ! Jakto?! Co?! — zaszemrali francuscy oficerowie.

Krasiński pobladł, Chłapowski zachłysnął się, lecz tu Jerzmanowski zawołał po francusku:

—■ Zdrowie najjaśniejszego pana! Zdrowie wielkiej armii!

— Vive l’empereur! Vive la grande armee! —■ ozwali się gorąco oficerowie.

—■ Wiwat Dubienka! Niech żyje Danieleszczuk! — upierała się szlachta.

Okrzyki obustronne zagłuszyły różnice wiwatów. Oficerowie francuscy dali się porwać zapałowi szlachty — szlachta rozumiała znów, że właśnie dla swych sentymentów tak piękny znalazła oddźwięk. Oficerowie szwoleżerów zaś, instynktem kierowani, obu przyświadczali stronom.

Danieleszczuk tymczasem, którego ta owacya za serce chwyciła, zmiękł raptownie, nosem pociągnął i w ramiona generała Monthion chwycił.

— Pyska, generaliku, serdeńko ! Nie dam pardonu! Tyś generał, a jam konfederat! Miej sobie Ąwie “Kuły” w herbie w szczypiorkowem polu, a dawaj gęby! Niech żyje “Kuła!”

— Wiwat! —■ przyświadczyła sżlachta.

Monthion nadąsał się, lecz, objaśniony przez Krasińskiego, że taki tu obyczaj — poddał mu się.

Danieleszczuk się rozochocił i-do Rappa przypadł. Eapp, słabszej głowy, czulej wylanie przyjął.

Mysztowty, Sołohuby, Giejsztory, Dobkiewicze i cała gromada szturm przypuściła do francuskich mundurów.

— Bodaj was! — "Wiwat! — Psianogi! — Przylepne oficerki!

Dopieroż kiedy, śród zamętu, kapitan major szwoleżerów, Delaroche, który pilnie pannie Filipinie asystował, bęcnął szerokim całusem po łapce panny naddzierżawianki. Dopieroż, jak gromada oficerska, za przykładem Delaroche’a, rzuciła się ku pannie Filipinie. Aż ci hałas był od pucania.

A panna Filipina oszołomiona, z napudrowanemi loczkami a umączoną, chudą buzią i szkarłatnym czubeczkiem noska, jeno się słaniała, oczka mrużyła a pokrzykiwała smętnie a śpiewnie.

— Ach, pardon! Ach, nie wiedzieć! Ach i jeszcze?!

Kozietulski okiem łypnął.

—- Messieurs! Attention!

Francuzi uciszyli się i zwrócili do mówcy, szlachta dalej huczała. Kozietulski pokraśniał.

— Milczeć tam do stu piorunów. Niech powiem tym zatraconym, morowym cholerom francuskim!

Szlachta na to zawołanie Kozietulskiego, na dźwięk metalem bijącego głosu, jeno kiwnęła się i przyznała z sercem:

— Niech powie cholerom! Niech wiedzą!

— Ani pary teraz! Myrgaj' ślepiem, kiedy rozumem nie chwycisz! — ostrzegł szef drugiego szwadronu i rąbnął, w krótkich słowach, po francusku : — My, szwoleżerowie, dwojakie dzisiaj obcho-

dzimy święto ! Bo nietylko po raz pierwszy, od wymarszu, rodzinnej dosięgnęliśmy ziemi, nietylko sami gospodarzami się tu ezujemy, lecz nadto gościmy was pod dachem rodzicielskim naszego wachmistrza^i-nadto my, cały pułk, sami jego jesteśmy gośćmy! Patrzcież. y^ywędrował żołnierzyk z rodzinnej ziemi w zaświatyy^gywędrował nie po zaszczyty. .. Wziął krzyżyk somosierski, wziął dwa pchnięcia i kulę, i wraca... I cóż przywiózłrodzonym, jakiż dźwiga podarek? Inni epoletami się wystroili, akselbantami a buljonami — a on, miast tych godności, ojcowiźnie swej miłowanej przywiódł w dom tego, który tu od lat był i mytem, i pragnieniem, i wiarą, i nadzieją, i zbawieniem !... Tego więc szczerego żołnierzyka wnoszę zdrowie! Niech nam żyje wachmistrz trzeciej kompanji, trzeciego szwadronu szwoleżerów gwardyi!

— “Vive le maréchal de logis!” ■—■ zawołali Francuzi.

—■' Zdrowie pana Jędrzeja Babeckiego ! -— ktoś ostrzegł szlachtę.

— Wiwat Jędrzej Babecki! Wiwat trzeci szwadron ! Wiwat szwoleżery !

— Dawać go tu !

— Gdzie pan Jędrzej? Gdzie wachmistrz? — zawołali biesiadnicy.

Kilku domowników rozbiegło się szukać wachmistrza, lecz nie było to łatwem zadaniem. Pan Jędrzeja bowiem, wprowadziwszy cesarza do dworku, na znak, dany mu przez mameluka, wysunął się pośpiesznie bocznemi drzwiami do ogródka, a stąd, wspomniawszy na Załuskiego, chyłkiem, nad brzegiem Wyłkowyży, do obozowiska szwoleżerów przypadł.

Tu zjawienie się Babeekiego powitano gorącemi okrzykami — a sam kapitan Hermelaus Jordan, służbę obozową sprawujący, w ramiona go wziął i ucałował. Po krótkich eksplikacyach, pan Jędrzej się spostrzegł, że wypadało mu czemś kolegów uczęstować,, i zabrał się, bez mitręgi do dzieła. — Więc trzech zuchów do pomocy sobie wziął i dalej z nimi do loszka, pod górką, zaglądać, baryłeczki toczyć, serki z suszarni matczynej wybierać, a powoli wszystkie, bez mała, zapasy gospodarskie do połowy zmniejszać.

Nie dość na tern. Kiedy już zapasów matczynych nie stawało, a podstarości, dojrzawszy rabunek, alarmu narobił i żerujących szwoleżerów spłoszył, wachmistrz na miasteczko się puścił. Znał przecież każdą kamieniczkę, każdą chałupkę wyłkowyską! Imć pan Jędrzej nie namyślał się długo, co i jak poczynać. Od proga do proga, od sieni do sieni, od drzwi do drzwi chodził, kołatał, a co się dało, brał.

W. obozowisku szwoleżerskim okrutna zapanowała uciecha. Ba, toż byli tacy, którzy od lat pięciu kawałka uczciwej kiełbasy nie mieli w gębie, gomółki nie oglądali, a co o miodzie, zapomnieli, jak smakuje.

Wachmistrz słał a słał coraz to inny prowiant. Ale pułk szwoleżerów otchłanią był, przepaścią. Zapasy nikły w oczach, a choć je sprawiedliwie dzielono nie starczyły. Co prawda, nie szwoleżerowie- byli temu winni, lecz ich wyjątkowa sytuacya. Jak tylko bowiem między nimi pierwsze rozległy się wiwaty, z ubocza, z sąsiednich pułków jęły się ku nim skradać ciekawe gromadki grenadyerów, strzelców konnych, kirasjerów, mameluków nawet.

Straż obozowa chciała usunąć natrętów, Her-

melaus Jordan nie pozwolił i huknął na najbliższych żołnierzy:

— Samoluby, od morza do morza! Gości macie! Dalej, chłopcy — czem chata bogata! Niech źrą, niech piją! Niech wiedzą, smarkacze, od morza do morza!

Słowa Jordana padły na szwoleżerów, niby skry na zeschłą strzechę. Wzięto kamratów francuskich między siebie i hejże ich raczyć.

Stąd, kiedy w stodołach rozległy się hasła: “dawać pana Jędrzeja!” — gdzie “marechal de logis!” — odrazu sto sprzecznych odpowiedzi padło: “w miasteczku!” — “w karczmie!” — “przy obozie,!” — “u Abramka!” Z drugiej strony jednak osoba wachmistrza stała się już tak popularną, że, w niespełna kwadrans, rozesłani szwoleżerowie ucapili pana Jędrzeja w bocznej uliczce, dźwigającego dwa połcie słoniny i kobiałkę jaj kroczącego na czele nie mniej suto obładowanej gromadki towarzyszów.

Próżno się wachmistrz bronił a zaklinał a błagał o litość dla słoniny, dla jaj, które już chlebotać skorupami zaczęły — szwoleżerowie nie dali mu folgi, aż go między biesiadującymi stawili.

Ukazanie się pana Jędrzeja w stodołach przyjęto wybuchem ukontentowania. Do wachmistrza wszystkie naraz wyciągnęły się ręce, wszystkie ku niemu zwróciły ramiona.

Aż kiedy Kozietulski, który okrutnie szybko umiał kielichy osuszać, zagrzmiał piorunującym głosem:

— Kość z kości, krew z krwi, bebechy nasze amarantowe, somosierskie, zatracone... — to, choć papa regimentu, gr ósma jor Dautancourt, ani słówka nie zrozumiał, o co Kozietulskiemu chodziło, a

przecież w głos bęknął. Szlachta, jak jedna pierś, załkała, a oficerowie jeno pobrzękiwali pałaszami a oczyma rozbłyszczonemi mrugali.

A imć pan Jędrzej głowę zwiesił i kapał łzami po połciach słoniny i śmiał się śmiechem serdecznym.

Naraz, do stodół wpadł porucznik Niegolewski i ostrzegł groźnie:

— L'empereur — cesarz!

Zebrani ledwie zdołali się opamiętać, gdy Napoleon wszedł do stodół, mając za sobą Berthier'a i Duroc 'a.

Cesarz spojrzał ku zebranym, dostrzegł generała Sokolnickiego i skinął ku niemu.

— Gdzież ten wachmistrz? Gdzie Babeeki?

Sokolnicki pociągnął za ramię pana Jędrzeja.

Napoleon uśmiechnął się łaskawie.

— Jesteś, zuchu! Jestem kontent z ciebie... A cóż tu masz na sobie?

— C'est pour les camerades, sire!

— Bardzo dobrze ! Gdzież twoi rodzice ?

Państwo Babeccy wysunięci zostali przez Jerzmanowskiego z gromady.

Cesarz skinął, aby się zbliżyli. Sokolnicki stanął tuż za tłumacza.

— Dziękuję wam! Wihszuję poczciwego, dzielnego syna!

Naddzierżawca pochylił się do nóg Napoleonowi.

— Imperatorze !. A Zbawco nasz !... Nie opuszczaj !

Bonaparte, odebrawszy tłumaczenie z ust Sokolnickiego, skrzywił się z lekka.

— Hm! A któż tu więcej z okolicy?

Sokolnicki zaczął prezentować szlachtę. Gdy

przyszła kolej na Danieleszczuka, Napoleon zwrócił uwagę na jego szczudła i krzyż złoty.

— Dawny żołnierz ?!

— Artylerzysta! — odrzekł ze wzruszeniem Daniel eszczuk.

— Byłeś w. kampaniach ?

—- Pod Puławskim, pod Kościuszką!

— A — Kościuszko ?... Dobry żołnierz, ale zły polityk! Hm! Od tego czasu zmieniło się wiele w sposobie wojowania! Nieprawdaż?

— Odkąd Napoleon wszystkie zwycięstwa sobie zarekwirował!

— Che-ehe, myślisz! Miło mi was, starego żołnierza, poznać! Widzę, że zapału ci nie braknie!

— To nie zapał, jeno cholera, najjaśniejszy panie!

— Jakto? co?

— Z uprzykrzenia, że nam tak długo kazałeś siedzieć na tym wykrawku Rzeczypospolitej.

— Sami sobie jesteście winni! Ofiar potrzeba, żołnierza, tysięcy rekruta! Poczciwie myślisz — ale nie wszyscy tacy u was! Wiem, mam dowody!

Danieleszezuk poczerwieniał.

— A czyja w tern wina? Deklaruj Rzeczpospolitą, najjaśniejszy panie! Przemów sercem — z grobów wylizą nieboszczycy, baby z pazurami pójdą!

Cesarz położył rękę na ramieniu Danieleszszezuka.

— Żołnierz w tobie się ozwał! Dobre gniazdo te Wyłkowyszki! Za Niemen idę, za Niemen —• tem chętniej, iż was takimi widzę...

Sokolnicki, ze drżeniem w głosie, przełożył bonapartowe słowa.

Szlachta drgnęła. Danieleszezuk za rękę cesarza chwycił.

— Napoljonku — eesarzyku — serdeńko! — pisnęła pani Babecka.

— Bierz — prowadź — morduj ! — jęczał Danieleszczuk.

— .Wiwat imperator !

— Niech żyje on, nasz, rodzony!

— Szwadron ochotnika, waćpanowie !

— I za nim !

— Vive l’empereur!

— Braciaszki, pozwólcie, niech się tknę!

— Na ramiona go !

— Wiwat! (Wiwat!

Tu nastąpił taki zamęt okrzyków, wiwatów, zawołań i taki ścisk dokoła osoby cesarza, takie darcie się gwałtowne do rąk Bonapartego, że aż generałowie musieli otoczyć Napoleona, aby mu drogę utorować i uwolnić od nadto gorących objawów miłości.

Po oddaleniu się cesarza, w stodole uciszyło się nieco, lecz na krótko, !bo rozogniony Danielszczuk kulami stuknął i zadecydował raźno.

— Moćpanowie ! Kiedy jużeśmy się do publiciś rozgadali — to teraz hejże muzyka ! Polskiego' ! !

Myśl przypadła wszystkim. Sprowadzono szwoleżerskich trębaczów z Duyeltem na — czele — i dalejże !...

Noc zapadła.

Niebo roziskrzyło -się, księżyc płynął śród szafirów firmamentu. Wyłkowyski drżały jeszcze od rozgwaru.

Światełka gasły. Muzyka w stodole ucichła. Towarzystwo rozpadło się, rozproszyło. Jenerałowie poroźchodzili się prawie wszyscy. Sztabowcy tam i sam, przycupnąwszy, kartami się zabawiali. Szlachta częścią już chrapała pokotem na sianie, a częścią

miodkiem się krzepiła a roiła o cudach dnia- jutrzejszego.

Pó ogródku pana naddzierżawcy snuły się cienie rozśmiane, rozmarzone, zalegały podlipne ławeczki, docierały aż do miejsca, kędy kręta wstęga Wyłkowyży z Szyrwintą się brata, w jedno srebrne pasmo zlewa.

A już najgwarniej, najmilej było tam, kędy panna Filipina rozpostarła pod jaworem, na darninie, swe białe falbanki, i gdzie ad jutant major Delaroche, sekundowany dzielnie przez szefa szwadronu, Seweryna Fredrę, porucznika Niegolewskiego, chirurga Girardota i kapitana Hempla, kwieciste sypał komplementy. Tu sześcioro serc biło przyśpieszonem tętnem, sześcioro ¡.serc odzewu szukało dla. siebie, kołysało się tchnieniami nocy czerwcowej, poiło aromatem jaśminów i akacyi, okwitających a jeszcze mocnych, zawrotnych — i z ust rwało sobie wzajem słowika tęskliwe.

'Naraz, w gęstwinie, słowik, maj wspomniawszy, uciął tryl smętny, lecz, snąć skonfundowany trzepotaniem się rozczmychanej swej jejmości, postrzegłp że czas uiurzecze4Î-&twa—minął,- bo—u-ndlk

— Jaka szkoda ! Quel dommage ! — szepnęła panna Filipina.

— Pani nie śpiewa? — zagadnął Delaroche.

— Très peu! Dawniej. .. trochę przy gitarze.

—■ Niech pani nie odmówi! — Je vous’en prie, mademoiselle! ■—- Panno Filipino! -— Nie godzi się odmawiać ! — natarli oficerowie.

— Ależ, ma foi... nawet nie umiem nic... Dawniej, czasem sama z siebie coś układałam...

— Musi pani zaśpiewać ! — zawyrokował Hempel.

— Musi — nalegał Fredro.

— Panowie! Ach... nie wiedzieć!

—■ Gdzie ¡gitara? — badał natarczywie Niegolewski.

— Na pięterku, na ścianie... Ale doprawdy, panowie, ja nie mogę. .. nie potrafię... kwinta się zerwała.

— Szef Fredro zwiąźe.

— Chrypkę miałam niedawno. ..

—■ So to kripka? — zagadnął łamanym językiem Delaroche, który, narówni z Girardotem, pretendował do znajomości polskiego języka.

— Fajka — la pipe, chrypka — la grippe! — objaśniała panna Filipina, rada, że znalazła sposobność zwrócenia rozmowy.

Oficerowie jednak nie dali się zwieść, złamali opozycyę? zaklęli pannę Filipinę i gitarę sprowadzili. Fredro kwintę sztucznie związał i stroił instrument.

Tu gitara, trącona przez popchniętego z tyłu Hemplą, zabrzęczała fałszywie — a równocześnie pod jaworem rozległ się donośny głos generała Sokolnickiego.

— Panowie ! Rozkaz cesarski ! Rozkaz dzienny do armii !

Oficerowie skupili się Wokół Sokolnickiego.

— Światła dajcie ! — Pochodni ! — Rozkaz !

— Szwadron służbowy ma pochodnie !

— Do Jerzmanowskiego !

Kilku poruczników rzuciło się na prześcigi szukać pochodni. Równocześnie pod jaworem ze wszech krańców^ ogrodu jęto się kupić.

Krasiński, który tu także nadszedł, zagadnął Sokolnickiego- :

— O czem rozkaz? *O* czem?!

Sokolnicki potrząsnął trzymanym w ręku papierem i szepnął:

— Rozkaz! Rozkaz dla nas — dla wszystkich!

— Są pochodnie! — Dawać! — Bliżej! — zawołano z 'boku.

Dwóch szwoleżerów z pochodniami stanęło u ramion generała.

'Pod jaworem cisza zaległa.

Sokolnicki podniósł papier do oczu i wpatrywał się weń, i przybliżał, i oddalał, i szeleściał papierem a głosu dobyć nie mógł.

Lekki szmer zniecierpliwienia rozległ się dokoła.

Sokolnicki dźwignął głowę. Wyrazista, ostro ryta twarz generała, w krwawem świetle pochodni, jakimś oślepiającym biła blaskiem, jakąś nieznaną po.tęgą gorzała.

— Mości panowie ! Rozkaz 1 — „Soldats! La seconde guerre de Pologne est commencee.. .“

Sokolnicki urwał nagle. Łza wielka z pod powieki generała padła na papier. Zebranym oddech zamarł w piersiach.

IWte-m -ktoś w głębi stęknął:

— iBoźe, bądź miłościw!

I tuż, za tem stęknięciem, z piersi, skupionych pod jaworem, zerwał się okrzyk szalony, pijany szczęściem, łkaniem chroboczący, nieprzebrzmiały.

XIII.

Ukontentowanie gwardyj cesarskich z buletynu było niezmiernem, nie -dało się atoli porównoć z istnym szałem, -który ogarnął pułk szwoleżerów! Dość powiedzieć, że tak zamaszysty oficer, jak kapitan Hermelaus Jordan, ¡który tego dnia właśnie

pełnił obowiązkową słubę, rady soibie nie mógł dać z utrzymaniem ładu. Tembardziej, że i jego samego do wiwatowania zrywało, a tu żołnierze, zaprowidowani znów przez Babeckiego, nie na żarty gorzałkę ciągnęli.

Jordan gromił, burczał, groził lecz w ostatku, utrudzony daremnymi zabiegami, służbowego posterunku dopadł, gdzie porucznik Floryan Gotartowski wartę ze swoją kompanią pełnił.

— Florek, od morza do morza, pilnuj mi tego Babeckiego, bo nam chyba szkapy rozpije!

Gotartowski uśmiechnął się pobłażliwie.

— Generał pozwolił.

— Oszalałeś ! Główna kwatera pod nosem, niech który po pijanemu na sztabowczyka wlezie!

—■ Wzmocniłem warty.

— Tfy! Niech się dzieje, co chce!... To ci szczęście, służbę w takim dniu odbywać i oblizywać się smakiem !

—■ Jutro za to nasze!

— Co mi jutro! 'Mnie dziś, od morza do morza, gęba zaschła ! A urwisz, Litwin, ani o nas wspomniał! Czekaj! iKto tu sam!... Babecki, do milion! Jesteś acan — mam cię nareszcie!

— Właśnie chciałem prosić pana kapitana o pozwoleństwo, aby jeszcze jedną baryłeczkę... Ósma kompania ani powąchała — a warta nie puszcza do obozu.

— I dobrze robi ! Dosyć, ani kropli !

— iPanie kapitanie', toż przy takiem święcie. ..

— Skończone! Stój, czekaj, od morza do morza! Będziesz miał przepustkę, ale dasz, braciszku, myto — gąsiorek węgrzyna dla służbowego posterunku.

Wachmistrz zafrasował się. Kapitan nastroszył wąsy.

•— Phi — takiś duszika!

■— Bo, panie kapitanie, choć kogo rznąć, niema. ..

— Co to? jakto?.Będziesz, mi powiadał, że w ■Wyłko Wyszkach kwarty rzetelnego picia nie znajdzie, !

Jordan nasrożył się tak, że Babecki, znając porywczość kapitana, umknął coprędzej.

Ta niespodziewana odprawa zusmuciła wachmistrza, ile że porucznik Dobiecki, rotami dowodzący a obchodzący obozowe straże, zapowiedział stanowczo Babeckiemu, że bez pozwolenia kapitana, ani kubka gorzałki nie wpuści. Więcej zaś bodaj zasmuciła wachmistrza niemożność zadowolenia Jordana. Komu jak komu, ale kapitanowi Hermelausowi Jordanowi z całej duszy radby był wygodzié, a tu ani weź.

Piwniczka rodzicowa prawie że wyschła, w mieście brakło już nawet chleba, licho wie, gdzie miód był jeszcze albo gorzałka, a dopieroż węgrzyn.

I wachmistrz powiódł się ociężale za obóz, ku brzegowi Żejmśny, gdzie w sitowiu pozostawił był pomagających mu w przewożeniu szwoleżerów, Kuliga i Tomka Wysockiego.

Tomek, na widok wachmistrza, wysunął się z sitowia.

— Można, panie wachmistrzu?

(Babecki machnął desperacko ręką.

— Nie puszczają. Baryłka musi zostać do jutra!

Szeregowcy stracili rezon.

— Ćie, zachciało mu się po północku ! ■— bąknął niechętnie Kulig.

I •—• jeszcze węgrzyna!

— Tedy *cóż*, panie wachmistrzu, z pustego nie naleje! —, zauważył filozoficznie Kulig. — Żeby to gdzie na obczyźnie, to aby ze trzy „fałdy“ w kącie nacisnąć, a marcepanyby się znalazły !

Babecki szarpnął się.

— (Ot ci rada !

Żołnierze umilkli potulnie. Babecki na murawie przysiadł i znów się zaczął fię frasować.

— Et — szczęście ! Komubym .rad bodaj wszystko — juźci Jordanowi! Pod Wagram! Żutko wspomnieć !

— Osobliwe miastp, panie wachmistrzu ! — zauważył Wysocki. -— Luda sporo, dobytku na oko nie pomału, szlachty gromada spora, a z węgrzynem bieda!

— Bajdurzysz, kochanieńki. U nas miodna strona. Jest miód, więc jest trunek. A wino to aby dobrodziejowi do Mszy świętej starczyło!

Wysocki -uderzył się pięścią w czoło.

— Panie wachmistrzu, toż nie-byliśmy jeszcze na probostwie !

—■ Hę ! 'N'a probostwie, a tam popatrzysz ! — bąknął wymijająco Babecki.

— Sprawiedliwie nie byliśmy! — przyświadczył Kulig.

«—■ A juści, probostwo na starostwie niegrodowem musi tęgie !

Babecki trzasnął niecierpliwie palcami.

— Tomek! De -u nas Kociełł proboszczuje! Rozumiesz?

—■ Rozumiem ,panie wachmistrzu, ale chyba kocioł z krwi i ciała, więc loszek musi mieć.

Babecki obruszył się.

— Wypluńże głupią myśl! Powtarzam ci, Kociełł proboszczuje. Nie wiesz? Nawet strach rzec, ma swoje widzenie... nawet zgoła nam tu wszystkim niechętny. ..

— Proboszcz ! — ksiądz?!!...

— Pssyt! Aby komu, uchowaj Boże, nie powiedzcie ! .Stary człek, zawzięty! .Bullę mu papieską nadesłali, ¡bullę z przekleństwem na cesarza! Zaryglował się na moc. Ani słyszeć chce o czem!

— Że też pan wachmistrz pozwolił na takie grymasy księże!

— Nie ma co, żutko i mnie i całym Wyłkowyszkom, ale stary człek i w dodatku Kociełł! Sto koni zaprzęgaj a Kociełła, jak się uprze, z miejsca nie ruszysz!

— A loszek pewno ma!

— I ładowny •— tylko nie przystoi. On sobie *i my* sobie, bez łaski. Prosić, sumittować się...

— Bez tego mogło by się obejść.

— Kulig! Mszalnego wina nie szanujesz!

—; Póki na legarach — takie dobre, jak każde inne.

Babecki zmiękł raptownie.

— 'Wam się zdaje? Gdyby można nieznacznie...

— Panie wachmistrzu, klnę się, że ani pies nie warknie! A co to będzie za uciecha! Bo choć kapitan nie z naszego szwadronu, ale bodaj źe każdemu najserdeczniejszy!

— Pan wachmistrz zna drogę?

— Hm! Nie sztuka znać, tylko źe nie uchodzi, tak i nie uchodzi — bronił się nie szczerze Babe,- cki, którego złe kusić zaczęło.

■Kulig z Wysokim umieli atoli wyzyskać poufałość, do której doszli z wachmistrzem, podczas pomagania mu w zbieraniu prowiantów, i tyle dokazali, iż Babecki zdecydował się pokazać im ¿bliska plebanię i tem samem przekonać ich naocznie, Że wszelki zamach na księży loszek był niepodobieństwem.

Jeżeli jednak Babecki ruszył w stronę -probostwa z przeświadczeniem, że spełnia obowiązek przekonania niewiernych Tomaszów, Wysocki myślał o natoczeniu nieznacznem odrobiny wina, zaś Kulig żywił chęć bacznego rozejrzenia się w zawartości loszku...

■Gdy się to działo, plebania tymczasem w głuchem trwała milczeniu, i to od stanowczej między księdzem, a panem naddzierżawcą rozmowy. —• Wprawdzie o zachodzie słońca, jak zazwyczaj, ozwała się sygnaturka na Anioł Pański, lecz tak cicho, tak nieśmiało, tak zresztą smutnie, wobec rozgwaru i wesela, którem Ibrzmiały Wyłkowyszki, że ślepiec - dziad, od lat piętnastu pod kościołem siadujący, dźwięku sygnaturki nie słyszał i ledwie na noc szczerą do legowiska swego się docłapał.

■O ile przecież plebania zachowała zewnętrzne pozory martwoty, o tyle wewnątrz, do późnego wieczora, wrzała niebywałym zgiełkiem. Ksiądz bowiem, choć trwał w postanowieniu usunięcia się od wszystkiego, co miało-łączność z wyklętym cesarzem, wiedzieć chciał, jak daleko zajdzie zapamiętanie Wyłkowyszan i na ten koniec zaimprowizował sobie obscrwatoryum.

Ile dymników liczyły zabudowania plebanii, ile otworów miały w szczytach, tyle stanowisk strażniczych uformował proboszcz i ze stanowisk tych,

za pośrednictwem starej IBruikalskiej, odbierał przez dzień cały wiadomości.

Była tych wiadomości liczba nieprzebrana i dość dziwacznych, lecz nie mniej przekonywujących, źe .Napoleon z całym mrowiem siepaczów nad iSzyrwintą zapadł i żeruje sobie, nikczemnie sekundowany przed naddzierźawcę i burmistrza.—■ Pod wieczór juźci strażnice na plebanii zaniechały posterunków. Nawet sam organista z dzwonnicy zlazł i do proboszcza po instrukcye przyszedł.

Ksiądz na widok organisty, jeno brwi mocniej ściągnął.

•—• Nic — precz! Ani mi powiadaj 1 Ani się który ozwij! Kubka wody, kęsa chleba nie godzi się. Pod przekleństwem są i oni wszyscy z nim! Do dnia cichą mszę odprawię — i ani się kto pokaż!

Organista wysunął się po cichu z księżej komnatki.

Proboszcz przeszedł się kilka razy, mruknął coś groźnie pod nosem, a wreszcie padł na kolana przed Ostrobramską i modlił się długo, a żarliwie. Poczem wstał, przeżegnał się i do sypialki podreptał.

Snąć niepokój jakiś rnusiał doskwierać proboszczowi, bo sen nań nie przychodził. iW‘ dodatku zasypiające, milknące miasteczko raptem zawrzało, zahuczało.

Proboszcz podniósł się z posłania, wdział rewerendę i, skrzesiwszy ognia, zapalił świecę i do gościnnej komnaty przeszedł. Tu ńa fotel się osunął i próbował drzemać, a bodaj siakiej takiej senności się doczekać. 'Daremnie. Rozgwar, idący tuż z poza 'okiennic, burzył morfeuszowe intencye księdza, a nawet go podniecał, rozczmychywał, zaciekawiał.

Cóż bo znaczyć mogły te nocne hałasy? Czyżby przeklęty już wyciągał z Wyłkowyszek? Czyżby 'drugie podobne mu licho ńa miasteczko spadło?

.Proboszcz westchnął w tern miejscu i sięgnął po leżący na stoliku różaniec, gdy nagle, wspomniawszy, że mu się nie godzi za wyklętymi instancyi wnosić — głowę zwiesił i znów się zadumał.

Tymczasem rozgwar cichł poza okiennicami, aż umilkł. W komnacie skwierczenie nieobjaśnionej świecy się ozwało.

Proboszcz się ocknął. Powiódł zamglonemi oczyma dokoła i podniósł się ociężale, chcąc zawrócić znów do sypialni. Naraz, gdy sięgnął po świe-. cę, w pobliżu, jakby za ścianą, rozległ się przytłumiony stukot.

Ksiądz Kociełł zatrzymał się i mimowali zaczął nadsłuchiwać. Stukot nie tylko nie ustawał — lecz wzmagał się tak, że nie trzeba było dociekać, skąd pochodził, bo drzwiczki małe, wiodące wprost, z gościnnej komnaty do loszku — odpowiadały raz po raz na stukotanie.

Proboszcz stropił się. Jużci ani wątpić nie mógł, że ktoś dobierał się mu do piwnicy od strony podwórza, gdzie, dla dogodności wtaczania i wytaczania baryłek, były drugie drzwi.

Przez chwilę proboszcz nadsłuchiwał jeszcze. Lecz gdy, po ustaniu raptownem stukania, głowę ku drzwiom piwniczki przysunął —• rozróżnił najwyraźniej nie tylko stąpanie ludzi, ale i przyciszoną rozmowę!

Ksiądz Kociełł zatrząsł się ze zgrozy, bo już teraz wątpić nie mógł, że mu jacyś łotrzykowie w miodach' a winach bobrują i, nie namyślając się długo, porwał za świecę, odsunął zasuwę od drzwi i jak kula, stoczył się po schodach.

Okrzyk przerażenia, z kilku naraz piersi, powitał proboszcza.

— Co tu ?! — Kto tu ?!— huknął surowo ksiądz.

Śmiertelna głusza piwniczna nawet echem nie odpowiedziała na zapytanie księdza.

— Kto tu! ? — Gadaj! — rozkazał z większym jeszcze impetem. — Ożwij się jeden z drugim, pókim cierpliwi

W tętn miejscu proboszcz, uniósłszy nieco świecy ku gurze, — spojrzał w stronę lewego kąta loszku i zdrętwiał. O kilka kroków przed nim rysowały się w mrokach trzy wysmukłe postacie żołnierskie w czapach szwoleżerskich.

— To wył? Wy tu, .do mnie!? Na grabież, na rabunek, na łupieztwo? To wy? — Nawet sługi Bożego nie uszanować, -bodaj księdza, bodaj plebanię obrać? Takie wasze żołnierskie wojowanie? Takiego obyczaju uczy was ten, ten... Napoljon! Skoble wyrywać, zamki skręcać, byle było się czem spić? — Tlę-—__ŁO-!2_NLoW'.Qzego .stocie! ? Bierzcie ! K dza pałką i dalej! Wasze zbójeckie prawo, jedna zbrodnia więcej na sumieniu, jedna mniej! Ty z brzega! Chwyć że ¡mnie za gardło — dalej — jużci nie od parady krzyżem na mundusze świecisz!...

N'a ten potok słów księdza, czapy kiwnęły się czegoś a sylwetki żołnierzów skuliły. Proboszcza to potulne milczenie bynajmniej nie uspokoiło.

— Oczajdusze! Hultaje ! Bezbożnicy! Filistyni! Heljotropy zamorskie, oszelmowane!

— Dobrodziejaszku! — stęknął żałośnie cichy głos z kąta, snąć nie mogąc przenieść ogromu ostatniej obelgi.

Ksiądz, na dźwięk tego głosu, rozwarł szeroko powieki i, unosząc świecę w górę, postąpił naprzód tak, że światło pudło na twarze winowajców. Rów-

nocześnie prawie świeca zadrżała w ręku proboszcza i opuściła się ku ziemi.

Przez chwilę słychać było jeno gwałtowne sapanie księdza, — zaczem dopiero pierś proboszcza wezbrała jakimś ponurym chrobotem.

— Acan! Acan tu, u mnie? Jak łotrzyk, jak włóczęga, jak nicpoń na rabunku? Syn Babeckiego?

—■ Dobrodziejaszku, daruj, aby dla kapitana chciałemd...

Proboszcz potrząsnął smutnie głową.

— Tak to szanujesz poczciwe imię rodzicowe! D'o tego cię przywiodło! Takich cnót nauczył cię Napoljon! Takie poszanowanie masz dla tego, który cię na łono Kościoła Bożego przyjął?! — Cha — cóż, bierz, zabieraj, bobruj z kompanami, coś ich zmówił i naprowadził... Drzwi naścięźaj .otworem!

Proboszcz zawrócił z mocą ku schodom, wiodącym do ikomnatki. Babecki, przejęty do głębi, sunął za księdzem. Wysocki z Kuligiem poszli za przykładem wachmistrza,

— Przebacz, dobrodziejuniu! Nie sobie obciąłem! Kapitan 'Hermelaus Jordan powiedział! Nie było skąd! Noc późna. A kapitan człek, serce! Co nie bądź myśleliśmy utoczyć! Dwa gąsiorki aby! Już mi daruj.

— Daruj, dobrodzieju ! — zawtórzyli szwoleżerowie.

Ksiądz spojrzał zamkłonym, matowym wzrokiem po żołnierzach.

— Nie mam nic do przebaczenia! Nie mnie krzywda dosięga, lecz was samych, — 'Waszych imion, waszych mundurów! Przekleństwo nad wami ciąży, ścilga was, .na pokuszenie, na niegodziwości wodzi!...

— Nie było skąd! — bełkotał ‘wachmistrz. — Aby parę kubeczków obcięliśmy utoczyć! A tu taki dzień ,taki wielki dzień.!

Proboszcz szarpnął się.

— Dosyć! Z Bogiem, jeżeli wam się jeszcze "majaczy w sercach! Wielki dzień! Stawcie sobie bramy tryumfalne samemu Belzebubowi — ale odemnie zdaleka! Nie znam żadnego .Napoljona! Słyszeć nie chcę, wiedzieć o niczem! Precz! Nie mnie cyganić ! — Fora!

— Dobrodziejuniu! — stęknął błagalnie wachmistrz ! — Taki dzień! De 'bo nie wiesz...

Ksiądz Kociełł ręką w ¡stronę drzwi, wiodących na podwórze, wskazał.

— Mości Babecki! Chyba nie myślisz mnie, niewolić, abym na pachołków zawołał?...

Na tę groźbę pan Jędrzej głowę wtulił w ramiona i zawrócił.ociężale ku 'wyjściu, pociągając za sobą towarzyszów.

Proboszcz wyczekał aż póki kroki oddalające się umilkły w głębi podwórza, — przywarł, na poły ■rozbite drzwi wewnętrzne, otarł zimnym potem zroszone czoło i na beczułce przysiadł.

Zmarszczkami okryta, martwa, żółta zazwyczaj twarz proboszcza, grała kolorami, wargi drżały mu, pulsa, na skroniach wzdymały raz po raz skórę.

— Toż i odwiedziny! Toż i na tę chudobę się pokusili! I kto — Jędrek Babecki! Jędrek, którego za .¡syna miał, za rodzonego, którego do stołu pańskiego sposobiły a w którego sumienie, ¡niby w toń źródlaną, przez tyle lat poglądał. Doczekał się imć pan Franciszek synala. doczekał .pociechy i podpory. —■ Wstyd —• hańba! (Bodajby byli zabrali wszystko, wynieśli, bodajby ich na gorącem nie zeszedł.

Bodajby nie wiedział nigdy, kto rabował!... I przecież ostrzegał i przecież się sprawdziło. Któżby przywiódł tych smarkaczów do występku, kto opętał, kto swern odszczepieństwem rozzuchwalił? To on, Bonapart! 'On — Napoi jon!

W oczach proboszcza skry ogniem zabłysły.

—• Bodaj by się nie narodził, bodaj się pod ziemię był zapadł, zanim tu zstąpił, zanim tyła ludu usidlił! Boże, Panie, Stwórco niebieski! Małoż tędy przepłynęło, niedoli, małoż zawodów gorzkich, małoż tu wdów i sierot narosło dla sprawy publicznej! Jeszcze tego Antychrysta 'było trzeba!

‘Proboszcz podniósł się, ramionami dźwignął i ujął za świecę.

Wtem coś mu zaszeleściało około nóg.

Ksiądz pochylił-się i, dostrzegłszy jakiś “jjapier, podniósł go i do światła przysunął.

— Buletyn! — rzucił przez zęby i zmiął papier w ręku. Lecz, po- przestanku, snąć nową myślą tknięty, — rozłożył go, wyprostował zgięcia i załamany i do- oczu przybliżył.

Niełatwe atoli musiało być to zadanie. Bo, czy pisanie było nadto niewyraźne, czy światło niedostateczne, — bo proboszcz wpatrywał się weń tak długo, tak martwo, jakby i wzrok jego i myśl za mgły, za światy uleciała.

• Aż nagle twarz plebana okryła się szkarłatem, oczy wilgotnym płomieniem buchnęły — papier wypadł z rąk księdza.

‘‘Piroboszcz stał jeszcze >— a już cała jego postać .grała jakimś ruchem gorączkowym, jakąś siłą wewnętrzną, co zdawała się w nim łamać coś, burzyć, kruszyć.

Nogi ugięły się pod plebanem. Na kolana padł i ręce wzniósł i na ustach zawisły mu słowa modli-

twy. Moc jednak, szarpiąca proboszczem, musiała być od modlitwy silniejszą — bo ledwie poruszył wargami, znów nim targnęła, poderwała i ku schodom wywlekła i dalej, do ąlkierzyka, rzuciła, kędy mrugała rzewliwie lampka przed Ostrobramską.

.Ksiądz iKociełł kiście rąk zacisnął, głową pochylił i po raz drugi osunął się na kolana.

¡Lampka przed Ostrobramską mrugała coraz rzewliwiej, coraz smutniej.

Proboszcz się modlił. I chylił głowę do ziemi i oczy ku srebrzystej twarzy Ostrobramskiej podnosił i znów opuszczał powieki i bił się w piersi a jęczał, jakby nie znajdując dla się ukojenia, ani ostoi, ani przytulenia.

XIV.

Noc świętojańska rozsuwała swe tajemnicze zasłony. Na wzgórzu nad Szyrwintą, gasły sobótkowe ognie. Wyłkowyszki majaczyły jeszcze; Tu i ówdzie gromadki żołnierzy podchmielonych nuciły chropowate piosenki ; tu i ówdzie, na przyzbie, ostatnie wypowiadano argumenty, wpółsennego przeciwnika nie mogąc pobudzić do nowej dyskusyi ; tu i ówdzie, z poza uchylonych okien kwater sztabowych wyrwał się silniejszy brzęk złota, tłumiona wrzawa i bezładne wykrzykniki zdziwienia, gniewu, lekceważenia, tryumfu ; tu i ówdzie, rozlegało się monotonne zaspane “qui vive” szyldwacha. Czasem koń pianą okryty wpadł z przeraźliwym łopotem w ulice miasteczka, czasem, z oddali, dźwięk trąbek nadpływał na skrzydłach zefiru, czasem, z pod lasu ossyjskiego, -przyciągnęła fala miarowego szczęku i z groźnym jękiem, co, zda

się, mówił “idą” — biegła hen, ,ku mgłom widnokręgu.

Wyłkowyszki jeszcze majaczyły resztkami nocy a już do dziennego zabierały się kłopotarstwa. Niestrudzona ¡pani Babecka dreptała po izbie czeladniej a usiłowała wzmocnić nadwątlone więzy karności.

■— Trzydziestu samego sztabu! A tam i szwoleżerom robaczkom trzeba i Jędrulkowi dla kamratów ! Jewka! Będziesz ty mi kręcić nareszcie!

Jewka pociągnęła obojętnie nosem i mlasnęła kopyścią. Pani Babecka przypadła z kolei do dwóch innych dziewek, stukających leniwie talerzami.

•— 'Ot zamyśliły robotę! Ot się trudzą gołąbeczki, koczkodany! Dalej do misek! Jaja bić! — Czekaj! — Jewka! — Leć na -folwark — wołaj!

— Albo i je tam, kto! — mruknęła dziewczyna.

— Kasakajtysiak niech tu zaraz!

— De on! — Jeszcze wczora do żołnierzów przystał!

—- ('.o. 1 on ! r — wybuchnęła pani nadd z ie r ź a wczyni. — Toż nie może być!... Toż trzeba cesarzowi powiedzieć! A to 'sobie dobre! .

— Starszy pan już wczora, na południe, nie miał już kogo do koni napędzić! — objaśniała Jewka.

Pani Babecka pokiwała głową i do ciotki Anny podeszła.

— I nie wiedzieć. Wszystko się rozbiegło, stłomosiło, ręce sobie zarób, nie wydołasz! A Franulek tak i prosił... I jemu, biedaczkowi, zaczmerało... Komu nie chodziło po głowie!

— Kt i dałabyś sobie spokój z pierogiem. Toż i chłop bodaj mięsa i to usiekać nie zdąży.

— Choćby dla sztabu ! I dla szwoleżerów-robaczków! N'a rękach nosili, trzpioty! Nawet sam major! Grzeczny kawaler! Nie pierwszej młodości — a .dworski i posuwisty ! Dwudziestolatka by zakasował. Po francusku do mnie... i “puc” mnie w rękę, potem znów “puc”... Bardzo miły — hm!

— No, niepowiem. Major! Hm •— może i major, ale co. najrzetelniejszy z nich to Jordan! Mina okrutna, wąsy srogie a oczy. .. Koroniarz taki.

— Świszczypała!

— Lucyś ! De wolej niż taki major ciepła woda — odgrzewany!

—• Bardzo[1] przepraszam ! Major ma godność, majorowi nie przystoi hukać, jako lada kapitankowi! I jeszcze kiedy jest gros-majorem gwardyi!

— Jak Jordan będzie w tych latach, to nie majorem ale marszałkiem zostanie.

^^=--J2atrzcie! Nie wiedzcie! Marszałkiem! O't. mieliby kogo.

Ciotka Anna pobladła z oburzenia i już miała odpowiedzieć potokiem dowodów, że major nie wart jest kapitanowi sprzączki do bandoleta zapiąć, — gdy, na progu izby, na tle mroków poranku,. zarysowała się ciemna sylwetka wielkiego dra ba.

— Co to — Kto?

— Pokornie kłaniam — odrzekł mocny głos. — Nie odmawiajcie, pani gospodyni, choć co sprzedać! Całą noc chleha kawałka nie kupić! Mnie nic — ale jej wielmożność w wózku. Pokornie upraszam.

— Chleba? Mój człowieku — idź do zajazdu, do piekarzów.

— Właśnie, pani gospodyni, jeden pan pułkownik raczyli mnie za drzwi wypchnąć! U was świe-

ci, tedy przychodzę i pokornie upraszam dobrem słowem chrześciańskiem!

— Co ja wam! Toż tu cesarz kwateruje. Napoljon! Dla sztabu nie nadążę.

Drab skłonił się nizko.

— Właśnie, pani gospodyni! Nasza sprawa, gwardyjska sprawa, niepoliońska sprawa! My tu z miasta przybyli warszawskiego, Napoi jonu się pokłonić. Poratujcie, wasza wielmożność...

Pani Babecka nie wiedziała co począć z tą dziwną figurą, kłaniającą się jej raz po raz do ziemi i postępującą ku środkowi izby.

— Trzeba gdzieindziej. Widzicie, tu robota!...

— Iz Bogiem niech wam idzie, panie gospodyni. Chwała, jest z czego.

— Ale nie mam komu! Rozumiesz acan! Co było to zjedli — nie ma komu gotować ani piec.

-— Mała bieda, pani gospodyni, kiedy jest z czego. Pozwólcie, aby trochę do komina a już nie zmarudzę.

—■ Umiesz acan gotować?

— Zwyczajnie — dużo po świecie chodzisz, dużo znasz!

Pogodna, szeroka twarz draba przypadła czegoś pani naddzierżawezyni.

— Umiesz?! — Więc chcesz co dostać, to się bierz do roboty. Innej zapłaty nie wezmę. Pomóżcie mi w kuchni do południa i kwit!

— Rad się postarać, pani gospodyni. Nam i tak trzeba do rana czekać! Jej wielmożność zdrzemie się w wózku — a ja cóż, łapy są i na codzień i na święto... Tylko aby tymczasem jej wielmożności na pokrzepienie...

Pani Babecka, rada takiemu robotnikowi niespodziewanemu, zakrzątnęła się, wygotowała spory

koszyczek jedzenia i do wózka, o którym wspomniał drab, że stoi na podwórzu w karczmie Aronka, wysłała przez dziewkę ■—■ zaczem wskazała drabowi kopyść i nieckę.

— Czekaj acan, jak na cię wołać 1

—■' Starykoń jestem — odparł krótko drab.

Dziewki parsknęły w kącie izby. Pani Babecka pokręciła głową na takie miano, lecz nie myślała się nad tern zastanawiać.

—■ Niech sobie stary koń byle się młodo zwijał. Bierz się acan, będziesz ciasto zarabiał.

Drab zawinął rękawy i plunął w garście.

— Nie bójcie się zakręcę z Bogiem! Nie takim drągiem wywijałem. Rzucajcie co trzeba.

Pani Babecka ledwie na dziewki skinąć zdążyła, aby jaja rozbite do niecki wrzuciły a roztopione masło wlały, gdy, pod kopyścią draba, ciasto w okamgnieniu zaczęło mlaskać.

— A uważaj acan, bo to na pieróg!

Starykoń odrzucił nagle kopyść i głową pokręcił.

— Nu, kiedy pieróg, to gorzałka musi być! — U nas, pani gospodyni, taki obyczaj!

— Co wam!?

•—■ Musi być gorzałka! Inaczej chłopu do babskiego dzieła się nie brać.

Naddzierżawczyni, choć niechętnie, ale nasączyła drabowi półkwaterek okowity. Drab pociągnął, białkami łypnął, plunął w garście i z całym zapałem jął miesić ciasto a dogadywać ochoczo.

— Nie ma obrazy ! Ot tobie i sztych kucharski. A Sidor tam patrzy i zębami łyska a z carstwa swego niebieskiego pogląda a przymawia. — Cóż, jemu tam teraz pieróg i na święto i na post. Musi porucznikiem ostał. Eh! Pani gospodyni,

nie bójcie się, po serem wam mąkę waszą skleję. Widzicie, robota czełowiku nie wróg. Nu, bo, wiadomo, pani gospodyni nie ukrzywdzi a kapię dla poszezrenja dobawi.

Pani Babeeka, widząc, że istotnie kopyść jeno trzeszczy w rękach draba — ozwała się łaskawie.

— Dobrze, dobrze, aby się jeno uwijajcie! Musieliście chyba sługiwać przy kuchni.

— Rozmaicie, pani gospodyni. Służba — druźnba. Zaczniesz z nią raz to już chwyci i wodzi, gdzie zechee, po świecie. Do preobrażeńskiego wzięli sami. Ciężko było z rodzonego sioła wędrować. A potem już poniosło. Gdzie ja był? W frydenlandżkim, w austryackim, w trzecim woltyźerskim! Szturm to szturm, stać to stać. Ech, pani gospodyni! Panny nawet w kapucyńskim dobywaliśmy z monastyru! Pan porucznik każę — Wańka, jesteś Starykoń i Bełtowiez Żmujdzki. Jej wielmożności pilnuj! Tak i postąpił w strykonie bełtowickie. Służba!

— Więc byliście w wojsku francuskiem?

— Fchrancuskiem ? Nu wy, pani gospodyni, złem słowem nie dokuczajcie! Ludziom dobrym służę, panom błahorodnym a nie tam żadnym “musjom”, Niemcom zakamieniałym.

Ciotka Anna trąciła znacząco panią Babeckę.

•— To wy... wy nie z Napoljonem służycie?

Drab strzyknął pogardliwie śliną.

— Nie, pani gospodyni, ja z Sidorem, z Żubrem starym, z Żubrową, oficerską babą, z Józiu, porucznikiem moim a Niepoljon to on u mnie nie ważny. We frydenlandżkim to myśmy takich bijali, na sztyki szli z nim.

Pani Babeeka, na to niespodziewane zakończenie, oburzyła się i chciała coś odpowiedzieć, lecz

ciotka Anna odciągnęła ją prawie przemocą na stronę i szepnęła ze zgrozą.

— Musi szpieg!

—■ Anulko!

— Szpieg! — powtórzyła ciotka.

— W imię Ojca i Syna...

— Trzeba dać znać do warty!

— De cóż ty!

— De nic —■ rozstrzelają — wiadomo...

— De, niechże, niechże, choć przedtem ciastka namiesi! Pieróg przecie!

Na ten słuszny argument, ciotka Anna zawahała się, Jęcz równocześnie drab, czy posłyszał coś z szeptów, czy uraził się naprawdę, dość, że splunął z impetem i rzucił kopyść.

— Bierz czort, pani gospodyni, i pieróg! Niech go wam Fehrancuz kręci, kiedy wola, a ja waszego pieroga i znać nie chcę.

—- Jakto? Co?

— Nu tak i nie chcę. Niewola? Wy dla mnie tyle co ten “kukisz!” Żubrowej, wolno, bo ona baba oficerska, krzyż ma wojskowy, sławna starucha — ale innym nie pozwolę! Nie pożałowaliście jedzenia — to ja wam płacę! Srebrem szczerem płacę! Znacie Józiu!? Oni by wam powiedzieli, co psia mać, co Niepoljon a co Poljon! U nascarramba była i będzie. A na mnie oczu nie stawiajcie! — Ech wy baby zakamieniałe!...

W tern miejscu drab szurgnął nogami lekceważąco i, pomrukując sobie jakąś piosenkę, wyszedł z izby.

Panią Babecką, aż zatknęło z alteracy.i na te oczywiste obelgi.

— Co ten sobie! Co on! Toż .choć...

— Przecież mówiłam, po wartę! De szpieg,

szpieg! Trzeba wołać! Cesarzowi groził! — wybuchnęła ciotka Anna.

Pani Babecka na to wezwąnie, wybiegła przed dwór, prosto ku miejscu, gdzie w pobliżu, rozlegały się miarowe kroki szyldwachów. Ciotka Anna wionęła spódnicami za naddzierżawczynią. Szyldwach atoli tak groźne zgotował przyjęcie pani Babeckiej, że aż ją ogień ogarnął.

— De, cóż ty mi ciągniesz — "Kto idzie ?".... Babecka jestem!

— Ani kroku dalej! — warknął- szwoleżer — kto idzie!?

— 'Człowieku! De widzisz przecież, nie licho żadne, jeno niewiasta, szlachcianka! Lucyna Babecka Dobkiewiczanka !... Szpiega trza chwytać. De rusz się acan.

— Ani kroku — ustąpić! — groził żołnierz, ujmując w pół karabinek.

Naddzierżawczyni wystraszona tą zapowiedzią, zawróciła, w przeciwną stronę, do innego szyldwacha. lecz i tu również stanowcza spotkała ją odprawa. Pani Babecka nie posiadała się z irytacyi.

-— De waryaty, szaleni! De my. ..

— Szpiega widziałyśmy! — dopomagała z boku ciotka Anna.

—Pomocy trzeba ! Pogoni! Umknie !

— Zameldować na odwachu! — objaśnił żołnierz. —■ A do mnie ani kroku, bo kula!

— Mnie, mnie? De tego, to już zanadta! Dalibóg cesarzawi powiem!

•— Lucyś !

—- Taki powiem! Żeby, żeby mnie, mnie, we własnym domu.. . taki, taki...

Hałaśliwa sprzeczka z drugim szyldwachem, zwabiła tymczasem oficera obchodowego.

Pani Babecka pośpieszyła wyrazić mu nadewszystko swoje oburzenie.

— Pani dobrodziejko, służba, rozkaz!

— De co mi pan, kawaler! De, mówię, szpieg! Łapać trzeba, chwytać, a oni stoją, nie wiedzieć!— Wiatru pilnują!

Oficer nie podzielając oburzenia pani Babeckiej, wypytał ją szczegółowo, zaczem dopiero udał się na odwach, obchód wart powierzył koledze, a sam z plutonem szwoleżerów ruszył do karczmy Aronka, kędy dziewka pani naddzierźawczyni koszyczek z jadłem nosiła. W drodze, szwoleżerzy spotkali się z patrolem żandarmeryi polowej. Patrol potwierdził/że istotnie widział dopiero co przechodzącego draba. Oficer dał rozkaz, aby żandarmi przyłączyli się do plutonu i poprowadził, tak wzmocniony oddział ku karczmie, na rynek. Tu otoczył żołnierzami karczmę, a sam z dwoma szwoleżerami udał się wprost do izby szynkownej.

Izba przecie^ tak była szczelnie wypełnioną posłaniami, na których wylegiwali się oficerowie trenów wojskowych, które -były nadciągnęły już do (Wyłkowyszek, że oficer z niemałym ›trudem i po stoczeniu kilkunastu słownych utarczek z dąsającymi się gośćmi karczmy, dotarł wreszcie do szynkwasu i samego Aronka.

Lecz Aronek, na zadane mu pytania o domniemanym szpiegu, jeno skulił się, jarmułką do ziemi się skłonił i westchnął płaczliwie.

— Wielmożny pułkowniku! Cy jo wim! Cy jo tu przykazuję? Kto tu nie przykazuje? Cy był du-

ży chłop? Gdzie tu nie ma duże chłopy? Co jo wim?!

— Nie pytam się o wojskowych! Miał tu przyjechać jeden nie wojskowy, od waszecia, wózkiem?

— Nie wojskowy? U mnie wszystkie wojskowe! Mój Jojne także się już wojskowym zrobił! O jej! Cy jo miślał?

— Com ja się gom naprosiłam — jęknęła z kąta Gitla. — Co jemu z te wojsko! Ci un je taki “Napejlon”, ci może syn od jaśniepana naddzierźawcy ? Oj, oj!...

Oficer, pomimo tej niepożądanej dywersyi, uśmiechnął się przyjaźnie.

— Syn wasz się zaciągnął?

— Wielmożny pułkowniku jemu nikt ani miślał pociągnąć! Co prawdą, to prawda. I owszem wszistkie kapiteny bardzo dobre. Un sam poszedł. Taki chłopiec, takie malowanie, latoś jus mu ślicna żona miała się stręczyć. Mozie piatset dukaty by wziun. Ojej! Cemu nie miałby wziąć! Takie malowanie! I skąd mu .się zchciało strzylać? i jeszcze z czego?! Wzoraj powiada do mnie — ja muszę strzylać z najgrubszą harmatą. Owej! Już sobie nie mógł wybrać mniejszy pistolet! Takie nieszzęście, takie nieszczęście !...

— Nic — nic, moja karczmarko! Na człowieka wyjdzie, żołnierzem zostanie!

— Ja wim! .Ale, co jemu po tem. Jego dziadek po mojej babce, to buł rabin — wielka persona. W całej naszej rodzinie nie było harmaty! Oh! To jest boleść. Żeby wielmożny generał, coć kazał, żeby go wzięli choć w spokojne miejsce!. . .

— Dobrze, dobrze! -Gdzież tu jeszcze macie gości?

—■ Chyba na podwóru. Cy jo wim? Skąd mogę wiedzieć?

—■ Ny, przecie jeden psijechał na noc — wtrącił z boku iSzmul parobek.

— Może być, dlacego nie może być, wielmożny rotmistrzu!

— Bez bałamuctwa! Gdzież ten pzzyibysz?

— Prowatlź Szmal, wielmożnego generała, prowadź !...

Oficer z żołnierzami, za przewodem parobka, ruszył przez sień na podwórze karczmy, aż ku miejscu, igdzie mu ,Szmul wskazał na wtłoczony między bryki i furgony mały wózek, obciągnięty płótnem.

— To un właśnie! — szepnął parobek do oficera — niech tylko pan wachmistrz będzie ostrożnym, bo un jest cham!.

Oficer podszedł śmiało do wózka i zawołał groźnie:

— Hej! Czyj wózek? Sam tu.

Na to wezwanie, z pod płótna wychliła się wielka głowa w podszarzanej furaźce.

— Nu tam zawaliłeś gardło drzeć, kiedy ludzie śpią!

— Wyłaź, żywo!

— A cóż, wyłaź sobie sam, a mnie tu nie wrzeszcz, bo nie wywrzeszczysz!

— ¿Patrol, do krośset! — Dalej do tłumaczenia, coś za jeden! Zbieraj się, bo bez pardonu w łańcuszki pójdziesz!

Na tę zapowiedź, głowa znikła pod płachtą, a wzamian z wózka jął się gramolić wielki drab.

— Ot masz pardon! Mnie co? Pardonem nie ustraszysz. Nie takich pardonów we frydenlandz-

kiem bijał. Ach i naród tutaj! —• ¡Nic, proszę waszej wielmożności, wszystko w porządku, tylko ot, przystaje! Tyrr! Malutkij — stój! Bo i ciebie-do pardońskiego patrolu wezmą!

Przy tych ostatnich słowach, zwróconych do spłoszonego konika, drab wydostał się nareszcie z pod płachty, wyprostował się i, Ibez pośpiechu, z rękami w kieszeniach, podszedł do oficera.

— Coś za jeden? Skąd przybywasz? Co tu robisz? — zawołał surowo oficer.

Drab w odpowiedzi jął się coraz baczniej przyglądać oficerowi a machinalnie przybierać służbową postawę.

—: Odpowiadaj! Byłeś na folwarku! Odgrażałeś się, wygadywałeś?...

— Rad się starać, proszę waszej wielmożności! — huknął z ukontentowaniem drab.

Oficer, na dźwięk tego głosu, poruszył się, a nie mogąc, dla mroku ustępującej -ledwie nocy, rozeznać twarzy mówiącego, podsunął się bliżej.

— Coś za jeden? ¡Skąd?

-— Stary-koń 'Bełtowicz, do usług. .. A dawniej Wańka, proszę waszej... '-

— Wańka! — zakrzyknął z radosnem zdumieniem oficer —■ tutaj?!

Wańka schylił się do ręki oficera.

—■ Rad się starać. ..

— Może, może i porucznik Stadnicki?

— Nie, proszę waszej wielmożności. Nie" ma ich! Józiu zostali. My tylko z panią! Pani srogo przykazała do szwoleżeryi gwardyjskiej, gdzie sam Napoljon! Tak przyjechali. Do waszej wielmożnoprzyjechali.

— Do mnie! ?

— Taki przykaz. iSzwoleżeryi gwardyjskiej pierwszego eskadronu, porucznika pana Gotartowskiego Floryana znaleźć i raport zdać.

— Co wygadujesz, 'Wańka. Cóż to za pani przyjechała z tobą?

— Kto ich wie. Musi żona Józiu... Józiu srogo przykazali. Z oka nie spuszczaj ■—• dzień i noc pilnuj — gdzie ona, tam i ty. Tak przykazali Józiu. ..

.Porucznik Floryan Gotartowski połapać się nie mógł w tych zagmgatwanych wyjaśnieniach.

—■ Co ty mi o jakimś Józiu powiadasz! Pana swego tak szanujesz!

— Według przykazu — jego wielmożność kazali się Józiem — a mnie Starymkoniem Bełtowiczem. Raczyli szlachcicem mianować.

Floryan się zniecierpliwił.

— -Do kaduka, pleciesz trzy po trzy, ani zrozumieć !

— Sprawiedliwie każę, proszę waszej...

— Osioł jesteś.

— Rad się starać!

— Gazie?: wię twoja pani?

— Raczą spać- na wózku-, pod płótnem.

Gotartowski postąpił naprzód -do wózka, chcąc czemprędizej rozstrzygnąć zagadkę, gdy naraz, z pod -budy płóciennej, wyciągnęło się ku niemu dwoje ramion, a szept cichy, wrźący, rozległ się tuż.

Floryan zatrząsł się z przerażenia, ze wzruszenia. W oczach stanęły mu chwile, przeżyte w Saragossie, całą okropność dni -oblężenia, cała niedola własna, całe wojny rozpaczliwej okrucieństwo a wraz z njem, wraz z tem widmem, ukazała mu się smagła postać. Hiszpanki, córki potężnego Boggiera, postać która mu wówczas twarzyczkę

serdecznej Zośki przesłoniła, postać, która go takiemi pętami skuła, że gdyby, nie zdarzenie, że gdyby Zośka mniejszą, miała ku niemu desperacyę — toż on dziś może byłby mężem córki nieubłaganego Boggiera.

— Rico, Floriano! Nie poznajesz-że mnie? — Nie poznaj esz Dolores?

Porucznikowi serce się ścisnęło. Płomienie wstydu na twarz mu trysnęły.

I jakże bo z nią postąpił? Jakąż niewdzięcznością odpłacił jej za poświęcenie, za troskliwość, ża przywiązanie. iWszak gdyby nie ona, nie Dolores, sam ¡Palafox nie zdołałby go ocalić tam, w murach Saragossy! Ona wyrzekła się dlań wszystkiego, dzieliła ostatniemi' okruchami chleba podczas głodu, wyrzekła się dlań nawet ojca, nie zawahała stłumić najświętszych porywów Hiszpanki.

Te myśli piorunem przenikały duszę Floryana i poraziły go i odjęły pewność siebie.

Aż porucznik otrząsnął się.

— I pani — pani tutaj? Razem z mężem? Razem z Niewodowskim?

Dolores wyprostowała się dumnie.

—- iNie, z nim skończone.

— Jaktó? jakto? -—■ zagadnął Floryan, czując, że ta odpowiedź wytrąca go z odzyskanej ledw.ie równowagi.

Kapitanowa jęła rozpowiadać gorączkowo dzieje swego małżeństwa.

Floryan przysiadł na krawędzi wózka.

Gdy Dolores skończyła, porucznik spróbował ująć się za Niewodowskim, lecz tem kapitanową rozdrażnił.

— Nie, nie mów mi o nim! Dobry, dobry, szlachetny — nie mogę, nie miałam sił.

— Żołnierz bardzo odważny.

Dolores- wykrzywiła pogardliwie usteczka.

—-Ja .go mam za tchórza, za niedołęgę, ślamazarę! 'Co tam, Bóg z nim!

— A.leż-, przebóg, zastanów się pani. Wytłómacz-że mi, skąd ty, tutaj —- w głównej kwaterze!?

— Szukałam cię, znalazłam.. .

Porucznik rozejrzał się niespokojnie dokoła, ileźe gromadka ciekawych, zwabiona zjawieniem się oficera służbowego z wartą, jęła cisnąć się i kupić przy wózku.

— Pozwól, jestem na służbie, muszę wracać...

— Idę z tobą!

— Dyżuruję na odwachu!

—■_ *Pójdę* więc na odwach!

F.loryan uląkł się tej rezolucyi i zaczął przekładać niedorzeczność podobnego 'zachowania.

•— Ach, cedzisz — przerwała niechętnie Dolores — jakbyś od Niewodowskiego się uczył.

— Na popołudnie będę wolnym.

— Lecz przecież ja, w tym wózku, nie mogę wyglądać na cię do popołudnia! 'Musisz znaleźć dla mnie kwaterę!

— Miasteczko wypełnione po brzegi! Ruszyć się nie ma gdzie!

— (Więc tak się o mnie troszczysz! Chcesz mnie zbyć? Chcesz mnie...

Floryan do reszty natarczywością Hiszpanki zmieszany, wił się, klął, perswadował, tłómaczył, aż tyle dokazał, że urlop na godzin kilka otrzymał — lecz pod warunkiem, że najpierw kwaterę dla Dolores znajdzie.

Warunek był trudny, lecz porucznikowi z sukursem przybył wachmistrz Babecki, którego Gotartowski zdybał na rynku. Pan Andrzej do serca-

sprawę Floryana wziął, pogadał na prawo i na lewo z żydkami i do Nuchma, do drugiego karczmarza go zaprowadził.

Nuchym, przecież na wstawiennictwo syna pana naddzierżawcy, poparte złotym napoleonem — głuchym nie pozostał i, w wypełnionej pó brzegi karczmie, znalazł izdebę cale przestronną i wygodną a w stajni miejsce na wózek.

Gótartowski pomógł dokonać przenosin pawi N'iewodowskiej — i, zakręciwszy się, niby, żeby sprawdzić, czyli Wańka dobrze się w stajniach ulokował, wysunął się z karczmy i umknął do obozu.

XV.

Kapitanowa Niewodowska, suponując, że Floryan lada moment nadejdzie roztarasowała się szybko w izdebce. Aliści gdy upłynęła godzina długa, dręcząca, do stancyjki wpadł rozczerwieniony, spocony Wańka.

— Wasza wieTmożność, pan porucznik! Są! Melduję pokornie! Bo pan porucznik kazał zobaczyć, czy wasza wielmoźność mogą przyjąć. . .

Dolores podniosła się z ożywieniem.

— Proś, proś porucznika, czekam.

Wańka rozwarł na ścieżaj drzwi.

Pani Niewodowska aż zachwiała się ze zdumienia. We drzwiach ukazała się wyniosła postać Stadnickiego.

— To pan, pan tutaj, myślałam...

— Ja, kapitanowo, dobrodziejko, we własnej osobie — mruczał z zadowoleniem porucznik,, całując hałaśliwie łapki Dolores. — A co! A co? — Uciekła mi przepióreczka w proso, a ja za nią sa-

motrzeć. . . Okrutnie się udręczyłem, ale, co tam, psia mać. . . w zdrowiu widzę, więc ten. . .

— Bardzo się cieszę! — odrzekła obojętnie pani Niewodowska. — Nie spodziewałam się w tym zamęcie.— Siadaj proszę! — A, zwracając się do stojącego przy drzwiach Wańki, rzuciła niecierpliwie :

— Gdzie pan porucznik Gotartowski?

— Pan porucznik 'Gotartowski — a to proszę waszej wielmożności — nie ma (go i dosyć!. . .

Kapitanowa zapłoniła się.

— J akto.?!

— Nie-ma. go i dosyć! — powtórzył uroczyście Wańka.

—■ Ależ, ależ to nie może być. . .

— Mów, psia mać, wyraźnie!

i Wańka zachłysnął się się. ,

— A bo było tak, proszę waszej wielmożności..- proszę Józiu... Było tak... /

— Mów!

— Było tak, pan porucznik do wózka raczyli i do mnie, co Józiu, a co pani kapitanowa, a kiedy, a jak. . . Więc ja sprawiedliwie wszystko, jak pan porucznik raczyli mnie w Starykonie Bełtowicze, * jak w szlachcice się dostałem i jak pan porucznik kazał mi Józiu sobie.

— Co wygadujesz!?

—■ Ja całą prawdę — stęknął Wańka — powie działem, jako pani kapitanowa, jak potem biliśmy się z g-enerałami i jak w nocy przyszedł patrol. I potem, pan porucznik Gotartowski, mnie za ramię. Dobry chłop z ciebie, Wańka — powiada — ot wziąłbym cię z sobą na ordynansa! — Ja — rad się starać wasza wielmożność, — cóż, byłem w preebrażeńskim, w auśtryjackim, w trzecim woltyżer

skini, — toże mogą w szwoleżerskim! — Tylko, że Józiu srogo przykazali. . . że ja rad w szwoleźeryi gwardyjskiej, tylko przykazali. .. I potem. ....

— Cóż potem psia mać!. ..

— I potem, pan porucznik Gotartowski znów wzięli mnie za ramię i powiada. — Słuchaj Wańka, jakby ta, wiesz, kapitanowa, pytała o mnie, powiesz poprostu — nie ma go i dosyć! — I pan porucznik tak machnął ręką... I jeszcze wspomniał o Żubrach, o Żubrowej, oficerskiej babie. .. że syna panu porucznikowi... I to wszystko, sprawiedliwie...

— Precz mi z oczu!

Wańka znikł za drzwiami. Stadnicki zwrócił się do kapitanowej Niewodowskiej.

— Daruj, mościa pani, — ale nic nie rozumiem.

Dolores rozśmiała się sucho.

— Cha — cha!. . . Że umknął!

— Lecz kto?

— On — Floryan — Gotartowski — wy wszy scy — obłudnicy — kłamcy — bez duszy, bez serca, bez krwi żywej!

Kapitanowa wpadła' w pasyę. Darła chustkę, tupała nóżkami, złorzeczyła, groziła całemu światu, aż w ostatku się rozpłakała.

Stadnicki przetrwał dzielnie wybuch .gniewu i oburzenia, zniósł i przymówki i słowa pęjmsty, ale gdy łzy jęły rzęsami ciec a rosić piękne lice Hiszpanki, — porucznikowi serce roztajało.

—■ .Moja dobrodziejko! Aby zaniechaj, aby nie umartwiaj się! — .Nie lubię, psia mać. . . Niech jego, psia mać. .. I nie wart, nie wart... takich słodkich poduszeczek na rączynach, takich, takich marcepanów. .. Oj, psia, psia mać i ten, chyba mnie już zatchnie!... Srebro moje...

— Wiem, żeś mi pan życzliwy, — więc pomówmy.

—• Pomówmy.

' — Tego, tego, co uczynił, nigdy mu nie przebaczę! Rozumiesz pan, nigdy; — żeby-m miała, żeby najgorsze. ..

— Święta racya! — przyznał gorąco Stadnicki, odzyskawszy pew-ność siebie. — Gdyby taki Gota.rtowszczyk na mnie trafił, — nie spojrzałbym nawet! Cóż on takiego, psią mać, osobliwego.

— Jakże pan byś myślał. ..

— Niby ja? — Hm, cóż!. . . Żeby na mnie, dotrzymałbym święcie przysięgi i cale, cale by mi to trudnem nie było, bo gdzież znaleźć, gdzie ten psia mać. ..

Oczy kapitanowej baczniej łysnęły ku Stadnickiemu, lecz wnet skryły się za rozmruganemi powiekami?.

— Nie o to pytam. — Jak mam z Floryanem postąpić.

Porucznik zerwał się na równe nogi ze stołka.

— Z nim!? Z iGotartowszczykiem!? I cóż jeszcze ! Przepędzić na cztery wiatry! Do siebie nie dopuszczać! Żadnych ceregieli. Precz, fora ze dwora, dosyć psia mać łgarstwa — nie lubię, i basta! Za się mu do pani kapitanowej! Na drzazgi posiekę, zuchwalca!

—■ Wyzwij go ną pojedynek!

— 'Na ten...

— Tak, za to, że śmiał, że ważył się...

— Mości kapitanowę napastować! — Wyzywam ! — Niech -wie, żonaty, dzietny, baby własnej powinien pilnować.

Dolores zsarpnęła się niecierpliwie.

— Nie fatyguj się Waćpail. 'Cale mi niepotrzebne twoje wstawiennictwo. . .

— Ależ, pani kapitanowo, toć pragnąłbym. . .

—■ Odłóżmy to na stronę! Jeżeli zaś chcesz pan istotnie dowieść mi jeszcze swych dobrych intencyi — idź odszukaj Floryana i sprowadź go tu do mnie!

— Floryana?

— Tak, bo, ho. .. tak się zbyć nie pozwolę!!,.. Muszę mu powiedzieć do oczu, — muszę się z nim rozmówić! Postąpił ze mną nikczemnie, niegodnie, haniebnie! — Ale muszę się z nim rozmówić! Słyszysz pan!?. ..

Stadnicki przerażony groźnem spojrzeniem Hiszpanki, skunął twierdząco ¿głową.

— Więc idź pan — zmuś go — przyprowadź! Uczyń to. dla mnie! — Idź, zaklinam cię, błagam.

Porucznik, zawrócił ku drzwiom, lecz żelazo skobla, za który ujął, ziąbem go przejęło.

Pan Józef zatrzymał się i tarł czoło zafrasowany, ile że w niem ani rusz nie mógł zmieścić myśli, aby sprowadzenie Floryana do kapitanowej mo gło być dla Gotartowszczyka karą.

— Ociągasz się pan, wahasz! ?

Stadnicki odsapnął, szurgnął nogą i wyszedł. Przed karczmą przystanął, rozejrzał się i, nie spostrzegłszy nawet, że kłusem szarżujący przez uliczkę oficer kwatermistrzowstwa, w polskim mundurze, na widok porucznika, aż konia zdarł, powlókł się leniwie w stronę obozu, za miasto.

Tymczasem, zakwaterowanie się u Nuchima pani kapitanowej Niewodowskiej nie uszło baczności, goszczących tu, oficerów sztabowycn a szczególnie zamaszystego adjutanta, co był do karczmy zjechał z trzema wierzchowcami, bryką ładowną i

czterema służącymi. Adjutant, który dla przepychu i stołu sutego, jaki w izbie gościnnej zastawił, całą czeredę towarzyszów przygodnych znalazł, nie tracił z oka stancyjki, zajmowanej przez Dolores. Póki atoli wiedział, że drzwi te kryją dwóch niela da drabów, jeno półgębkiem zwierzał się kompanom z wykrycia tuż istnej bogini. Gdy jednakże Wańka a potem i Stadnicki kapitanowę opuścili,— adjutanta ferwor ogarnął. Mrugńął na dwóch młodych sztabowców, poszeptał z nimi z Xuchimem, karczmarzem, wszedł w komitywę.

Xuchim, niemiecką mową adjutanta ujęty a datkiem przekonany, dał się bez trudu, wciągnąć do spisku. Układ duchem stanął a rezultatem jego było, że karczmarz wsunął się z ukłonem do stancyjki Dolores.

— Może jasnej pani czego potrzgba? — zaga dnął grzecznie. — Może jasna pani życzy śniadać?

Pani Niewodowska zdziwiła się nieco.

— Śniadać? — A cóż wy macie na śniadanie?.

— 'Wszystko, co jasna pani każę! Stół zastawiony! Ryby jest, wino, wędzone, pieczone, czego nie może być dla takiej ślicznej osoby. ..

Kapitanowej przyszło na myśl, że to Stadnicki zakrzątnął się dla niej. A że pragnienie szczególnie jej dokuczało a samotność dręczyła, więc, dla odpędzenia myśli, dla dystrakcyi, przyjęła zaproszenie.

— Mówicie, że macie wszystko! Ciekawam bardzo! Przed dwoma godzinami kubka wody nie można było dostać. . . A gdzież ten stół?

Nuchim rozwarł naoścież drzwi.

—■ Jasna pani pozwoli tu, zaraz, do alkierza. .. Tędy, tędy...

Kapitanowa weszła i zdumiała się. W brudnym, zakopconym alkierzu stał stół białym, adama-

szkowym obrusem nakryty, krysztółowemi zastawiony kielichami, butlami, półmiskami śrebrnemi, pełnemi padła, przysmaków, wetów.

— Ależ mój gospodarzu, a skąd to wszystko?...

— Skąd ma być? — Dlaczego ńie ma być!

— I to pewno ten pan!

Nuchim mrugnął znacząco.

iKapitanowa, pomimo smętku i żalu, które ją gnębiły — czuła się olśnioną, zdała się po tylu dniach trudów, męki w przepełnionych zajazdach, braków rozmaitych, być nagle przeniesioną do zaczarowanego pałacu.

Bez namysłu teraz wsunęła się za stół, w kącik, w rogu ściany i usadowiła.

Karczmarz z całą atencyą zaczął jej usługiwać.

Pani Niewodowska wzdragała się nieco jeszcze, lecz -gdy z kryształowego kubka zagrało ku niej rubinami czerwone wino, usteczka jej, bezwiednie, w tulejkę się wyciągnęły i do kubeczka przylgnęły.

Czerwone wino! Lata, lata nie smakowała go, nie próbowała, i takiego, co jakby wiało ku niej otchłanią piwnic rodu Boggierów. . . ,

Jeszcze nie zdołała kapitanowa nasycić się widokiem napoju ojczystego, gdy, z zastawy, wyjrzał ku niej bukiet jaśminów.

Dolores wzruszenie ogarnęło. Przysunęła bukiet, ogarnęła go chrapkami i westchnęła rzewnie.

— Dios mio! Gdyby, Floriano był takim,, jak Stadnicki, gdyby on tak! — Gdyby choć .Stadnicki miał obliczeiNiewddowskiego!—Wszak ta jedna niespodzianka warta jest kastylijskiego granda! On je,den, jeden Stadnicki, — cha, — w potrzebie, --- dał by za nią życie!

Natrętny, chytry uśmiech Nuchima przerwał pani kapitanowej chwilę zamyślenia.

. — Jasna pani się nie gniewa. .. .

— Co, czego?__

— Tu jest właśnie jeden bardzo wielki pan oficer, co on chciałby troszkę śniadać. Jasna pani się nie gniewa, — nie ma gdzie siedzieć to u-n sobie trochę usiądzie! — Taki tłum, taki ścisk!

Zaledwie kapitanowa zdobyła się na obojętny znak przyzwolenia, gdy, tuż przed nią, skłonił się dworsko zamaszysty adjutant >w błękitnym mundurze i zaprezentował się po francuzku.

— Baron von Freylberg - Eisenberg - Allmendingen, — adjutant sztabu jego królewskiej-mości, króla wirtemberskiego! — Racz pani- darować śmiałości. . .

Pani Niewodows-ka bąknęła coś złą francuzczyzną.

Baron skłonił się ponownie, zadzwonił ostroga mi i przysiadł się do stołu tak, że przeciął odwrót Dolores, poczem rzucił jednym i drugim komplementem.

Pani Nie wodo wska zapłoniła się na taką uprzejmość — i podziękowała, jak umiała, najwdzięczniej. Baron jeszcze zgrabniej odparował grzeczność.. Lecz nim kapitanowa na odpowiedź się zdobyła, — już cały stół obsiadła gromada sztabowców.

Dolores lęk zdjął. Baron atoli ozwał się ochoczo.

— Panowie! Nakładam haracz! Za prawo zbliżenia-się do najpiękniejszego, ze zjawisk — każdy z was musi do dna wychylić jej zdrowie! Hans — nalewaj!

— Ą ja bonheur! a la votre, madame! — za wołano dokoła.

Kapitanowa nie wiedziała, czy .gniewać się, czy dziękować. Baron tymczasem, sekundowany przez kompanów, coraz natarczywszemi komplementami sypał.

— Królowo moja, do dna, do dna trzeba! Za pomyślność spotkania! — Kląłem na czem świat misyę do głównej kwatery a teraz ją błogosławię! — Czyż mogłem roić, aby tu, w tym na pół dzikitr kraju, taki cud się znalazł! — Niech żyje najponętniejsza z Polek!

— Wiwat!

—■ Jestem Hiszpanką !

— Co — co?!... Pani! Usted española?!

— 'Buenas noches! — Los toros! — Bebe muchio! — Ole! 'Señorita — carramba! — wrzeszczał teraz młody sztabowczyk, chyląc się przez stół do pani Niewodowskiej i recytując cały .swój hiszpański słownik.

A gruby kapitan piechoty zawtórował basem żołnierską piosenkę.

—■ Wobec tego, panowie, — wychylam ten kielich na cześć donny i na podziękowanie wyciskam, gdzie mogę, 'buziaka! — krzyknął rozochocony baron i mlasnął szerokim całusem po twarzyczce Dolores.

Dolores, wydała okrzyk przerażenia.

Kompania skupiła się z pijackim rechotem dokoła szamoczącej się kapitanowej.

Naraz, oficer, w mundurze polskiego sztabu, który był w sąsiedniej izbie najspokojniej się posilał, na krzyk pani Niewodowskiej, wpadł do alkierza, roztrącając, stojącą we drzwiach gromadkę.

Gromadka nie zdążyła się oburzyć na - grubialia, gdy ten, ledwie okiem łysnąwszy w stronę Dolores — spadł, jak piorun na barona, porwał za bary, targnął, zdarł nim całą zastawę, stół na kompanów wywrócił i uderzył nim, niby taranem, w skotłowane półmiski,, złomy szkła, resztki jadła.

Powstał zamęt, tumult, zgiełk piekielny. Poturbowani sztabowcy rzucili się na śmiałka — lecz ten już panią Niewodowską osłaniając, dobył szpady.

— Rozbójnik! Łotr! .— Pałaszy dawać! — Rozsiekać go! — Szpady! — ryczeli sztabowcy.

Dwóch z gromadki widzów, wysunęło się ku pogromcy sztabu.

—■ Coś za jeden? Jak śmiesz? Poddaj się!.

— Precz! — Bo strzelać będę! — zagroził obrońca kapitanowej, macając lewą ręką pistoletu.

— Sprobój! — wrzasnął z wściekłością baron, który już zdążył nie tylko dźwignąć się z ziemi, ale i szpadę swoją dobyć z kąta.

Szpady skrzyżowały się i zgrzytnęły żelazcami.

Sztabowcy clicieli z boku natrzeć —- lecz baron zawołał butnie:

— Z drogi, panowie, najpierw ja się z tym szelmą porachuję ! Broń się !

— Pilnuj gęby!

Rozpoczął się pojedynek wściekły, zajadły.

Kapitanowa podczas tego, wtulona w róg stancyjki, od zmysłów odchodziła.

Mógłże być to on. .. on tutaj.. . ten jej zbawca, ten rycerz groźny, co całą gromadę rozbił, co tuż, teraz, co ją chroni własną piersią! To sen, sen chyba!

Koniec szpady barona już po dwakroć ukazał się Dolores nad ramieniem obrońcy.

Pani NiewodowsKa przymknęła oczy, pobielały jej usta drżały szeptem bezładnej modlitwy.

W tern baron syknął z bólu. Ręka mu zwisła.

Lecz pchnięcie, które baron wziął w ramię, rozsierdziło jego kompanów.

■— Ze mną teraz sprawa! — pisnął ospowaty porucznik i natarł na oficera.

—• Oberwiesz i ty!

— W dyby go brać! — irytował się baron. — Co wy panowie z takim! Na posterunek rozbójnika.

—• Na szable go! — wrzaśnięto chórem. I jednocześnie sześć ostrzy stalowych zagroziło szpadzie.

Oficer bronił się zajadle. Lecz, pomimo dobrej pozycyi, w rogu stancyjki, pomimo, że napastujący go mieli dość trudny dostęp, pomimo, że skrwawił ospowatego porucznika, nie mógł nastarczyć cięciom trzech pałaszy, pod razami których, szpada drżała mu, skręcała się.

Już dwakroć ledwie uniknął rozpłatania czaszki, już coraz słabiej młynkował szpadą...

— Poddaj się! — drwili zeń nacierający, Czując swą przewagę. — Poddaj się! Weźmiesz dwa razy w gębę i pójdziesz luzem!

— Hołocie się nie poddam!

— Razem panowie! — Ciąć pó łbie!

Żelazca runęły na oficera. — Gdy naraz major piechoty liniowej wpadł między walczących z dobytym pałaszem.

— Baczność! Do nogi broń! Warta!

—• Warta •— Ani kroku nikt! — zahuczał tuż ponury bas.

I do stancyjki z brzękiem, szczękiem wszedł kapitan szwoleżerów gwardyi z plutonem żołnierzy.

Przeciwnicy opuścili broń.

Kapitan, rozejrzawszy się groźnie, białą kitą u czapki po pułapie zawinął i krzyknął po francusku:

— Co tu się dzieje? Co tu panowie? Służba!— Główna kwatera!

Baron wysunął się hardo ku przodowi.

—- Jestem baron von Feryberg - Eisenberg-Allmendingen, adjutant sztabu jego królewskiej mości króla wirtemberskiego.

— Hm!

— Ten oto, tutaj, napadł nas, gdyśmy zabawiali się z tą oto damą, zelżył... Świadkowie potwierdzą. ..

— Potwierdzamy! Napadł znienacka, bez powodu, jak szelma, ostatni.

— Żądam uwięzienia go, oddania pod sąd, skargę wnoszę, jako mnie, adjutanta jego królewskiej...

Kapitan szwoleżerów brwi ściągnął i zwrócił się do oskarżonego. '

■—• Hm! Proszę do meldunku! Jak się pan nazywasz? Skąd przybywasz?

Ale, nim kapitan zdążył wyrzucić te zapytania, źrenice jego rozszerzyły się, twarz pojaśniała, a z ust wyrwał się okrzyk po polsku.

—■ Niewodowski!

— Hermelaus Jordan! — ucieszył się serdecznie oficer.

■—■ A ty cóżeś tu nabełtał, od morza do morza?!

—■ Przyjechałem z ordynansem piątego korpusu, od księcia Józefa.. . Tu przybyłem dla posilenia się. Siedzę, słyszę krzyk, głos wydał mi się nie obcym... Wpadam i zastaję tę panią, broniącą się i wydzierającą gromadzie tych pijaków... Domyś

lisz się reszty! — Ta... ta... pani jest... moją żoną. . .

Jordan odchrząknął, salutował kapitanowę i odwrócił się do barona.

— Hm ! Ten pan bronił napastowane;; ! Sami panowie wywołaliście... więc ten, proszę ustąpić...

— Za pozwoleniem! — odparł dumnie baron, którego uwagi nie uszło polskie rozmawianie się Jordana z Niewodowskim, a który widział znaczące spojrzenia, swych kompanów —; tak nie może być ! .Mam świadków — ten oto napadł nas, zelżył, domagam się aresztowania go, domagam się, jako baron von Freyberg - Eisenberg - Allmendingen, adjutant sztabu jego królewskiej...

— Co mi tu pan królewską mością !

·— Panie kapitanie, mam prawo

— Napastowałeś pan niewiastę !

—- Jako adjutant...

— Napastowałeś !

— Panowie, biorę was wszystkich na świadków,. że mnie, sztabu wirtemberskiej mości.. ,

— Co mi pan swoją mością wirtembergską.—- Cesarz, kawalerze, do stu par szwadronów Rozumiesz? Twoja mość wirtemb.ergska razem z tobą do 'lymisyi pójdzie !....

Baron posiniał.

— Zapamiętam to sobie — polskim sądem ehcesz rozstrzygać^' .■ .... ■.

— Uhciałbyś niemieckim, wirtembergskim !

—■ Jestem !

— A wiesz ty, kto ja jestem? “Hermelaus Jordan, nome.d‘un chien, de la.mer jusqu a la mer!”

—• Wiem tylko, że pan, miast aresztować tego tu...

— Kapitana sztabu — wirtembergski adj ritan cie! — poprawił ostro Jordan.

— Co nas tu napadał... w obronie tej tam — pienił się baron.

— Coś powiedział? — huknął Jordan.

Baron poruszył wargami, lecz Jordan nie dał mu głosu dobyć.

Porwał nieszczęsnego adjutanta za baty-, dźwignął i mrucząc strasznie, wyniósł de sąsiedniej izby, stąd do sieni i przed karczmę. Tu odsapnął, zakołysał baronem i rzucił nim w kałużę błota.

— Masz, czego chciałeś 1

Kompani barona próbowali się dąsać — lecz kapitan tak szybko się z nim dogadał, że, w kilkanaście minut, śladu u Nuchima nie było nawet po baronie, który wymknął się cichaczem z bryką, końmi i służbą.

Jeden major piechoty liniowej odważył się przymówić nieco Jordanowi.

— Tak, była racya, była! Ale za gorąco! — Nie wiem, jakby nazwać taką sprawiedliwość...

—■ Szwoleżerską!

— Może, wcale nie źle! Panowie gwardya! Naturalnie — i to ujdzie i tamto ujdzie! Lecz, zważ, kapitanie, gdyby, gdyby on naprawdę znalazł drogę do króla wirtembergskiego? Tlę?

Jordan ujął się pod boki i parsknął Serdecznym śmiechem.

. — Cha, cha! Majoruniu, od lnorza J o morza, a cóżby mnie, kapitanowi szwoleżerów — «4^ mógłby król zrobić... Cha ■— cha!

Gdy się to działo, porucznik Stadnicki nareszcie, po długich spieraniaeh się ze strażami i kołowaniach — dotarł do obozowiska szwadronu Gotartowskiego.

Floryan, na widok dawnego towarzysza broni a przyjaciela serdecznego, aż zakrzyknął z uciechy i porwał go w objęcia.

— Józefie! Jak się masz! Kopę lat! Bywaj — bywaj mi!...

Stadnicki, który przez całą drogę układał sobie, jak odrazu i mocno sobie pocznie z Floryanem, czegoś zmiękł raptem.

—r Florek psia! — Widzisz! — I ten, dajże pyska !

— A toż uciecha będzie, jak cię zobaczą! — Powiadał mi o tobie Marceli!

— Świderski! I cóż on ?

-— Siadajże, stary! Żle z nim! — Biedaczysko. . Kochanie nań przyszło okrutne, a tu ani zdrowia, ani... eh, ciężko powiadać! Rzetelny żołnierz, serce złote. —■ A tobie co? — Czekaj, mam tu lampeczkę miodu...

Stadnicki do reszty się zachmurzył.

—■ Nie! Nie chcę.*

— Widzę, że ci coś dolega! Et, bo rzuciłbyś tę kacabaję! Nie udawał fałdy — wrócił między nas. Z otwartemi rękoma.. . A może z tern przybywasz...

— Przybywam, aby się z tobą rozprawie! Zbieraj się, dałem parol, idziemy. . .

— Dokąd, co, jak?! — wykrzyknął Floryan, uderzony wyrazem twarzy pana Józefa.

— Do niej, psiamać! — Salwowałeś się ucieczką, niepoczciwie! — Chce się z tobą rozmówić...

Gotartowski zasmucił się szczerze.

— Ze mną! -— Józefie, a toż na cóż jeszcze! — Znasz sprawę. — Żal mi jej bardzo!

— Musisz — dałem parol! — Chce ci powiedzieć — co należy i basta, psia — skończone.

— Ale na cóż widzenie się. Umknąłem! Praw-

da, lecz zastanów się co byś począł? — Patrz, wczoraj pisanie od Zośki odebrałem... Nie, nie, mój Józefie, nie nastawaj... Jutro ruszamy! Oszczędź mi. tego spotkania..

— A cóż ty myślisz, że ono mnie potrzebne, że ja psia mać... że ja?! — warknął opryskliwie Stadnicki.

Floryan ujął go łagodnie za rękę.

— I dlatego właśnie uwolnisz mnie...

—• Dałem parol!

— Uwolnisz mnie, przez wzgląd i na mnie i na nią i na Niewocłowskiego...

— Niewodowski już się nie liczy!

— Więc, mój stary, i na ciebie.

Stadnicki otarł pot z czoła i bąknął.

— Jeżeli na mnie... to pójdziesz.

— Jakto!

— A no, bo ten! — Bo skończy się z tobą psia mać...

Floryan spojrzał uważnie na dawnego towarzysza broni.

— Ba, kiedy tak mniemasz, pójdę, ale dasz słowo, że... że będziesz obecnym przy naszej rozmowie ?

— Dobrze.

W półgodziny po zawarciu tego układu, Stadnicki z Gotartowskim stanęli nareszcie przed drzwiami stancyjki, zajmowanej przez kapitan ową, w karczmie Nuchima.

Pan Józef zawahał się nieco, poprawił odzież i ujął za skobel.

—, Pamiętaj, że masz być świadkiem — upomniał go Floryan.

— To się wie! —■ mruknął Stadnicki, rozwarł drzwi i osłupiał.. .

W głębi stancyjki, Dolores tuliła swą główkę do piersi kapitana Niewodowskiego.

XVI.

I znów dzień jasny zaświtał i znów słońce zaczęło toczyć swą kulę ognistą i znów Wyłkowyszki napełniły się gwarem i życiem, lecz życiem, które, na lata całe miało, lada moment, zamilknąć, na wieki szczeznąć.

Już około dziesiątej rano od dworku naddzierżawcy gruchnęła nowina, że cesarz wyjeżdża.

Miasteczko, na tę wiadomość, przycichło na moment, zaczem mocniejszym zakołatało tętnem.

Rozkazów jeszcze nie było, lecz już sztab zbierał swoje manatki, już pachołcy uwijali się przy brykach i wozach, oficerowie już pożegnalne spełniali wiwaty na cześć wyłkowyszan.

Aż, około południa, trąbki zagrały długo, smętnie. Chmura ordynansów rozbiegła się z pod głównej kwatery. Miasteczko zahuczało takim szczękiem, brzękiem, łomotem tarabantów, dudnieniem, jakby się zapaść miało, runąć.

Przed dworkiem imć pana Babeckiego stanęła poszóstna landara cesarska a za nią szwadron szwoleżerów Jerzmanowskiego, wyciągnięty w równą wstęgę trójek. U schodów ganku, skupiła się gromadka szlachty z rodziną pana Babeckiego, burmistrzem Jeziorkowskim i wachmistrzem, panem Jędrzejem. A dalej, poza landarą, cisnął a kołysał się zwarty tłum wyłkowyszan, z trudnością trzymany w ładzie przez strzelców konnych gwardyj.

Tam, poza landarą tłum huczał, wiwatował, falował a tu, przed dworkiem, głęboka panowała cisza, skupienie.

Bo ot, ani pan ńaddzierżawca, ani burmistrz, ani stary Danieleszczuk, ani Mysztowtt, ani wuj Dobkiewicz, ani żaden Sołohub, sami nie wiedzieli, czemu im żałość serce ściska, czemu żal im tych trosk przebytych i tej mordęgi i tej bieganiny trzydniowej, tego zamętu i tego dzielenia się całym dobytkiem, całą chudobą. A czyż doprawdy żal im było ? Czy może, sami nie wiedząc, doznawali uczucia, jak człowiek, co piękny sen prześniwszy, już się budzi, już szarzyznę dnia postrzega a jeszcze nie wie, czyli śnił tylko, czyli jawę przeżywał.

I stała cicho ta gromadka przed gankiem i poglądała w rozwarte naścieżaj drzwi dworku, kędy mameluk stał z płaszczem. cesarskim na ręku.

Upłynęła długa, nużąca chwila. Aż zniecierpliwienie powoli dosięgnęło gromadkę. Lecz hasło do objawienia go wyszło dopiero od panny Filipiny, która już nie na żarty napudrowanym noskiem jęła kręcić a dąsać się.

— De i cóż oni! ? I cóż my tu ? A tam panowie ze sztabu czekają.

•—■ Filipinko! — upominała półgłosem ciotka Anna. — Daj mu przecież, toć cesarz!

—■ I nie przystoi, żeby tak łapu-capu! — przyświadczyła pani Babecka.

— Uch — także! A pan Delaroche ma sam...

—■ Co to ?!—Kto ?!—Jakto ?!—zaszemra.no raptem w głos na tyle gromadki, stojącej przed gankiem.

. Ńaddzierżawca, a zanim Danieleszczuk, odwrócili się pośpiesznie, aby uciszyć szmer.

—- Mości panowie, pozwólcie! — Czego tam?!

Szmer atoli, miast przycichnąć, przeszedł w rozgwar.

Ńaddzierżawca skoczył żywo na tyły gromadki,

aby położyć kres zamieszaniu w tak ważnej a uroczystej chwili, lecz, zaledwie przedostał się przez szlachtę i spojrzał ku falującemu w pobliżu tłumowi, zdumiał się widokowi, który się oczom jego przedstawił.

Oto z pośród ciżby wyłkowyszan — nadchodził jakiś korowód w bieli ze światłem. Więc, przodem, pacholę w komeżce z kropielnicą, za niem dziad z kropidłem; dalej, dwa rzędy zapalonych gromnic a ponad niemi krzyż, chwiejący się w rękach księdza proboszcza.

Naddzierżawca aż krzyknął ze zdziwienia i chciał powitać księdza, a gdy doń się zbliżył, gdy nań spojrzał, zdjął pana Babeekiego jakiś lęk'zabobonny, jakieś onieśmielenie, że ustąpił na bok i przeżegnał się pobożnie.

Wrażenie, któremu uległ naddzierżawca, udzieliło się i reszcie zebranych, nawet stary Danieleszczuk, który już mruczał pod nosem a kulami postukiwał, umilkł i zapatrzył się na korowód'.

I naraz cisza zaległa. Poglądała szlachta, poglądał tłum, zezowali z ubocza strzelcy gwardyi z pod bermyc, pochylali się zlekka na siodłach szwoleżerzy, nawet apatyczny mameluk wyłupiaste oczy ku krzyżowi zwrócił.

A proboszcz Kociełł szedł a biała jego czupryna lśniła srebrem rozwianych włosów, *a* chuda pomarszczona, zczerniała na słońcu, twarz biła jasnością, wolą, mocą nieznaną. Toż ci, co w Boże Ciało baldachim trzymali, a proboszcza, niosącego Sakrament najświętszy pod ramiona wiedli, nigdy go takim nie widzieli.

'^'Sfeżęji atoli twarz i postawa księdza budziła uszanowanieT^Z&s-famuyienie, to równocześnie strój jego osobliwy zgoła podziw siat. Proboszcz bowiem

ndał komfźkę krótką, nie sięgającą kolan a przecież ledwie rąbek sutanny wychylającą, ponad hajdawerańii i długiemi, palonemi butami. A dalej, na komeżce, przez ramię, na rzemieniu przewieszoną, dźwigał wielką,; płócienną torbę. 1 gdyby nie krzyż szerokorarnienny, gdyby nie fioletowa stuła, gdyby nie różaniec Wpół go przepasujący, snadnie można było proboszcza ze stroju Za wędrownego jałmnżnika wziąć. Nadomiar, za księdzem szedł stary Maciej organista, równie w komży, ale już tak torbami obwieszony, że ledwie się wlókł.

Pan nad dzierżawca, zagadnięty z boku przez syna,, co znaczy ten pochód, — ochłonął i ku proboszććowi się zbliżył, gdy, równocześnie prawie, na ganku ukazał się Napoleon, mając przy sobie marszałka Berthier i generała Sokolnickiego.

Tłum zakołysał się i wybuchnął okrzykami. — Szlachta napłynęła, ku schodom, strzelcy zwarli się dokoła landary.

Napoleon zeszedł powoli i skinął łaskawie panu Babeekiemu. Sokolnicki podsunął się na tłumacza

— Dziękuję Walii !

— “Madame” Babeka? ■—■ “Merci, merci!'” — A, gdzież to wasz ,syn ! — Jesteś, zuchu ! Słyszałem o twej gościnności! Rad z ciebie jestem! Cóż! Wolisz do szwadronu, czy z Rustanem na kozioł? Co?!...

Pan Jędrzej poczerwieniał na taką łaskawość cesarza i, nie bacząc na znaki, jakie mu dawał generał Sokolnicki, odparł bez namysłu:

— Do szwadronu, najjaśniejszy panie.

Napoleon uśmiechnął się. pobłażliwie:

— Wolisz niż przy mnie? Hem! Wracaj do szwadronu.' Nie zapomnę przy-'pierwszej okazyi... Dziękuję, wam, panowie — wszystkim dziękuję!

Szlachta huknęła na wiwat. Tłum znów okrzykami zagrzmiał.

Cesarz zmierzał wolno ku drzwiczkom landary. Naraz, gdy miał już na stopniu nogę postawić, — drgnął i odwrócił się. ‘O kilka kroków od ¡drzwiczek stał proboszcz i, szepcząc słowa modlitwy, żegnał cesarza krzyżem, kropidłem siał ku niemu wodę-święconą, a błogosławił mu.

Napoleon zagryzł wargi i spojrzał ku Sokólniekiemu.

—- Czego chce ten?

— Sire! Obyczaj prastary...

— A czy może ten sam, co tu podobno bullę odczytywał w kościele? —- wtrącił się ironicznie Berthier.

Napoleon skinął na księdza, który, skończywszy -właśnie modlitwę, oddał pacholęciu kropidło, a sam na krzyżu się wsparł i głowę ku ziemi zwiesił.

Sokolnicki, postrzegłszy, że ksiądz nie idzie na wezwanie, zbliżył się doń.

— Księże, do najjaśniejszego pana.

Ksiądz postąpił naprzód z głową pochyloną.

— Ogłaszałeś bullę w kościele? •— zapytał Napoleon.

— Tak.

— Dlaczegóż mi dziś błogosławisz?

—■ Bo nie mam siły cię kląć, cesarzu... bo już nie jestem proboszczem!

Sokolnicki zachłysnął się przy tłumaczeniu, pragnąc złagodzić odpowiedź księdza, lecz Napoleon zmarszczył się.

— Co do słowa, generale.

Sokolnicki był posłusznym.

— Jakto nie jesteś proboszczem? Dlaczego!

— Nie jestem!... Pogwałciłem kanony -— modliłem się za ciebie.

— Masz jaką, prośbę — może chcesż do Warszawy! Jesteś już kanonikiem®

— Nie! '

—• Więc będziesz nim!

Ksiądz potrząsł przecząco głową.

— Mów prędko, czego clicesz?

— Tak, cesarzu!

— Mówże nareszcie ■

— Chcę z wojskiem, chcę do pułku, kapelanów, podobno, brak a taki, jak ja, lepszy niż żaden.

— Hem! Zamelduj ®ię do sztabu na najbliższej głównej kwaterze!

Tego samego dnia jeszcze, zanim zachód rozpalił czerwoną pochodnię przed nadciągającym zmrokiem, z Wyłkowyszek ostatnie już furgony sztabowe i gwardyjskie ruszyły, ostatnie wiwaty i okrzyki przebrzmiały, ostatnie wyciągnęły pułki.

Jeden jedyny szwadron szwoleżerów Kozietulskiego a przy nim gromadka szwależerskich maruderów’ bałamuciła jeszcze, jeszcze żegnała się, jeszcze ociągała. Duszą tych maruderów był teraz kapitan Załuski; który tuż, po odjeździe cesarza, imć pana Jędrzeja w ramiona wziął.

Wachmistrz skonfundował się tej ’dobroci. Załuski nie dał mu się sumitować.

— Nie, mości wachmistrzu, ściskam cię, boś honor pułku utrzymał, boś odpowiedział należycie, boś nie Wahał się wyrzec nie lada może karyery...

Pan Jędrzej z całego serca chciał protestować, bo jako żywo w swojem rozumieniu juścić milej mu było w szwadronie niż z mamelukiem, czortem-eudakiem w sąsiedztwie. Ale Załuski i do protestu nie dopuścił.

— Tak, mości panowie! W naszym Rachmistrzu duch pułku, poryw całego narodu, zagadał! Nic sobie a jej ukochanej. .. wszystko. Naszem prawem w szeregu stać, walczyć, a nie wysługiwać się!

Kozietulski, Jordan, Gotartowski przyświadczyli Załuskiemu. Co znów tego tak rozochociło, że ze strzemiennem się nastręczył. A gdy ochota się zaczęła, dla rozweselenia chmurniejących państwa Babeckich i szlachty a i towarzyszów uciesze-nia, rozpowiedział dzieje pamiętnego swego pojedynku ze Stadnickim.

Śmiano się z tej awantury do rozpuku. A że i Jordan i Kozietulski jedno i drugie o Stadnickim, z dawnych jego przygód dorzucili — tedy wraz z wypomnieniem,, że pan Józef jest w Wyłkowyszkach, strzeliła myśl, żeby go obces do pułku namówić. Floryan się ofiarował doń iść, sam Załuski postanowił mu towarzyszyć.

Stadnicki, tymczasem, był bodaj jednym człowiekiem w Wyłkowyszkach, który pozostał obojętnym na wyjazd cesarskiej landary, na wymarsz gwardyi, na wiwaty, okrzyki, pożegnania. Bo oto, jak od proga stancyjki pani Niewodowskiej rzucił się na tapczan, w izdebce zajmowanej, tak leżał bez ruchu, głuchy na raporty Wańki, na przypomnienie mu o posiłku, na perswazye Floryana, na odwiedziny kapitana Niewodowskiego.

Lecz przybycie ponowne Gotartowskiego z Załuskim pana Józefa nieco orzeźwiło, bo wstał na przywitanie, uścisnął gorąco dłoń kapitana, uśmiechnął się nawet, na przypomnienie mu maszkary pojedynkowej, jeno, kiedy mu wspomniano o pułku, zaciął się.

— Nie, psia! Wojować, tona swoich śmieciach.

—• 'Więc nie wiesz o biuletynie !

— I nie cheę wiedzieć! Nie lubię!

— Jednakże, mości poruczniku ■— zważ — instrument oficerski bez trudu uzyskasz! Kampania, więc, przy twych, talentach, wykażesz się... Bacz, że w nielada jesteś estymie,, jeżeli szwadron .się adresuje cały.

—■ Bóg zapłać — ale, nie cheę...

— Wziąłbyś Wańkę na ordynansa — a jemu aż się ślepię skrzą do munduru.

— Wańka jest wolnym, b.ierz go sobie.

Załuski, widząc, że, uporu Stadnickiego nie zmoże, pożegnał go i odszedł. Floryan paktować chciął jeszcze.

— Józefie! Zawierz doświadczeniu.. Trudy, służba wojskowa, wojna, obowiązek, najlepszem bywają uciszeniem, ukojeniem....

—• Nie Èrzeba mi żadnego !

—■ Żałość cię porze, szarpie...

Stadnicki targnął się.

— Niema żałości! Rozumiesz psia!... Nie, nic niema ! Dosyć tego ! Nie lubię ! Bierz sobie Wańkę— nic mi do niego, nie do was wszystkich !

Po wyjściu Crotartowskiego, pan Józef odsapnął raz i drugi, wody się napił i zabrał się do pakowania swego tłumoczka. Lecz i tego mu nie dauern było dokonać, bo, naraz, drzwi izdebki skrzypnęły przeciągle. Na'progu stanęła kapitanowa Niewodowska.

Porucznik rzucił się w tył, jakby widmo zoczył. Kapitanowa atoli nie zauważyła nawet tego ruchu, bo zagadnęła z wdzięcznym uśmiechem.

— Nie przeszkadzam panu ? — Nie ! — Pragnęłam podziękować mu za tyle dowodów przyjaźni !—

Los inaczej zrządził... Jednak, jednak zawsze wdzięczną będę. . .

Stadnickiemu zachrobotało coś w gardle. Pani Niewodowska w lot pojęła znaczenie.

— A nie, nie przecz, poruczniku. Tyś jeden okazał mi — tyś jeden! — Wyjeżdżamy. — Mąż będzie mi towarzyszył. Jeno, proszę, nie dworuj sobie ze mnie! Musiałam się zdecydować -— i powiem, nie żałuję — bo kapitan jest nie do poznania. — Ale jeszcze słówko ■— manr zgubę pańską. ..

Niewodowska wyciągnęła rączkę. Stadnicki machinalnie wyciągnął swoją...

— Więc ci ją zwracam i życzę z całego serca dobra i szczęścia...

Kapitanowa rzekła jeszcze kilka uprzejmych wyrazów, prosiła, by pan Józef o domu jej nie zapominał, za powrotem do Warszawy i, podawszy mu rączkę do pocałowania, wysunęła się z izdebki.

Porucznik stał przez chwilę wpatrzony w oddrzwia, które się za panią Niewodowską zamknęły, aż westchnął ciężko, spojrzał na rozwartą swą dłoń i rzucił się, jakby go gadzina ukąsiła. Na dłoni jego pstrzyła się różowa wstążeczka, medalik i promień włosów panny Urszuli.

Stadnicki smyrgnął z wściekłością talizmanem.

W izdebce ukazał się Wańka.

— Czego trutniu, nicponiu?. . .

Wasza wielmożność — rzeki uroczyście przybyły — bywał we frydenlandzkim, bywał.. .

•— Do rzeczy, psia-mać, mów krótko!...

— Szwoleżeryi gwardyi porucznik Gotairdowski raczyli — więc jak wasza wielmożność... srogo przykazali. ..

— Do pułku chcesz? Idź do wszystkich djabłów!

— Rad się słać — tylko, że wasza. . .

— Co wasza!! ? Zhierz te mamatki i- przynieść mi do izby gościnnej!

— Uważam.

— A potem, rób, co ci się podoba!

— A. wasza wielmożność? — bąknął cicho Wańka. ..

— Ja?! Nie lubię psiamać! — I ten, weź sobie moją kobyłę, mnie nie potrzebna — i tu masz jeszcze na ten — i wędruj, gdzie cię oczy poniosą!

Tu porucznik strzyknął pogardliwie śliną i wybiegł z izdebki.

XVII.

Był koniec grudnia 1812 roku. Warszawa po dniach cichego smętku za swoimi, za rodzonymi, za tymi, co odeszli, co dla niej wojowali, po dniach pojenia się hardemi, zadufanemi oświadczeniami francuskiego rezydenta -— znów stanęła na progu nowej niedoli, nowej żałoby, nowych z losem zapasów..

W ślad za pędzącemi z pod Moskwy saniami Napoleona, szedł tym razem od wschodu nowy huragan dziejowy, szedł znów przez Wisłę, na Warszawę i w straszniejszym, niż dotąd ordynku. Bo tym razem klęski, które szlakami wojny winne były dążyć, wyprzedziły ją, one. jej drogę torowały. Tym razem za nędzą, głodem, chorobami i śmiercią nadchodziła wojna. ..

Warszawa zbudzona do strasznej rzeczywistości — nie opuściła rąk. Uderzyła na alarm i zabrała się do czynu. j

I w Warszawie praca- zawyżała gorączkowa, spazmatyczna.

Zbierano, ile tchu, pospolite ruszenie, formowano nowe oddziały wojska, łatano zdziesiątkowane pułki, ratowano nadciągających nędzarzy, wydzierano chorobom rozbitków wielkiej armii, zbywano się dla nich chleba, odzieży, resztek broni, amunicyi.

A przecież w chwili, gdy cała ludność Warszawy od dygnitarzów księstwa do ubogich maj.Steców i zarodników. od kupców możnych do kramarzów, na prześcigi w zawody, turbowała się o przyczynienie się do wsparcia, zaopatrzenie wojska, ulżenie doli rannym, wzmocnienia szeregów, gdy całe miasto aż drżało od porywów serdecznych, a obywatelskiego poświęcenia dokumentów — był człowiek, który zdawał się być na wszystko, co wypowiadano o pogromie i zniszczeniu wielkiej armii, o tysiącach poległych, zmarzniętych, o kozakach pod Grodnem, obojętnym, głuchym.

A rzecz tem była osobliwsza, że człowiekiem tyra był imć pan Józef Stadnicki, dawny porucznik, szwoleżer gwardyi somosierczyk, a słynny ze swej fantazyi kawaler. Sama pani Dobrska, wdowa po kapitanie siódmego regimentu, u której porucznik na komornem siedział, nadziwić się tem.u nie mogła, bo i wogóle nie mogła wyrozumieć pana Józefa od czasu powrotu jego z wyprawy za tą. . . tą Niewodowską...

Porucznik niby ten sam (był a niby nie ten. Dawniej i żartu u niego nie 'kupić i swywoli i rozmachu do wypitki i wybitki a, od czasu powrotu, po komnatkach łazi cały dzień z kąta w kąt. buciskami stuka i, żeby nie pani Dobrska, to czasem kropli mleka, kęsa chleba by nie tknął.

Ileż razy pani Dobrska się nadręczyła, utrudziła, żeby porucznika rozruszać, zająć, rozweselić. By-

wało, że się uśmiechnie, że już zagada, już z.aklnie po swojemu z impetem — i tak, że pani Dobrśkiej serce picum-pacum zakołacze — aż raptem, ni z tego ni z owego —mruknie coś o liście do brata i trzy dni znów wałęsa się po kątach. Czasem znów, kiedy pani Dobrska z porucznikowym węgr.zynkiem, — bo z tego draba rosohatego, co jej wodą schody zalewał a gębę puczył, dymu i popiołu nie zostało —• kiedy więc z porucznikowym węgrzynkiem się zmówi a przy święcie nastawi w komnatach pana Józefa i kwiatuszków świeżych i bigosu faskę i miodu gąśiorek i pierogów żę śmietaną, a potem przymówi się niby niechcący . . . pan Józef grzeczniej spojrzy. I kiedy pani Dobrśkiej się wydaje, że przecież, że nareszcie porucznik ozwie s-ię poczciwie,. —on właśnie nic, odwróci się i po wszystkiem.

Kiedy do Warszawy pierwsze’echa napoleonowej przegranej doszły, pani Dobrśkiej imaginował.o się, że porucznika melankolia pozbadła z kretesem. Przez trzy dni imć pan Stadnicki był, jakby po dawnemu. Płukał, fukał, broń opatrywał, rozprawiał, że pani Dobrśkiej serce rosło. Aż czwartego dnia wybrał się do winiarni — i wrócił znów dziwadłem i odludkiem.

Trwało tak. Aż pewnego wieczora, — w.padł do niej pan Józef i wrzasnął od proga.

— Mościa pani! Na Boga — medyka, cyrulika! — Ludzi wołaj!... Bo mi umrze !!...

Pani Dobrska, wystraszona, zakrzyknęła na, służebną, na sąsiadów?, komorników i wionęła do izdebek za porucznikiem.

Na schodach, pod drzwiami imć Stadnickiego leżał dziad obrośnięty, łachmanami spowity.

Pani Dobrska użaliła się biedocie schorzałej,

lecz narazie pojąć nie mogła porucz.nikowego poruszenia. Dopiero, kiedy dziada obmyto, oczyszczono z robactwa, ułożono na posłaniu a~rozgrzano i napojono — pani Dobrska poznała w dziadzie draba, co jej schody zalewał wodą a gębę puczył.

Trzy dni i trzy noce trwał imć pan Stadnicki u wezgłowia dawnego, swego ordynanso, przez trzy dni i trzy noce czuwał, hołubił, krzepił lekami. A i po trzech dniach, jeszcze pielęgnował. i kłopotał się dlań.

A drabrleżał, łypał białkami, mrugał i jakby nie pojmował. Nawet, gdy coś, po tygodniu, porucznik cały węzełek odzienia mu przyniósł i zawołał nań raźno:

— Masz tu, co trzeba, gdy się wzmożesz.

Drab ledwie westchnął.

Zeszło znów dwa dni. Porucznik już zgoła przestał się niemównością Wańki frasować, — kiedy dźwignąwszy się rano ze swego posłania tymczasowego, bo właśnie był choremu odstąpił, ku nie małemu zdumieniu, postrzegł dokoła niebywałe znamiona ładu i porządku. Pan Józef zastanowił się na tą niesłychaną, niebywałą .sprawność leniucha-niezdary węgrzynka i otwarł drzwi na kurytarzyk, alby pachołka zagadnąć, gdy tuż do nóg padł mu W ańka.

— Wasza wielrao-żność — ojcze serdeczny — Bogiem cię pozdrawiam!

Porucznik cofnął się, lecz Wańka do nóg, do rąk mu się darł a beczał.

— Mnie sierotę zakamieniałego! dajcie za was zamrzeć!

— No, no, cóż, nic psiamać — dobrze ci, no to ten!

— Proga waszego się modliłem. . .

. —- No — no, — do.sy'ć, nie lubię, psia mać! — Wstawaj!

— Pozwólcie tak!

~ Wstawaj, do. . .'służba, psia mać!

Wańka dźwignął się pośpiesznie i wyprężył.

— I cóż, odeszło cię !

— Rad się starać!

— Zagrzejesz piwa.

— Zagrzane, proszę waszej. . . stoi!

Stadnicki ujął za garnuszek, nalał piwa w kubek i dał iWąńce.

Wańka skłonił się i jął dmuchać w nie, usta parzyć, łzami, co mu kapały, precz, studzić piwo, a popijać.

Gdy skończył, porucznik sobie piwa nalał i, przysiadłszy na krawędzi stołu, — ' zakonkludował krótko:

— A teraz melduj wszystko, psia mać od początku.

I Wańka meldował, jako w ordynansowej służbie porucznika Gotarkowskiego dobrze ■ mu się działo; jako pan 'Chłapowski, co szwadronem dowodził, sprawiedliwie kazał; jako wędrowali precz, precz, a szarżowali kozaków, a dobywali Smoleńska i jak szli dalej. . . I jak, raptem, na 'Wańkę przyszła męka, bo szwadron gromadę opołczeńców-bratuszków, pod Wiazmą, zagarnął i jako między nimi był jego rodzony Nikita, co, przez ciotkę Eudoksyę, lepiej mu wypada niż kumoter. — I jak z .nim się rozgadał i jak potem ni jeść ni pić, bo mu powiedzieli, że Napoljon idzie na sioło jego, na Znamienskoje! że i szczapki z czterdziestu chat nie zostanie! I jak pan porucznik Gotarkowski do duszy mu zajrzał, wszystko z niej dobył i kazał mu wracać

do swoich, bo mówił: tobie swoich nie wolno, my musimy tak, bo to nasze prawo, ale nie twoje! — I jak go opatrzył i wywiódł za straże, aby ga źa dezertera nie wzięli. I jak, potem, dwa'dni tułał się w lasach i radował, bo czuł już sioło rodzone. I jak go kupa bratuszków napadła. ściągnęła z konia, —• spętała i powlekła, ani słuchać nie chcąc, że on swojak, że, ze Znamienskiego jest sioła. I jak, po czterech dniach głodu i chłodu, wzięto go do starszego oficera, 'jak ten zezwał go od szpiegów i polaków, Jan on się pobożył, że żadnym takim nieczystym nie był, że służył sprawiedliwie, służył w preobraźeńskim, we fryndenlandzkim, w austryackim, w trzecim woltyżerśki.m, kapucyńskim a w ostatku w szwoleżęryi gwardyi i. jak oficer huknął, — łżęsz, gdybyś ze Znamienskiego był, tobyś po znamieńskiem mówił, a u ciebie, z każdego słowa szlachticz zęby szczerzy! — Jak on na to przyznał, że Starykoniem Bełtowiczem pan porucznik raczyli go, lecz nie pomogło. I jak potem ,z niewolnikami “f-chrancuzanii”, czyli niemcami, szedł i jak umknął .raz nocą. I jak potem, potem, skradał się borami, tułał, błąkał, pędzany i przez piki kozackie i przez francuzkie bagnety, przez wilki i przez ludzi, przez gospodarskie brytany i przez pałki zbójeckie. I jak potem już aby się modlił, by pod progiem porucznikowyni módz zamrzeć i tak zanieść mu, oddać to, co był znalazł, a co ppruczników e było...

Przy tych słowach, Wańka podał Stadnickiemu sakiewkę z pieniędzmi.

— Patrzaj. Przecież ci ją dałem w WyłkoWyszkach.

— Nie, wasza wielmożność, dostałem jedną — a tę, po waszym odjeźdźie, znalazłem w izbie, na podłodze! I nie ją tylko. ..

— Hm! Cóż, psia mać, się tedy ‘dręczyłeś, trzeba było szkapę kupić...

— Niie moje były!

— Ot tam, banialuki. Są twoje! Bierz sobie!

— Pokornie dziękuję, tylko tam we środku jest jeszcze coś...

— Et no bierz...

— Niech wasza wielmożność raczą zajrzeć, bo sprawiedliwie nie uchodzi. . .

Porucznik rozsunął obrączki sakiewki, wysypał na dłoń napoleondory... z .pomiędzy złotych pieniędzy mrugnęła doń wyblakła różowa wstążeczka, medalik i promień włosów panny Urszuli. . .

Stadnicki odwrócił się ku oknu. ..

— — — — — — — — — — — —

Nie pomału uradowali się mieszkańcy Gotartowickiego dworu, gdy, na Trzy Króle, w momencie, gdy ich wieści okrutne, ścinające krew w żyłach, doszły, spadł, jak zawierucha, porucznik Stadnicki.

Pani Gotartow.ska, pani Floryanowa, Żubrowie, Fabianek wybiegli witać gościa a zasypywać go pytaniami a dowiadywać się o szwoleżerach, o cesa-' rzu, o wojnie. Porucznik odpowiadał, bąkał o tern i owem, przytakiwał Żubrowej, która groziła do szeregu wrócić, wtórował i pani Gotartowskiej i pani Floryanowej a zgoła 'był niby bez rezonu zwykłego I nietylko z humoru, lecz i z powierzchowności innym się przedstawiał. Pan Józef, którego znano tu z męzkiej prostoty, z rozwichrzenia, z zaniedbania stroju, on, któremu było wszystko jedno, czyli mu czub się zjeży czyli fontaż niezręcznie zasupła, — jawił się raptem wygolonym, wygładzonym, zestrojonym ...

W dodatku, z początku, jakoś mowniejszym był, lecz gdy do komnaty weszła panna Urszula i

przywitała go, jak przystało na dzieweczkę, która, z poczwarki w motylka skrzydlatego się przedzierżngęła, porucznika, jakby zatchnęło. Patrzy przed się i nie widzi nawet, że ku niemu nóżne spojrzenia się sypią, że pięcioro z nich zgaduje a szóste piecze ,go na ogniu.

Aż pani Gotartowską skinęła na synowę, aby swego wpływu zażyła a sama zawróciła, niby to do świetlicy. Lecz porucznik na to porwał się, chlust we drzwi ża panią Gotartowską i oddrzwia za sobą przywarł...

Pani Floryanowa pobladła, spochmurnieli' Żubrowie, panna Urszula posmutniała. Juści nic dobrego to rozmawianie się porucznika z panią Gotartowską nie wróżyło.

Trwało tak' długo, długo, aż raptem drzwi się z trzaskiem rozwarły, porucznik wybiegł czerwony, jak burak, chwycił pannę Urszulę, zawinął nią i przed panią Gotartowską postawił. I nim panna Urszula zdołała go skarcić, nim domowi zoryentować — huknął basem.

— Matuś, błogosław!

— Co waćpan, — co waćpan robisz! — wlękła się panna Urszula.

— Pozwól — wmieszała się łagodnie pani Go tartowska — z serca rada ci jestem, lecz zapytać muszę córki...

— Cale zbyteczne! — Wziąłem parol i dałem parol...

— Waćpan, co waćpan .mówisz,! — trzepotały usteczka.

— Jakto ten... więc się waćpanna chcesz zapierać, a talizman, a ten tu wiechetek, co mnie trzy kwartały męczył. . .

— Prawda, lecz waćpan, lecz z waćpanem po wojnie... 'była umowa.'..

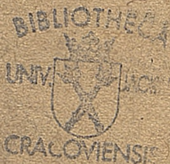
— Oltóż rozsądne słowo, — dziękuję ci za nie, Urszulko. Tak, poruczniku, —- rada ci jestem i jeżeli to niebożę skłania się ku tobie — 'dziej się wola Nieba... Jeno, jeno czasy ciężkie, czasy ponure, żałobne czasy! — Trzeba z weselem poczekać!... Ufam, znam cię, że tak samo .myślisz?... Bo nie przeszkadzać chcę, jeno, według waszej intencyi rozstrzygnąć. . .

Porucznik spojrzał na pannę Urszulę tak smętnie, tak żałośnie, że dzieweczce krew uderzyła do. głowy.

— Tak, mateńko — ozwała się rezolutnie —~ i my z panem porucznikiem tak samo myślimy... z weselem można poczekać... lecz ślub... to... to... może być zaraz!

KONIEC.

Paryż dnia 17 października 1912.



OVIES

y

G CO.